

ZBIORY OSRODKA KAGETA

Nr 3 WIOSNA 1988

Przekaz

W numerze m.in.:

majowe STRAJKI

Przekaz

SPIS TREŚCI

A wszystkim rządzi Gargamele ...	3
Bunkier	12
Zaćrać stocznę	19
Bastion św. Brygidy	25
Nowa jakość	38
Stocznia, Wawel i chorągiew laudańska	41
Podróże Guliwera	50
Sesja wiosenna	56
Krajobraz po wstępnym boju	61
Torreador czy byk?	67
Krótki kurs	76
Zasłyszane lewym uchem	84
Nie jestem wielbłądem	87
"Jesteś moją halucynacją..."	90

NUMER ZAMKNIĘTO 31 MAJA 1988.

Copyright by " Przekaz "

A wszystkim rządzą Gargamele ...

W wybuch tego strajku nikt nie wierzył. Gdy w piątek 29 kwietnia tajna komisja "S" ogłosiła w Stoczni im. Lenina gotowość strajkową, część gdańskiej opozycji uznała to za kolejną, papierową deklarację, a miarą wzrostu napięcia był jedynie "szum tramwajów". Mówiło się o wywalczeniu podwyżek w Bydgoszczy, a także o Nowej Hucie. "Szum" artykułowany był głosami nieco wyższymi niż zazwyczaj, z cichą intencją, iż usłyszą go współpasażerowie, kursującej w Gdańsku, miejskiej komunikacji i obdarzą porozumiewawczym spojrzeniem. Ale już "zadyma" 1 majowa przybrała w Gdańsku najostrejszy, od czasu analogicznej demonstracji w 85 r. charakter. ZOMO stanęło nie wobec uciekającego tłumu, lecz zdecydowanych na ataki grup młodzieży, które nie raz zmusiły przeciwnika do odwrotu. A więc z udziałem Wałęsy, jaki odbył się tego dnia koło kościoła św. Brygidy rozbrzmiewał hasłem "Jutro strajk".

Wiele osób wątpiło w zorganizowanie stoczni. Zakład przeżył po 13 XII gruntowne czystki, które objęły nie tylko czołówkę działaczy "S", ale nawet zwalniany sukcesywnie w latach 1983-84 drugi rzut związkowego aktywu. Zakład był niebezpiecznym symbolem i władza robiła wszystko, aby osłabić siłę załogi. Duża fluktuacja kadr sprawiła, że obecnie tylko 30% zatrudnionych to pracownicy, którzy uczestniczyli w Sierpniu 80. Trzon załogi stanowi natomiast młodzież. Bariera wiekowa utrudniała dotarcie do niej tajnych zakładowych struktur "S", zdominowanych przez działaczy pokolenia sierpniowego.

Jak w Sierpniu ?

Mimo to siła symbolu przeważyła. W poniedziałek, 2 maja o 9.30 z wydziałów K-1 i K-2 rusza pochód z flagami. Skandując solidarnościowe hasła. Nawożując do przyłączenia się do protestu, młodzi inicjatorzy strajku liczą na szerokie poparcie. Jednak starsi pracownicy wyraźnie zachowują rezerwę, jedni uważając strajk za wybryk gówniarzerii, inni nie mogąc nadal wyzbyć się obciążeń psychicznych związanych z poprzednimi klęskami, z 13 XII

na czele. Niektórzy wyraźnie wykazują sympatię, ale zwycięża strach i niezdecydowanie. Rozterki obce są jedynie majstrom, którzy grubzami próbują zatrzymać młodzież, co wywołuje wręcz odwrotny skutek. W istocie, hasło strajku najszybciej podchwytuje młodzież w wieku od 18 do 26 lat.

Pod gmachem dyrekcji, pochód spotyka się z pogroźkami dyrektora, ostrzegającego, że akcja jest nielegalna. Odpowiadają mu gwizdy. Młodzi szukają przywódcy, widząc że sami mogą zostać zlekceważeni. Na czele strajku staje więc 65-letni, były przewodniczący "S" w zakładzie, Alojzy Szablewski. Zmienia się ranga protestu. Powstają postulaty, dwa z nich są wyraźnie polityczne: legalizacja zakładowej "S" i uwolnienie więźniów politycznych. To także odróżnia strajk stoczni od nowohuckiego protestu. Tu od samego początku następuje śmiałe nawiązanie do solidarnościowego dziedzictwa. Przed bramą główną znów sierpniowa atmosfera. Znów kraty udekorowane kwiatami, obrazy papieża i Matki Boskiej. Tłum gdańszczan rośnie, mimo nieskutecznego kordonu milicji. Ludzie oklaskują siedzących na bramie stoczniowców tak samo gorąco, jak 7 lat temu. Za kratami podejmowany jest już temat ewentualnej interwencji ZOMO: "Co ty, nie wejdą, Gorbaczow nie pozwoli, mało ma bigosu z Afganistanem". Strajk dopiero się zaczął; duża część młodych boi się, iż palnęła głupstwo. Nigdy jeszcze w życiu nie strajkowali, w Sierpniu byli w podstawowce. Wyraźnie widać, że tłumy pod bramą są strajkującym bardzo poprzębne. Dlatego tak często pod bramą słycać wspólny śpiew czy skandowanie: "My nie poddamy się, BKS" /ten ostatni skrót, to nawyk kibicowania gdańskiej Lechii/. Na bramach trwa dziwna z początku symbioza młodej straży strajkowej ze strażą przemysłową. Rola tej ostatniej jest czysto figuratywna, skoro to komitet strajkowy decyduje kto wchodzi na teren stoczni.

Pod wieczór dyrektor Tołwiński podejmuje próbę zastraszenia strajkujących. Wraz z około 15-osobową grupą majstrów podchodzi pod bramę i wzywa załogę do rozejścia się. Styl zachowania dyrektora godny Łódzkiego fabrykanta z XIX w., nie wróży rychłych negocjacji. Jednak krzyki dyrektora zostają przyjęte śmiechem. Co więcej, członek Komitetu Strajkowego, Stawcki wzywa dyrekcję do opuszczenia zakładu. Próba sił kończy się remisem: grupy dykcji nie da się usunąć bez bójki, z drugiej strony próba skłonięcia załogi do opuszczenia stoczni nie wywiera na niej najmniejszego wrażenia.

Pierwsza noc robotnicy spędzają pod gołym niebem śpiąc na styropianowych płytach. Na szczęście noc jest upalna. Następnego dnia "milcząca większość" w małym stopniu zasila strajkujących. Ale chłopcy mają już poważny atut, jest nim Lechu! Jeszcze w poniedziałek odmówił przewodzenia strajkowi, bojąc się angażować w niepewną akcję. Ważesa jest na fali, czuć, że atmosfera walki i ryzyka dodaje mu skrzydeł. Chce pomóc chłopakom, być może widzi w nich odbicie siebie z Sierpnia 80, kiedy też był nieznanym nikomu zapaleńcem. W przemówieniu wzywa władzę do zmiany systemu, do postawienia na pluralizm. Argumentuje, iż 7 lat temu "S" była skazana na klęskę z racji ówczesnego nastawienia ZSRR: "Breżniew żył o dwa lata za długo". Teraz, korzystając z pieriestrojki, należy skończyć z systemem władzy stworzonym 13 grudnia, który doprowadzi w końcu do nieobliczalnego społecznego wybuchu. Przemówienie jest jasne i konkretne. Stoczniowcy wyraźnie czekają na przyłączenie się innych zakładów. Wciąż żywy jest schemat sierpniowy, gdy do stoczni dołączały inne zakłady. Ale historia się nie powtarza, co więcej od 15.00 stocznia po raz pierwszy zostaje odcięta od świata blokadą ZOMO. Pogoda, się psuje, deszcz wygania wszystkich do stołówki, która,

staje się główną bazą strajkujących. Do tego kiepskie na razie posiłki: pajdy chleba z masłem, przez niektórych posypywane cukrem, ironicznie nazywane bagietkami.

Patrole robotników obchodzą parkan będący obecnie linią frontu. Trwa burza, błyskawice oświetlają wymarły plac. W oddali sylwetki ZOMO-wców utrzymujących blokadę. Narzuca się skojarzenie z obłąaną twierdzą. Niekiedy ZOMO-wcy zbliżają się do płotu i obie strony obserwują się w milczeniu. Brama kolejowa wzmocniona zostaje przez kolczatki, duże metalowe zbrojenia. Na sterzące pręty nałożono puste butelki, w razie ataku szkło przekłuże opony. Stoczniovcy uważnie obserwują ruchy ZOMO. "Chłopaki, trzeba iść na wydziały, rurki kroić". Ktoś naiwny pyta: "A co, sądzicie, że w nocy będą atakować?" Wybuch śmiech: "Nie, będą tylko smurfować!".

Wiosna smurfów

Trudno rzec, kto pierwszy nazwał milicję "smurfami", chyba "Pomarańczowa Alternatywa". Już 1 V Wałęsa użył tego słowa w przemówieniu. Potem zrodził się kawał. - Dlaczego już nie ma smurfów w TV? - Bo wszystkie blokują stocznię!. Smurfy były ozdobą strajkowej stoczni, bojową sunnicową nazwano "smurfetką", jednak najczęściej nazwę "smurf" kójarzono /ku oburzeniu dzieci/ z zomowcami. Trochę problemu stwarzał łamaniec logiczny, w którym sympatyczne skądinąd skrzytaty zostały utożsamione z brzydka milicją, tylko z racji swego niebieskiego koloru. Ale co zrobić z ich prześladowcą Gargamelem, wrednym, acz nie błękitnym? Problem ten rozwiązała strajkowa ballada:

"W Polsce jest ZOMO, jest smurfów wiele,

A wszystkim rządzi Gargamele.

Główny z nich Wojciech, bardzo się stara,

By nie cierpiała smurfów wiara".

Duży problem dla strajkujących stwarza obecność na terenie stoczni grup majstrów oraz oddziałów OC, które krążą po zakładzie prowokując starcia. Na razie czekają na atak ZOMO, w razie czego mają pełnić rolę "piątej kolumny". W środę, po raz trzeci i ostatni pochod strajkujących obchodzi wydziały. I tym razem dołączają naprawdę nieliczni. W rezultacie przez strajk przewinęło się około 2 tys. robotników, czyli 1/6 załogi. Ale trudno uznać to za dowód, na bojkot protestu. Podobne liczby strajkujących cechowały poprzednie strajki. Sierpień jest wyjątkiem, ale warto przypomnieć, że początkowo strajk prowadzilo wtedy także kilkuset stoczniovców. Potem, gdy okazało się, że powtórka z grudnia 70 nie grozi, a władze rozmawiają ze strajkującymi, załoga zaczęła zasilać strajk. Także kilka setek strajkowało w grudniu 81. W sytuacji zagrożenia pacyfikacją strach przeważa. Pozostają młodzi, nie posiadający rodzin, nie mający zbyt wiele do stracenia.

W środę jest już jasne, że zdecydowane poparcie okazują jedynie studenci, a nie zakłady pracy. Grupa ze Stoczni im. Lenina przechodzi na teren Gdańskiej Stoczni Remontowej, obchodzą wydziały i wzywają do strajku. Słaby odzew. Nie wyłaniają się lokalni przywódcy. Po południu brama łącząca oba zakłady zostaje z polecenia dyrekcji zespawana. Jeszcze gorzej jest w Porcie Gdańskim, gdzie lokalni działacze "S" bezskutecznie próbują zachęcić załogę do strajku. Rozgoryczeni stoczniovcy z wolna przyzwyczajają się do myśli, iż teraz muszą prowadzić walkę bez oglądania się na innych. Rośnie determinacja.

Większość młodych stoczniovców trafiła do zakładu z małych

miasteczek, prowadząc szare życie w hotelach robotniczych. Teraz dano im "Solidarność". Nareszcie mają coś z czym mogą się utożsamiać. Co więcej, ze zdumieniem obserwują, że rozpoczęte przez nich zmagania popierane są przez licznych kibiców z miasta, że ich świadomość krzywdy podzielają poważnie wyglądający doradcy komitetu strajkowego, że popiera ich śwint. "S" jest ich pierwszą polityczną miłością, dodajmy - miłością od pierwszego wejrzenia. Wcześniej coś tam mogliście słyszeć o zadymach, o ulotkach, o Wałęsie. Teraz Wałęsę mają tuż przy sobie, cierpliwie tłumaczy im swój program. Oni są postaciami nr 1 tego strajku, a jednocześnie autorytet Wałęsy daje im pewność, że ich protest nie jest szczeniacką rozróbą. Między 45-letnim Wałęsą, a nastoletnimi chłopakami wytworza się specyficzna więź duchowa, stoczniovcy wierzą mu bez zastrzeżeń. Z chęcią włączają się w dyskusje z Lechem, nareszcie mogą wypowiedzieć swoje zdanie i, co ważne, ktoś ich słucha!

"Wspomagacze"

Lechu zaprezentował się jako inteligentny i elastyczny przywódca. Niczym zachodni politycy, którzy z biegiem lat wychodzą na rynek wyborczy z coraz to nowym imażem, Wałęsa zmodernizował swój publiczny wizerunek. Po latach drętwej deklaracji, zdecydował się na aktywny udział w wydarzeniach. Zaprezentował się jako doświadczony polityk, rezerwujący sobie pewien dystans do wydarzeń, ale zdolny do szybkiego wysunania się na czoło, gdy sytuacja zaczyna rękować szansę powodzenia. Odczyt w nim coś z sierpniowego Wałęsy, instynktownie wyczuwającego nastroje tłumów zdolnego do szybkich i pewnych posunięć.

Oni, tsi bohaterowie wydarzeń to "wspomagacze". To oni rozpoczęli wydawanie strajkowego biuletynu, oni zorganizowali strajkową w sytuacji, gdy Komitet Strajkowy wdrugał się przed założeniem stoczniowej powiatarni. "Wspomagacze" nikt nie zwolniali. Bez porozumienia między sobą, stawili się kolejno w stoczni przynosząc sprzęt wywalczony wcześniej z trudem dla swych pisemek. Przeżywali przy okazji miłe spotkania: "O, ty też tu jesteś", albo: "No, to dopiero cię mam, kiedy oddasz pożyczone matryce?". Główną grupą "wspomagaczy" stanowiło najmłodsze pokolenie opozycji: 19-23 lata.

Podobnie jak młodzi stoczniovcy, oni także słabo pamiętali okres legatnej "S". Wyrosli z opozycji licealnej lub z "Wip". Dla nich punktem odrodzenia przy rozpoczęciu działalności jest nadal stan wojenny. Dobrze znają swój fach, zaczęli przecież druk od prywatnych "wałów", by po latach dopiero dojść do powielaczy. Co ciekawe, poza dwoma wyjątkami, rzucał się w oczy brak wśród nich ludzi w wieku 25-35 lat. Nie widać było w praktycznym działaniu wychowanków RMP czy też dawnych aktywistów NZS. Strajk wspomagali więc albo doradcy, panowie około, lub grubo powyżej 40-tki, albo nie rzucający się w oczy 20-latkowie.

Wejda - nie wejda

Poranna informacja o pacyfikacji Nowej Huty nakłada się na wcześniejszy komunikat dyrekcji o zawieszeniu pracy w zakładzie. Część stoczniovców odbiera to jako zapowiedź bliskiego ataku ZOMO, część obawia się, że pogróżki o rozwiązaniu stoczni nabrądy

realnego kształtu. Trwa atmosfera impasu, dyrekcja nie korzysta z propozycji mediacji wysuwanych przez przedstawicieli Episkopatu. Rozpoczyna się epopeja kurierska. Wobec obstawienia stoczni kordonem, można dostać się do niej tylko przechodząc przez teren sąsiednich zakładów. Pracownicy Gazowni, Zajezdni WPK i Stoczni Północnej zaczynają spotykać w swych firmach młodych chłopaków z plecakami. Oczywiście, nikt nie okazuje zdziwienia, co więcej, np. kierowcy autobusów wwożą na teren zakładu paczki z żywnością lub też wywożą na zewnątrz kładących się na podłodze chłopaków. Po pewnym czasie ZOMO obstawia kolejne przedsiębiorstwa, ale pomysłowość kurierów nie ma granic.

W czwartek, po południu atmosferą w stoczni gęstnieje. W opinii większości w nocy nastąpi atak. Świadectwem tego jest masowe przebieranie się z roboczych drelichów w ubrania wyjściowe. Nieliczni nie wytrzymują nerwowo i uciekają płotami. Krążą najfantastyczniejsze plotki. Jedna z nich mówi, iż brygada terrorystyczna już znajduje się na terenie zakładu. Ma rzekono być ubrana w dresy, co ułatwi zomowcom jej rozpoznanie.

W tej atmosferze najlepiej pomaga śmiech. Przy bramie zwisa styropianowa kukła Urbana, obok dziewczyna ze szkoły muzycznej uczy nowej piosenki strajkowej.

Ale pod wieczór robi się jeszcze bardziej duszno. Koło bramy kolejowej mieszkańcy pobliskiej kamienicy tkwią w oknach, wszyscy na coś czekają. "Podobno na Przeróbce opróżnili cele na 300 osób, resztę miejsc robią w innych więzieniach".

Anioł Pański. Szablewski wzywa do spokoju: "W razie ataku nie wdawajcie się w bójki...".

W stołówce napięcie, przy lada hałasie dużo osób podchodzi do okna.

Około dziesiątej wieczorem przedłużające się napięcie nerwowe zmienia się w zrezygnowany spokój: "Wejda? No trudno, nic na tym nie zyskają".

Po godzinie ZOMO pozoruje atak na bramę kolejową, stróż używa syreny do ostrzeżenia załogi, funkcjonariusze się cofają. Aby zająć czymś nerwy, wiele osób siada przy radio. Gdy o pierwszej w nocy padają słowa: "Kończymy emisję audycji Radia Wolna Europa. Dobranoc państwu", następująca po nich cisza budzi nieprzyjemny dreszcz. O 2.30 milicyjne sukni na sygnałach podjeżdżają pod bramę główną, wszyscy są na nogach. Zomowcy w pełnym rynsztunku kręcą się wzdłuż płotu. Po chwili oczekiwania, nic nie następuje. Zmęczenie zwycięża obawy. Gdy zaczyna się brzask, szanse na udany atak gwałtownie spadają.

Studenci, dziewczyny i szcoteczka do zębów

Piątek przyniósł ogromne odprężenie. Utrwalił się pogląd, że rozbicie Huty kosztowało władzę zbyt wiele by miała powtórzyć manewr siłowy. Są jednak i niepomyślnie wieści. Zakończony zostaje strajk na Uniwersytecie Gdańskim, dzień wcześniej dobiegł końca protest na Politechnice. Świadomość studenckiej solidarności była dla stoczniowców bardzo ważna. Przy bramie nr 3 wielokrotnie skandowano: "Niech żyje Politechnika", "Niech żyje Uniwersytet". Nieoczekiwanej aktualności nabrał często śpiewany przebój "Róż Europy" z uaktualnionym refrenem: "My studenci Uniwersytetu, my robotnicy Stoczni Lenina". Rzeczywistość wykazała jak wiele łączyło przeciwstawianych w piosence "ładnych chłopców" i "brzydkich chłopaków", w pocie i trudzie budujących

pociągi i statki". Podobnie "wspomagaczy" otaczano szacunkiem i sympatią. Dbano o ich bezpieczeństwo, przed wejściem do redakcji siedziała straż strajkowa, wpuszczająca do wewnątrz tylko znane twarze.

Ogromny aplauz budziła informacja o projekcjach nagrań video jakich dokonywali obecni na sali filmowcy z ekipy "Gwiazdy Morza". Pokazy filmów /kurierzy na bieżąco wynoszą nagrane kasety/, odbywały się w kościołach Gdańska.

Wraz z utrwalającym się przekonaniem, że atak nie nastąpi powraca wiara w sukces. 21-letnia robotnica z narzędziowni stwierdza: "Jak strajk się nie uda, to co mi zaborą? Będąc tu mogę tylko zyskać. Ludzie nareszcie zrozumieli, że coś jest nie tak. Co mamy do stracenia? Mieszkania za 40 lat?"

Dziewczyno w strajku zostało niewiele, ale są za to bardzo bojowe. Początkowo wyglądały jak prawdziwe rewolucjonistki. Ubrane w zbyt obszerne drelichy, polskie "Passionarie". Był w nich jakiś rys szlachetności, jakieś zaangażowanie dostępne tylko bardziej uczuciowym z natury kobietom.

Tymczasem jeden z mężczyzn nie wytrzymuje napięcia, rozbija szybko i chce wyskoczyć na bruk. Doznaje ataku epilepsji, po czym trafia do stoczniowego szpitala. Trudno orzec co się dzieje w duszach tych ludzi. Na ile wspólne śpiewanie hymnu strajkowego "Solidarność zwycięży znów" - to oznaka luzu, a na ile ucieczka przed strachem?

O nadmiar lęku trudno jednak podejrzewać samorzutnie sformowany strajkowy kabaret "Masztalskiego". Kabaret obwożony jest po wszystkich bramach, tam dopiero widać jak bardzo potrzeba chwili oddechu przy parodiach konferencji Urbana.

Dzięki sprawnej służbie kurierskiej, żywności nie brak. Wzięcie głodem nie wchodzi w grę, jednak niepokoja przecieki z KW PZPR mówiące o planach odłączenia prądu. Kurierzy zapewniają oprowiantowanie, jednak z czasem wychodzą na jaw nieprzewidziane potrzeby. Oto pod koniec tygodnia większość biura prasowego i wielu dziennikarzy zaczyna cierpieć na brak długopisów. Po prostu nikt nie przewidział blokady i wkłady się wypisują. Na szczęście, pod wiecior trafia karton długopisów, które przesyła "wuj Henio" /pseudonim ks. Jankowskiego/.

Inny rarytas, to skarpetki. Wiele osób w obawie przed atakiem spało w butach i po paru dniach odparzyło nogi. Wreszcie szczoneczki do zębów, które są rozchwytywane. Jedną sztukę uroczystie otrzymuje Tadeusz Mazowiecki. Jedno ze zdjęć z konferencji prasowych Komitetu Strajkowego ukazuje pana Tadeusza oglądającego nowy nabytek. Ciekawe, jak rozgryzą tę scenę przyszli historycy.

Stocznia zapełnia się też dziennikarzami. Korespondenci zachodni jak zwykle mrugają ze zdumienia zza swych okularów i wiecznie nie rozumieją z tego, co się dzieje. Zgrabne sylwetki i blond fryzury zachodnich żurnalistek obserwowane są kątem oka przez stoczną brać. Obiektem zainteresowania obcokrajowców jest z kolei głównie Wałęsa.

W stoczni reprezentowana jest też prasa niezależna. Są "rekiny z Warszawki" - PWA i tygodnik "Mazowsze". Redakcja "Solidarności", pisma Regionu Gdańskiego posuwa się do składania numerów bezpośrednio w stoczni i wysyłania makiet przez kurierów. Jest prasa katolicka: "Powściągliwość i Praca" i "Gwiazda Morza". Dzień pokuty nadszedł zaś dla prasy oficjalnej. Po dwóch dniach pobytu wyleciała ze stoczni ekipa telewizyjna gdańskiej "Panoramy", odcinając gorzkie kupony od polityki informacyjnej swych kolegów z redakcji, co dzień zawzięcie szkalujących strajk. Nie wpuszczono reportera z CAF. Bramy dziennikarskiego raj

zamknęły się też przed wysłannikami "Polityki". Prasę oficjalną przez cały okres strajku reprezentował jedynie reporter "Tygodnika Kulturalnego", któremu prawo obywatelstwa zapewniło podpisanie apelu dziennikarzy niezależnych, protestujących przeciw rządowej kampanii dezinformacji o majowych strajkach. Gdy jednak w jednym z numerów strajkowego biuletynu chciano wydrukować pod apelem także i jego nazwisko, dzielnego żurnalista poprosił o zaniechanie tego pomysłu. "Nie szukam taniej reklamy" - wyjaśnił w uzasadnieniu.

Gadał dziad do obrazu...

W sobotę dyrekcja przystępuje do rozmów. Skąd ta cudowna przemiana czyżby Komitet przestał być nielegalny? Stocznia tłumaczy to na swój sposób: "No i zmiękli, pewnie na górze kotłownia". Dyrekcja oferuje jedynie podwyżkę 15 tys. /odjawszy dodatek osłonowy i premię pozostaje z niej tylko 7,5 tysiąca/ oraz oświadczenie prokuratora, iż pracownicy nie będą aresztowani. Propozycje dyrekcji mają charakter ultimatum. Komitetowi pozostawiono 3 godziny na przyjęcie owego dictum. Toteż odrzuca on szantaż, proponując rozmowy nazajutrz. Groźba ataku znów powraca, choć już w nie tak intensywnej formie. Nadchodzi jednak odprężenie, gdy dziennik TV podaje o kontynuacji rozmów w niedzielę. Hurra! No to panowie, dziś śpiemy spokojnie.

Tymczasem na "Trójce" /Brama Nr 3/ podniecenie. Lechia skończyła właśnie mecz z Górnikiem Wałbrzych. Trójka, to witryna strajku. Tylko tu odcięci blokadą od głównego wejścia gdańszczanie widzą zakład z bliska, gdy kolejki zatrzymują się na stacji Gdańsk-Stocznia. Przemysłni stoczniowcy obsmarowali dachy napisami i witają każdą kolejkę lub pociąg dalekobieżny skandowaniem haseł i machaniem flagami.

ZOMO posuwa się do absurdalnych działań. Na peronie patroli zakazują obywatelom spoglądania w kierunku stoczni, wypytując czemu właśnie tu wysiadają z kolejki. Pozdrawiający stoczniowców są legitymowani. Przejeżdżające pociągi są wypchane wracającymi z meczu lechistami. W powietrzu fruują szaliki, słychać skandowanie "So-li-dar-ność". Stoczniowcy drą się jak mogą: "-Kto wygrał? - Nasi! Jeden do zera. - A kto strzelił? - Przygodzki! - Hurra! Lechia wygrała, to i my wygramy! Wczorajem rusza radio stoczniowe - zasięg na całe Trójmiasto. Pełny optymizm. W stołowce wspólne oglądanie w kinie nocnym "Króla szcurów".

Niedziela zaczyna się mszą. Na terenie stoczni staje krzyż zbity w nocy przez stoczniowców. Mszę odprawia ks. Bryk wysłannik biskupa. Nabożeństwo przynosi ukojenie nerwom zszarpanym huśtawką nastrojów. Niedziela stoi pod znakiem rozmów. Między 13 a 14 trwa pierwsza tura. "Spotkanie wykazało brak woli władz z zakończenia strajku" metodą wzajemnych ustępstw"- mówi tekst wydany po rozmowach oświadczenia Komitetu Strajkowego. Około 15.40 doradca KS, mec. Siła-Nowicki proszony jest do telefonu. To generał Kiszczak - obiecuje w zamian za zakończenie strajku do godziny 18-ej natychmiastowe przyjęcie postulatu płacowego, bezpieczeństwo oraz zwolnienie większości politycznych. Rosną obawy, czy Siła-Nowicki nie ulegnie ambicji zostania mężem opatrnościowym, który dążyć będzie do zawarcia umowy nawet za cenę niekorzystnych ustępstw. O szóstej wieczorem mecenas znów rozmawia z Kiszczakiem. Zredagowano pismo do dyrekcji. Czytamy

w nim m.in. "Jesteśmy gotowi nie uzależniać od spełnienia tych postulatów /tj. legalizacji "S" i zwolnienia więźniów politycznych zakończenia naszego strajku". O wpół do siódmej Celiński odczytuje pismo zaznaczając: "Nie jest to propozycja zwycięskiego zakończenia strajku, tylko rozejmu". I to musi być jasne ... Naszymi rozmówcami są generałowie i to też ujemnie określa naszą siłę ... Gdy zaczynaliśmy, sądziliśmy, że jest to początek walki, do której przyłącza się inne zakłady. Stocznia została sama... Strajk w Hucie Lenina i Stoczni to kiełkowanie roślinki, jest ona bardzo słaba. Trzeba ją chronić. Dlatego zaproponowaliśmy władzy rozejm. Chcieliśmy uzyskać pewien przyciółek, aby poszedł w kraj sygnał, że strajk coś uzyskuje ... Proszę o dyskusję". W tym momencie rozlega się chóralny okrzyk: "Nie ma wolności bez "Solidarności" ". Słychać okrzyki: "Nie wyjdziemy ze stoczni, póki nam nie zatwierdzą związku".

Sytuację postanawia opanować Wałęsa: "Musimy mieć wiele wersji, trzeba je przedyskutować. To jest wersja minimalna, ale pamiętajmy z kim gramy. Dziś w nocy będą nas podchodzić z pałami, straszyc helikopterami. Czy wytrzymacie? Lech Wałęsa i Andrzej Celiński na pewno... Rozmowy trwają. Szanse mamy nieduże, ale my się nie poddamy".

Brak zgody dyrekcji na propozycje wysunięte w piśmie Komitetu odsunął możliwość zakończenia strajku, która zarysowała się już tego dnia. Na pytanie - "Czy czekając, uzyskamy coś więcej?" - nie było jasnej odpowiedzi. Mec. Siła-Nowicki twierdził, że propozycje Kiszczaka to szczyt możliwości władzy, inni nie byli przekonani, czy można wierzyć słowu generała. Co do robotników, większość z nich nadal sądziła, iż najważniejszym celem strajku jest legalizacja "Solidarności".

Niezależnie od radykalizmu młodych, rozmowy toczą się w końcu już tylko na poziomie postulatów płacowych i bezpieczeństwa strajkujących oraz osób wspomagających. Punkt sporny, to wspólna komisja samorządu i strajkujących, która miałaby nadzorować wykonanie porozumienia. Mimo niesprecyzowania jej kształtu, władze boją się, iż będzie ona początkiem niezależnych związków - zmieni się w owe "pół pokoju", o które apelował Wałęsa w rozmowie z neozwiązkowcem Kościelskim.

Celiński poddaje pod rozważę, iż w razie impasu najlepszym rozwiązaniem byłoby honorowe wyjście ze stoczni, z pieśnią na ustach. Znow huśtawka nastrojów.

O 21.00 wznowienie rozmów. Stanowisko dyrekcji jest dość elastyczne. Trwają jedynie spory na temat określenia składu komisji. W końcu kierownictwo stoczni godzi się na udział członka Komitetu Strajkowego w jej pracach, ale na zasadzie dżentelmeńskiej umowy, bez ujmowania tego w protokole.

Przed północą rozmowy ulegają zawieszeniu do 4 rano w poniedziałek. Gdy delegacja KS udaje się na kolejną ich turę panuje dobry nastrój. Delegaci żartobliwie nucą: "bóg to jest nasz ostatni, krwawy skończy się trud, gdy związek nasz bratni ogarnie ludzki ród".

Niestety, w ciągu 4 godzin stanowisko dyrekcji ulega znacznemu usztywnieniu. Widać, że nie zależy jej na porozumieniu. Znow pojawiają się słabo kamuflowane groźby użycia siły. O ósmej rozmowy zerwana. Wychodzą z sali. Mazowiecki wygląda na wstrząśniętego agresywnym zachowaniem delegatów kierownictwa stoczni. Wałęsa: "Jeśli to ma być żebractwo, to odrzucam je. Wtedy wychodzimy z honorem, nic nie biorąc".

... jak ochłap parę złotych...

O 14-ej kolejna konferencja prasowa Wałęsy: "Nie wiedziałem, że wojna psychologiczna jest tak groźna. Sądziłem wcześniej - wejda nie wejda. Teraz odpadło to. Informacji jest bardzo dużo. Nie wiadomo w co wierzyć. Podejrzewam, że ktoś to specjalnie wywołuje. Wpierw informacje, że strajkuje np. browar w Pcimiu, który potem po 500 zł podwyżki wraca do pracy. Ten kto jest słaby, niech weźmie watę i zagłuszy się. Niech wszystko olewa. Musimy się tej broni psychologicznej przeciwstawić.

Przed północą do Siły-Nowickiego dzwoni Kiszczak i oświadcza, że porozumienie może być zawarte, ale na warunkach z 4 rano. Jest to już ostatni sygnał ze strony rządowej. Komitet przestaje wierzyć w możliwość dalszych rozmów. We wtorek, od rana kordon zaciętnia się. Około 13.00 delegacja KS składa wizytę u biskupa.

"Rozwaga i Solidarność" /wersja "miejska" Nr 10 z 10 maja/ pisze: "Czekamy na odzew w kraju i na Wybrzeżu, na inne stocznie, na rafinerię. Aż się nie chce wierzyć, że mogło ich zatrzymać rzucone jak ochłap parę złotych". Gdy nadchodzi wiadomość o zakończeniu strajku w Ursusie, uwierzyć trzeba - Sierpnia nie będzie!

O 18.30 w stołowce odbywa się jawne zebranie Komitetu strajkowego. Stosunkiem 10 do 2 przegłosowany zostaje wniosek o wyjściu ze stoczni bez zawierania porozumienia z dyrekcją. Przemawia Szablewski, Wałęsa, Mazowiecki. Wymarsz wyznaczony zostaje na ósmą wieczorem.

Wiec kończy się, ale robotnicy wciąż nie mogą wyjść z szoku. A więc "Solidarność" nie będzie! To po co do cholery siedzieliśmy tu 9 dni? Część strajkujących chwytą się za ręce i ostatni raz śpiewa swą pieśń "Solidarność zwycięży znów". Dziewczyny płaczą. Na 40 minut przed planowanym wyjściem, do stoczni przedziera się ostatni kurier.

Inna atmosfera panuje w redakcji i drukarni. Chłopcy obawiają się, że po wyjściu ze stoczni zostaną aresztowani. Gorączkowo palą rękopisy. Pakują maszyny do pisania, sito i powielacz. Poszczególne grupy omawiają drogi przerzutowe. Szybkie pożegnania, nikt nie wie, czy przejścia nie są już obstawione przez SB. Tylko ekipa "Gwiazdy Morza" kręci w stołowce tymczasem wywiad z wiceprzewodniczącym KS Janem Górczakiem. Na pytanie, czemu nie podziękowano wspomagającym z redakcji i drukarni, Górczak odpowiada: - Robię to teraz, bez nich nie dalibyśmy rady ... Powoli zbiera się tłum. Na czele krzyż, z tyłu obrazy papieża i Matki Boskiej. Za pięć minut otworzy się brama ...

MARCIN BIELSKI

Bunkier

Na podstawie oficjalnych środków przekazu można było zbudować sobie taki obraz strajku: nieliczni rozrabiacze zawładnęli stocznią, okupują ją, terroryzują pozostałą część załogi, nie chcą wpuszczać do stoczni samochodów zaopatrzeniowych (niezbędnych kierownictwu zakładu), żądają rzeczy niemożliwych. Do tego należy jeszcze dodać wiadomości, które później były rozpowszechniane: strajkujący-młodzi chłopcy wprowadzali sobie panienki, jedli co i ile chcieli (nawet czekoladę), palili "cudzesy", za każdy dzień strajku otrzymywali z konta dewizowego Wałęsy po kilkanaście dolarów...

Zabrakło w tych relacjach informacji o drugiej stronie wewnętrznej barykady - o kierownictwie przedsiębiorstwa, grupach wspierających je aktywistów, doradców i dezydentów wiszących przy telefonach, o tych, którzy podczas strajku "pracowali" w pocie czoła. Stocznia stała, lecz oprócz strajkujących znajdowało się w niej kilkaset osób wykonujących specjalne zadania. Byli to właśnie członkowie ścisłego kierownictwa administracyjnego, politycznego, samorządowego oraz związkowego, którzy do dyspozycji mieli specjalne oddziały Obrony Cywilnej (OC) oraz - po zawieszeniu działalności stoczni - grupy tzw. utrzymania ruchu (UR). Co robili, o czym myśleli, jaki mieli obraz strajku, jakie postawiono przed nimi zadania? Postaram się to zrekonstruować - na podstawie własnych obserwacji, informacji źródłowych a także rozmów przeprowadzonych w trakcie i krótko po zakończeniu strajku. Wówczas, gdy jeszcze nie ubarwiano zdarzeń i swoich o nich opinii.

Gmach dyrekcji od pierwszego dnia był pilnowany przez specjalne służby - mundurową straż przemysłową oraz osoby cywilne ubrane w robocze uniformy. Nikt nie wdzierał się do wewnątrz siłą, nikt nie próbował zająć budynku. Osoby postronne mogły zapukać do drzwi, porozmawiać przez szybę.

Do dyrekcji można było się dodzwonić z miasta - wykrywając numer dyrektora naczelnego, ze stoczni - numer wewnętrzny. Czynne były tylko nieliczne telefony z numeracją miejską, wyłączona została na polecenie dyrekcji centrala, odcięto stocznie od miasta, tak jak w stanie wojennym. Działka netomiant "gorąca linia" - do konsultacji, przyjmowania dyspozycji i udzielania oficjalnych informacji przez rzecznika prasowego stoczni.

Kierownictwo dysponowało radiostacją, także miała pilnowanym przez specjalne służby, co okazało się jednakże zbyt małą przezornością, gdyż strajkujący nie mieli zamiaru "walczyć" o cokolwiek wewnątrz stoczni. Zajęli bramy, stółkę i nic więcej.

Chcieli rozmawiać, a nie walczyć. Ci, którzy pamiętali Sierpień 80, nie powinni obawiać się strajkujących. Wówczas "walka wręcz" zaczęła się i zakończyła na przekreśleniu tablicy informacyjnej branżowego związku. Teraz neozwiązkowcy mogli dowolnie spoglądać przez okna ze swojej siedziby, z której siedem lat temu ZOMO siłą wyciągało ostatki strajkujących. Nikt związkowcom nie zagrażał. Na wazelki jednak wypadek zamykali drzwi od środka...

Przewodniczący związku zawodowego atoczniovców, do którego oficjalnie należy połowa załogi (wraz z emerytami), Henryk Kościelski swój stosunek do strajku wyraził poprzez radiowęzeł, a także podczas wiecu przed bramą nr 2. Strajk jest prawnie nielegalny, kierownictwo go nie uznaje, a związek zawodowy - nie popiera.

Kościelski należał do "Solidarności", może nawet sympatyzował, lecz jest to już historia, zamknięty rozdział. Od 1982 roku ciągnie się nowy etap, są - jak sam to określił - neozwiązki. Lepsze, gorsze - dyskusyjne to i mało ważne. Ale są. Jest też wykładnia polityczna pluralizmu i legalizacji "Solidarności" nie da się tutaj, w stoczni poprzez strajk ani podjąć, a tym bardziej zakatwić.

Być może w głębi Kościelskiego tkwi coś innego. To, że kto jak nie on - związkowiec powinien popierać załogę, tym bardziej młodą, najbardziej odczuwającą skutki kryzysu, a szczególnie ostatnich podwyżek. Owszem, popierał, atarał się, dyskutował z dyrekcją, w jaki sposób zrekompensować skutki operacji cenowej, lecz szło opornie. W innych stoczniach przyznali podwyżki i to spore - po kilkanaście tysięcy. W "Północnej" płacą już od marca, w Gdańskiej Stoczni Remontowej system wynagradzania jest jasny, motywacyjny i samoregulacyjny. Nawet w gdyńskiej "Komunie", która do niedawna była pod kreską, spisywana na straty - jako ofiara reformy - jakoś uporano się z roszczeniami płacowymi. Po krótkim strajku na wydziałach kadłubowych dyrekcja wypłaciła każdemu po dodatkowych 8,5 tys. zł i na razie spokój.

A w Gdańsku kłapa. Kościelski dobrze wie, że w jego stoczni system wynagradzania jest lipny. Kilka miesięcy przygotowywali nowy system, oparty na wartościowaniu pracy. Pomagali im doradcy z "Promoru", lecz trwało to zbyt długo. Na obietnicach podwyżek się zakończyło. I jest strajk. Nie dość że ekonomiczny, to jeszcze polityczny. Pluralizm nie uderzyłby bezpośrednio w związek Kościelskiego dając nawet możliwość współistnienia, lecz na dłuższą metę mogłoby odebrać członków. Związek jest dość liczny, bo jedyny. Ma czym obdarowywać.

Kościelski krążył między budynkiem dyrekcji a barakiem przy bramie nr 2, gdzie czuwał cały aktyw związkowy. Zosteli "na posterunku" także po zawieszeniu stoczni. Śledzili na bieżąco negocjacje. Najbardziej się obawiali się jakiegoś porozumienia, a także ogłoszenia upadłości. Wówczas skończyłaby się działalność związkowa, a funkcjonariuszy czekałby powrót do normalnej pracy.

Obok związkowców mieli swoje gabinety samorządowcy - Rada Pracownicza. Przewodniczący Jerzy Bukowicz - ekonomista z wykształcenia - nie czuł się najlepiej. Mówił do stoczniovców: "Opamiętajcie się, jest jeszcze czas, aby wziąć się do roboty". A w domyśle - nie słuchajcie, młodzi, tych, którzy was zwodzą, którzy obiecują dolary, wszyscy pójdziemy z torbami, gdy nam stocznia władza rozparcaluje lub zaozre.

Bukowicz był członkiem komisji konkursowej wybierającej dyrektora. Rada Pracownicza zaakceptowała mgr Czesława Tokwińskiego. Lepszego nie było. Znał sytuację stoczni od podszewki - był zastępcą ds. ekonomicznych. Jeżeli podjął się kierowania firmą w trudnym okresie, to chyba miał pomysł na wydobycie jej z deficytu. Musiał to być pomysł, który "kupi" centrala. Wówczas jednym pociągnięciem długopisu anuluje zadłużenia za czwarty prom Stana Line - i sytuacja stoczni będzie uzdrowiona. Dyrekcja uzyskała zapewnienie, że ten prom zostanie spisany na straty, z winy tych, którzy odeszli już z areny politycznej i gospodarczej. To oni przecież podpisywali kontrakt, a konsekwencje przyszło ponosić stoczniowcom. Decydenci postawili jednak warunek: spokój w stoczni. I ten warunek przesłonił Bukowiczowi to, co powinien widzieć jako reprezentant interesów stoczniowców. A interes stoczniowców to nie tylko sytuacja ekonomiczna zakładu, to także zarobki wystarczające na utrzymanie, swoboda wyrażania opinii, podmiotowość, demokracja, wpływ na istotne decyzje - nie na papierze, nie w deklaracjach, lecz w życiu.

Rada Pracownicza jest organem przedsiębiorstwa, ustawowo przysługuje jej wiele uprawnień. Praktycznie jest taka, jakich ma szefów. Po stanie wojennym byli to ludzie wywodzący się z kręgów kierowniczych. Żadni partnerzy dla dyrekcji. Gdy w kolejnym dniu strajku rozpoczęły się negocjacje przedstawiciele kierownictwa i strajkujących, Bukowicz siedział w swoim gabinetcie. W poniedziałek, 9 maja "zachorował" i opuścił stocznię. Jego zastępca mgr inż. Włodzimierz Ziółkowski odgrywał w tym czasie swoją życiową rolę rzecznika prasowego stoczni i protokolanta podczas negocjacji. Czuł się znakomicie. Świadczył o tym jego korespondencje przekazywane drogą telefoniczną radiu, telewizji oraz prasie. W opinii negocjujących: skrupulatny (zapisywał każde słowo, a od drugiego spotkania dodatkowo nagrywał), drobiazgowy, lecz nie mający nic do powiedzenia. Do tego należałoby jeszcze dodać: sprytny (udało mu się niepostrzeżenia podczas strajku wyjść ze stoczni i wrócić na stanowisko) i z wyobraźnią. O wyobraźni świadczyć może przekazana rzecznikowi rządu informacja o terrorze, stosowaniu przemocy, niszczeniu mienia. Ponadto widziano to wszystko z okien dyrekcyjnej "fortecy". Co rzecznik mógłby powiedzieć o strajku, który oglądał ze swojego gabinetu? Nic oryginalnego. Przede wszystkim to, że jest to "dziki" strajk, że godzi w interes stoczni i stoczniowców. Słowo o Wałęsie - niepotrzebnie przyjęli go do pracy, teraz widać ile z nim kłopotów, ruszyć go nie można, traktowany jest przez młodych jak idol, a do roboty się nie garnie. I ta opozycja - lgnie do stoczni jak muchy. Oczywiście tego wszystkiego rzecznik nie powiedział mi osobiście. Telefonicznie też był trudno dostępny (ciągle albo "już wyszedł" albo "jeszcze nie zakończył się narada").

Niedostępny był również dyrektor naczelny Czesław Tokwiński. Przyjął przedstawiciele Episkopatu, powiedział, co miał powiedzieć, wystosował komunikaty do żałogi i praktycznie jego zadanie się skończyło. Siedział, rozmawiał, konsultował się, lecz nie ze strajkującymi. Gdy lody trochę stopniały i wreszcie uznano strajkujących za stronę, dyrektora reprezentowali jego zastępcy. Przedstawiali oświadczenia i chcieli kończyć rozmowę. Nie mieli wiele do powiedzenia, a gdy po konsultacjach wracali, wracali też do

punkty wyjścia.

Osobiście Tołwiński także nie wniósłby niczego do negocjacji. Bo i nie mógł wnieść? To co z nim wcześniej ustalono - ani kroku do tyłu. Rozmówcy strajkujących byli obecni tylko ciałem. Tołwiński wiele zawdzięcza tym, którzy podczas strajku oczekiwali od niego pełnej lojalności i nieustępliwości. Piął się mozolnie, szczebel po szczeblu, aż na sam szczyt kariery w stoczni. Rozpoczął w dziale płac, był młodzieżowcem z ZMS oraz aktywną partijnym. Brał każdą funkcję społeczną, którą mu proponowano: od przewodniczącego koła zakładowego TPFR do szefa stoczniowej organizacji honorowych krwiodawców. Nb. oba te stanowiska piastuje nadal. Gdyby ogłoszono upadłość stoczni, zostałby zapewne dyrektorem komisarycznym.

W grupie kierownictwa stoczni zabrakło I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR dr Wiktora Borcucha oraz posła - aktywnego związkowca i działacza partyjnego - Eugeniusza Wójcika. Sekretarz partii da głos na końcu przedstawiając wykładnię strajku na Plenum Komitetu Wojewódzkiego. Natomiast Wójcik w wywiadzie telewizyjnym przewodzącym w gmachu Sejmu ostro potępił strajk nazywającego "dzikim", podsycanym przez opozycję, w sytuacji gdy Polsce potrzebna jest przecież praca, praca i jeszcze raz praca.



To była góra barykady ustawionej wewnątrz stoczni. Zejdźmy niżej.

Niżej - dosłownie - znajduje się bunkier. Stoi niedaleko gmachu dyrekcji. Solidnie wykonany, z zewnątrz wygląda niepozornie. W środku - wszystko co potrzebne do życia, regeneracji sił i działania. W bunkrze można spokojnie pospać, przetrwać najtrudniejszy okres, można bronić się, a także przygotowywać do akcji o różnym charakterze. Podczas strajku w bunkrze tętniło życie - w gotowości bojowej. Kwaterowały tam oddziały Obrony Cywilnej. Stoczniowcy ubrani w mundury, zdyscyplinowani, gotowi do działań. Jakich? Szary członek OC nie musiał myśleć o tym, jakie przyjdzie mu wykonywać zadania. Był szkolony, wiedział jakie ma obowiązki, czego się od niego oczekuje. W OC nie ma ludzi przypadkowych. Wszyscy sprawdzeni, wypróbowani. A jednak w sytuacji kryzysowej założono drugie sito. Jeden z szeregowców OC (technik, 20 lat pracy w stoczni, zastępca kierownika) opowiadał mi: - Na początku - podczas mobilizacji - obwieściłem się, że ja także trafię do grupy operacyjnej. Jednakże jako bezpartyjny zostałem wyeliminowany. Opuściliśmy stocznice motorówką, aby nas nie szkanowano przy bramach. Taka była psychoza. Zresztą nie miałem ochoty ani na służbę, ani na strajkowanie. To nie to, co latem 1980 roku, gdy stanęliśmy razem, niemal wszyscy po jednej stronie. Od stanu wojennego mam już wszystkiego dość, nie widzę szansy na realizację marzeń, ideałów. Skazani jesteśmy na takie szarpanie.

Już po strajku rozmawiam z osobą, która - co wiem na pewno - była w bunkrze (inżynier, partyjny, związany towarzysko)

- Gdyby trzeba było - powiedział - bronilibyśmy się.

- Przed kim, kto was atakował?

- Słyszałem, że strajkujący chcieli opanować stocznię, że mają zamiar wysadzić ją w powietrze. Na takie numery nie mogliśmy pozwolić. Mamy kontrakty, na których realizację czekają radzieccy partnerzy.

Poprzez konfrontację chciano zamieszać w układzie sił między Wschodem a Zachodem. Prowokatorzy mieli na celowniku naszą reformę oraz radziecką pierestrojkę.

- Wiarzysz w to co mówisz?

- A co, ty chciałbyś, aby w sklepach znowu był tylko ocet, aby czołgi musiały pilnować bram stoczni?

- O czym rozmawialiście w bunkrze?

- W jakim bunkrze, to wroga propaganda!

- Cóż więc robiłeś w stoczni podczas strajku?

- Pilnowałem stoczni, to był mój obowiązek.

- Co by się z wami stało, gdyby nastąpiła pacyfikacja?

- Myśleliśmy o tym, zapewniano nas, że otrzymamy wcześniej informację, aby się ukryć.

W bunkrze nie byłem. Przechodziłem jednakże obok budynku, w którym mieści się słynna sala BHP. W budynku tym kwaterowała grupa tzw. utrzymania ruchu. Zostali do niej powołani kierownicy wydziałów, którzy z kolei mieli dobrać sobie odpowiednich pracowników. Odpowiednich - to znaczy fachowców, potrafiących obsługiwać urządzenia elektryczno-energetyczne i gazowe a jednocześnie ludzi politycznie sprawdzonych, dyspozycyjnych - gwarantujących wykonanie wszystkich poleceń. Spośród wytypowanych osób wyselekcjonowano około 300 pracowników, w głównej mierze dozór techniczny: kierowników, ich zastępców, mistrzów. Gdy dyrektor zarządził opuszczenie stoczni i udzielił wszystkim stoczniowcom "bezterminowego urlopu", grupa ta pozostała na terenie zakładu. W kolejnych dniach strajku jej członkowie wymieniali się co 12 godzin. Wolny czas spędzali na odpoczynku, grze w karty, jedzeniu, popijaniu pepsy. Sali BHP pilnowała specjalna straż. Spodziewano się, że ta sala - historyczna, pamiętająca narodziny "Solidarności" - będą chcieli zejść strajkujący w pierwszej kolejności. Wejście do budynku było stale zamknięte.

Często służby utrzymania ruchu znajdowała się na poszczególnych wydziałach. Formalnie mieli pilnować mienia: hal, urządzeń, magazynów, dokumentacji.

- Na początku - zwierzył mi się jeden z mistrzów - było trochę nerwów, bo kierownictwo ostrzegało, że strajkujący mają zamiar zająć niewralgiczne punkty stoczni. Być może po to, aby szantażować dyrekcję lub rząd. Niewykluczone, że w przypadku niedogadania się, mogłoby dojść do oczyszczenia stoczni z aktywu kierowniczego. Lecz aktyw siedział w gabinetach i bunkrach. Na straży mienia zostaliśmy my - stoczniowcy, tacy sami jak ci, którzy strajkowali. Może trochę starsi, bardziej doświadczeni. Mielśmy bronić stoczni przed stoczniowcami. Tymczasem nikt nie chciał niczego zabierać, niszczyć. Moi chłopcy - strajkujący, z którymi rozmawiałem - nie myśleli o walce z nami. Stali przy bramach, na nabrzeżu, siedzieli w stołówce oraz w swoich zakamarkach na wydziałach. Łatwo byłoby ich obezwładnić, tak samo,

jak im nie trudno byłoby nas wyeliminować. Lecz to nie był strajk przeciw nam samym. Wszystko odbywało się pokojowo i gdyby nie to, że postulaty strajkujących miały charakter polityczny, a cały strajk na moje wyczerpie, nie miał zewnętrznych warunków na powodzenie - strajkowalibyśmy razem.

Niektórzy z "utrzymania ruchu" podchodzili pod bramę nr 2. Nieśmiało, po dwie, trzy osoby. Zbliżali się na kilkanaście kroków. Do jednej z grupek podeszło kilku strajkujących. Początek rozmowy wskazywał, że są nieufni wobec "gości". Chcieli im wręczyć zdjęcia Wałęsy. Miała to być taka sonda - okazje do konfrontacji poglądów.

Mistrz, o którym później dowiam się, że aktywnie działał w Radzie Pracowniczej przed stanem wojennym tak to skomentował:

- Ja nie potrzebuję zdjęcia Wałęsy, mam je w domu. Jest to pamiątka wspólnie przeżytej wielkiej sprawy. To, co teraz się dzieje w stoczni jest jedynie echem, odbitą falą. Nie widzę szans, by strajkiem obecnie można byłoby załatwić nasze stare i nowe sprawy. Dostałem po łapach ze samorządność pośierpniową i odmowę współdziałania z komisaryczną dyrekcją. Odszedłem sam na boczny tor. Czy boję się strajkować? Przeżyłem pacyfikację stoczni przez ZOMO 19 grudnia 1981 roku. Wiem jak to wygląda, jak długo goją się rany, lecz nie tego się boję. Nie boję się także ogłoszenia upadłości i utraty pracy. Najgorza, że postawiono stoczniowców po przeciwnych stronach barykady. Kierownictwo ze swoją ekipą - po jednej, strajkujący - po drugiej stronie. A my (tak jak i ci, którzy teraz siedzą w domu przed telewizorem albo sączą na działce rzodkiewki) - jesteśmy po środku. Ani z dyrekcją i aktywem, który jest jak na sznureczku, ani z wami - idealistami. Wśród strajkujących, między młodymi chłopakami widziałem znajome twarze dawnych działaczy - ze stoczni, z regionu. W kierownictwie także mieszanka - zasłużeni weterani, zwalczający od początku "Solidarność" i kadra z awansu "wojennego", wdzięczna władza za ciepłe posadki. Nie stać ich na własne zdanie, na oddanie kawałka zajętego pola.

Czekano na rozwiązanie narzucone z zewnątrz. Ale były także inne pomysły.

Oto fragment rozmowy z kolejnym mistrzem z "utrzymania ruchu":

- Chcieliśmy od środka opanować bramę nr 3. Ruszyliśmy całą grupą wraz z zastępcą dyrektora. Nie udało się, doszło do ostrej wymiany zdań, przepychania. Strajkujący posadzili nas, że chcieliśmy przez tę bramę wpuścić ZOMO. Mnie takie plany nie są znane. Powiedziano nam, że bramę trzeba zająć, aby ci, którzy nie strajkują, mogli swobodnie wchodzić i wychodzić.

- Przecież praca w stoczni została oficjalnie wstrzymana.

- Chodziło chyba o niezbędne osoby.

Pracownicy, którzy zostali powołani do utrzymania ruchu - mając specjalne przepustki - byli przepuszczani zarówno przez patrole ZOMO, jak i przez straż strajkową. Bezkolizyjnie mogli wchodzić na teren stoczni przez pilnowane wspólnie drzwi w budynku biura projektowego (RN).

Kilka dni po strajku w stoczni przebywał gen. Czesław Kiszczak. Spotkał się z aktywnym społeczno-politycznym, kierownictwem - dziękował za postawę. Odkonano się plenium Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku. I sekretarz Stanisław Bejger stwierdził, że dobrze się stało, iż majowy strajk rozwiązano pokojowo. W zupełnie innym duchu przemawiał sekretarz partyjny Stoczni Gdańskiej, Borcuch. Przekonywał zgromadzonych, że strajk, który zorganizowały siły opozycyjne - krajowe i obce agentury, był precyzyjnie przygotowywany, planowany i wymierzony w reformatorskie przemiany, w ustrój socjalistyczny. Niestety, nikt nie zapytał Borcucha, co robiła partia przed i w czasie strajku? Partia mianowicie okopała się, trochę w dyrekcyjnej fortecy, trochę w bunkrze. Tam medytowano, jak nie dopuścić do porozumienia ze strajkującymi, tym marginesem społecznym, dzieciarnią otoczoną "asami" i "zgranymi politykierami". Młodzi - komentowano - dali się kupić: obietnicami, magią słów, błyskiem fleszów. Dano im wszystko - żarcie, papierosy, dziewczyny i możliwość byczenia się w majowym słońcu...

Każdy bunkier ma to do siebie, że w jego smrodzie i zaduchu legną się różne chorobliwe wizje, które dopiero w pełnym słońcu i na świeżym powietrzu ujawniają swój paranoiczny charakter. Ciekawe, że nawet mistrzowie i członkowie OC, którzy w większości negatywnie oceniali strajk, mieli normalny ogląd sytuacji czemu dawali wyraz nawet na tych łamach, natomiast aktywno spoglądający na świat przez otwory strzelnicze widzieli wszędzie w r o g ó w .

JAN TAMBYŁ

maj 88

Zaorać stocznię

Gdy jeden z niesławnej pamięci Budowniczych Polski Ludowej rzucił tę propozycję w tragicznym Grudniu roku 1970, znakomita większość strajkujących w maju roku 1988 stoczniowców, znajdowała się w wieku przedszkolnym, wielu oglądało świat z dziecinnego wózka. Jeśli dzisiaj nazwisko Zenona Kliszki z czymś im się kojarzy, to z pewnością nie z jego zasługami dla Polski Ludowej, lecz właśnie z ową propozycją radykalnego rozprawienia się z gnizdem kontrrewolucji na Wybrzeżu.

Później, w dekadzie dynamicznego rozwoju nikt już nie powracał do opinii Kliszki, że stać nas na rezygnację z przemysłu okrętowego. Przeciwnie - ekipa Gierka hołubiła stocznie, pakowała w nie miliardy, pilnowała dęcia w propagandowe balony. Może w tym była jakaś forma wdzięczności dla ludzi, którzy zupełnie nieświadomie odegrali kluczową rolę w przewrocie pałacowym. Potem - jak wiadomo - przyszedł dla stoczni w całym świecie lata chude, a w kraju mimo różnych "manewrów gospodarczych" - sztykował się rekordowy krach. Niewdzięczni stoczniowcy znów się zbuntowali, jeszcze raz coś się w pałacach poprzewracało - z tym, że skutki społeczne i polityczne tego zamieszania były już znacznie poważniejsze. Mamy z nimi do czynienia do dzisiaj.

Siedmioletnia generałska normalizacja niczego nie uzdrowiła, niczego w istocie nie załatwiła - ani po myśli generaków, ani - tym bardziej - po myśli społeczeństwa. I znów stoczniowcy się zbuntowali, a wielu z nich zapewne jest synami tych z roku 1970. I znów - jak przed 18 laty - poróciła na tapetę propozycja towarzysza Kliszki...

Jej forma była oczywiście inna. Wszak nie rządzą już Peerelem ciemniacy, aroganicy dyktanci. Teraz władza jest światła, wykształcona, teraz władza docenia znaczenie twardych praw ekonomii. Odegrano więc komedię na tematy ekonomiczne, rozpiśnaną na gazety, radio, telewizję. Autorzy scenariusza - zapewne z kół zbliżonych do wiodącego resortu - obsadzili w głównych rolach nieszczęsnego dyrektora Stoczni Gdańskiej, Czł. Sława Tokwińskiego, Narodowy Bank Polski a nawet naszego naczelnego reformatora wicepremiera profesora Zdzisława Sadowskiego, który na tę okoliczność wystąpił był przed kamerami telewizji w towarzystwie redaktora Szeligi.

Komedia nie była zbyt dowcipna, a dla wielu gdańskich stoczniowców stała się wręcz dramatem. W ich domach powiało grozą. Oto ich miejsce pracy może być zlikwidowane! Stocznia bankrutuje! Bank odmawia kredytów a rząd dotacji! Żeby było jeszcze czarniej i wiarygodniej gazety i telewizja zaczęły się

prześcigać, obficie racząc społeczeństwo informacjami o bankructwach stoczni kapitalistycznych, o całkowitym likwidowaniu przemysłu okrętowego w Szwecji, o jego upadku we Francji i RFN. Miało to przydać wiarygodności zapowiedzianej upadłości Stoczni Gdańskiej, no bo skoro bogatych do nieprzyzwoitości Szwedów nie stać na dotowanie przemysłu okrętowego, to tym bardziej nas. Rodził się w niej duszy autentyczny niepokój o przyszłość zakładu, co natychmiast dzielni reporterzy gdańskiej telewizji wykorzystali, podtykając mikrofon pod nosy robotników odbierających swoje pensje w hali "Olivii". Niepokój podsycali umiejętnie kolportowane pogłoski o planowanym podziale stoczni na kilka mniejszych, o stworzeniu wspólnego przedsiębiorstwa polsko-radzieckiego. Obawa przed utratą pracy, przed odpowiedzialnością za "doprowadzenie" stoczni do bankructwa lub jej likwidacji z pewnością miała jakiś wpływ na rozładowanie, przygaszenie strajkowych, buntowniczych nastrojów. Umiejętnie podsycono kilka mitów, wykorzystano dość powszechny brak rozeznania w sytuacji polskiego i światowego przemysłu okrętowego. Odnosi się to zresztą zarówno do stoczniowych robotników, jak i wielu działaczy gospodarczych w stolicy. Warto więc chyba podjąć próbę przyrównania owych mitów do rzeczywistości, podważenia kilku obiegowych opinii.

Na początek więc

spojrzenie na plan ogólny.

Prawdą jest, że w całym świecie przemysł okrętowy bardzo dotkliwie odczuł bęseć po krachu naftowym, choć nastąpiło to dopiero w kilku lat po nim. Wzrost cen ropy i surowców spowodował spadek zapotrzebowania na nie, a w ślad za tym - na przewożące je statki. Sytuacja nie powróciła do stanu przedkryzysowego nawet po zniżce cen, ponieważ prężne gospodarki krajów rozwiniętych zdążyły dzięki nowoczesnym technologiom wydatnie swe zapotrzebowanie na ropę i surowce zmniejszyć. Spadek zamówień na statki w latach osiemdziesiątych był katastrofalny i mimo pewnego ożywienia w ostatnich miesiącach nie ma większych nadziei na radykalną poprawę w tej dziedzinie. Efektom spadku zamówień był oczywiście spadek cen statków - może z wyjątkiem budowanych w niewielkiej liczbie luksusowych jednostek wycieczkowych czy promów pasażerskich. Nic więc dziwnego, że stocznie mając coraz mniej opłacalnych zamówień, stawały się deficytowe. Najszybciej i najbardziej dotknęło to z oczywistych względów przemysł krajów najbogatszych, gdzie robotnikowi za bardzo ciężką pracę w stoczni trzeba zapłacić co najmniej półtora tysiąca dolarów miesięcznie.

Prawdą więc jest, że stocznie w Europie zachodniej pozamykano, gdy brak nadziei na rychłą poprawę sytuacji spowodował obcięcie rządowych subwencji. Prawdą jest, że Szwecja praktycznie całkowicie likwiduje swój przemysł okrętowy, który jeszcze kilkanaście lat temu zajmował za Japonią drugie miejsce w świecie, imponując jednocześnie swoją nowoczesnością.

Prawdą jest jednak, że ów "przemysł schyłkowy" w krajach bogatych bynajmniej nie jest schyłkowym gdzie indziej. Wszak statki zawsze będą potrzebne i zawsze będą budowane. Produkcja okrętowa przeniosła się więc na Daleki Wschód - przede wszystkim do Korei Południowej, która właśnie odebrała światowe przewodnictwo w tej dziedzinie Japonii; na Tajwan, do Chin, a także - do Brazylii. Wszędzie tam, gdzie siła robocza jest jeszcze względnie tania. Ma to decydujące znaczenie, ponieważ trudnych prac stoczniowych nie daje się zautomatyzować.

Prawdą jest również i to, że od reguły są wyjątki. W Europie takim wyjątkiem jest przemysł okrętowy Finlandii, który - jak dotąd - prosperuje jak za najlepszych czasów. Ma bowiem dwa wielkie stuty. Pierwszym jest nowoczesność i wyspecjalizowanie się w budowie statków najbardziej skomplikowanych, najdroższych, unikatowych, na które zawsze będzie popyt. Finowie są więc mistrzami świata w budowie wielkich luksusowych statków wycieczkowych, olbrzymich promów pasażerskich i lodowców. Drugim wielkim stutem jest... sąsiedztwo Związku Radzieckiego. Większość statków kupuje bowiem ZSRR - może poza wspomnianymi wycieczkowcami, choć i te przed laty zamawiał. Jest to przykład, jakim dobrodziejstwem może być sąsiedztwo chłonnego rynku. Nie pierwszy zresztą w historii: wszak nasze Łódź urosła przed wiekiem na zamówieniach rosyjskich. Rzecz w tym jedynie, żeby między kupującym i sprzedającym obowiązywały rzetelne zasady obopólnego interesu, żeby partnerzy - przynajmniej w sferze gospodarki byli partnerami równoprawnymi. Drobnostka.

Przyjrzyjmy się teraz, jak na tym tle wygląda

sytuacja stoczni polskich.

Zacząć wypadać od gagu zastosowanego w ostatniej komedii propagandowej na temat Stoczni Gdańskiej. Tylko komediopisarz uprzejmiej pure nonsens mógłby bowiem wpaść na pomysł porównywania Szwecji i Polski. Wszak tam robotnik nie podejmuje się czyszczenia z rdzy czy spawania okrętowej blachy czy to mróz czy to upał za sumę mniejszą od wspomnianego półtora tysiąca dolarów. Tymczasem jego polski kolega robi to w znacznie gorszych warunkach technicznych i socjalnych za setkę - jeśli zastosujemy kurs oficjalny, lub za trzydzieści - jeśli posłużymy się realnym kursem spod "Pewexu". W konkurencji kosztów robocizny sytuujemy się nie pośród krajów likwidujących u siebie przemysł okrętowy, jesteśmy zapewne nawet "lepsi" od wspomnianej Korei! Pod tym względem utratę konkurencyjności raczej naszym stoczniom nie grozi - i to mimo ewidentnych przestępstw zatrudnienia. Jeśli Brazylii opłaca się inwestować w ten przemysł, to powinno i nam. Pod warunkiem wszakże, że i u nas dojdziemy, po pokonaniu socjalistycznego zakrętu, do ekonomicznego rozsądku. Polskie stocznie reprezentują przyzwoity poziom światowy, choć są. miejsca, gdzie precuje się niezwykle ciężko w warunkach przypominających manufakturę. Nie wszędzie dotarła nowoczesność. Jest bardzo dobra kadra projektantów i technologów, choć wielu z nich uciekło do lepiej płacących przedsiębiorstw. Polskie

stocznie są więc konkurencyjne nie tylko pod względem cen statków sile i jakości. Nie mają problemów z zamówieniami i pod tym względem są notowane w statystykach londyńskiego Lloyd's ostatnio na trzecim miejscu w świecie - po Korei i Japonii. Olbrzymia większość tych zamówień pochodzi od naszego wschodniego sąsiada. Można więc chyba postawić pytanie - na przykład wicepremierowi, profesorowi Sadowskiemu, dlaczego podobne zamówienia radzieckie są żyłą złota dla stoczni Finlandii, zaś stocznice polskie doprowadzają na skraj bankructwa? Może dlatego, że Finowie otrzymują zapłatę w "prawdziwych pieniądzech"? Może dlatego, że nasze muszą swoje statki sprzedawać za ruble, może dlatego, że ten rubel jest w ZSRR wart 60 centów, a w Polsce zupełnie co innego? Może dlatego, że na statkach sprzedawanych za te nie-wiedomo-ile-warte ruble montuje się urządzenia kupowane za nie-wiedomo-ile-warte w złotówkach dolary?

Mam nadzieję, że profesor Sadowski jako ekonomista o tym dobrze wie. Wygląda jednak na to, że nie ma o tym zielonego pojęcia jako wicepremier. Może to wynika z roli granej w komedii. Faktem jest jednak, że i on pomstował w telewizyjnym "Monitorze rządowym" na deficytowość Stoczni Gdańskiej. Dziwne, że wicepremier Sadowski nie wie, jak tę deficytowość zlikwidować, skoro profesor Sadowski mógłby mu podpowiedzieć, że wystarczy zmienić oficjalny kurs dolara na przykład na 500 zł, aby nagle stocznia zszczęła przynosić zyski!

Gadanie o dochodowości czy nierentowności, gdy nikt nie wie, ile jest warta złotówka w stosunku do dolara, za który statek się sprzedaje, złotówka do rubla i rubel do dolara - jest bezsensowne. Wszak olbrzymia większość kosztów budowy statku jest pokrywana właśnie złotówkami, zaś produkt końcowy z nielicznymi wyjątkami jest sprzedawany za ruble lub dolary. Nie ma chyba w Polsce drugiego przemysłu o podobnym charakterze eksportowym. (Nieliczne statki budowane dla polskich armatorów są przez nich kupowane również częściowo za dewizy).

Gadanie o dochodowości czy nierentowności stoczni nie ma wielkiego sensu również i z tego powodu, że chyba żadne z przedsiębiorstw przemysłowych nie jest w takim stopniu, jak właśnie stocznia, uzależnione od kooperantów, którzy prawie bez wyjątku są krajowymi monopolistami. Dyktują więc ceny, windują je w górę, pokrywając między innymi z tego źródła podatki odprowadzane do skarb państwa. Od roku 1980 do 1986 ceny wyrobów dostarczanych przez 1500 kooperantów do stoczni wzrosły czterokrotnie. W tym samym czasie oficjalny kurs dolara wzrósł o 284 %, zaś rubla - tylko o 105 %! Czy w tych warunkach stocznice mogą uzyskać rentowność?! Czy wicepremier - profesor o tym nie wie? To nie stoczniozwoy określają te kursy i nie giełda, lecz właśnie wicepremierzy... Są tu jeszcze i inne

mity

podsypane przez niesprzyjającą ostatnio przemysłowi okrętowemu propagandę. Na przykład mit materiałochłonności i niskiej efektywności z tym związanej. Tymczasem cały ten przemysł zużywa nie więcej niż 3,5 % krajowej produkcji stali walcowanej. Przy tym za 1 kg wyeksportowanego statku w roku 1986 uzyskał 2 dolary,

podczas gdy za kilogram samochodu otrzymywaliśmy 1,9 dolara, za miedź - półtora, za walcówkę - 22 centy!

Faktem jest, że w kosztach budowy statku materiały stanowią przeszło połowę - jeśli je obliczać z punktu widzenia stoczni. Rzecz wygląda zupełnie inaczej, gdy się uwzględni, że w materiałach i urządzeniach dostarczonych stoczni już jest zawarta praca ludzka o wielkiej wartości, że w ich cenach - jak wspomnieliśmy - mają swe odbicie podatki płacone przez dostawców. Oni płacą podatki skarbowi po to, aby w efekcie deficytowe stocznie dostawała od tegoż skarbu dotacje, zbierając przy okazji cięgi od propagandzistów i polityków rządowych! Coś z tym trzeba zrobić panie wicepremierze, bo stocznie w odróżnieniu od swych dostawców nie może podnosić cen statków. Tu obowiązują bowiem ceny światowe.

Czy likwidować ?

Wróćmy jeszcze do komedii z wicepremierem-profesorem w roli głównej. Można założyć, że rychło przekształciłaby się ona w jego dramat a i generałom by się dostało, gdyby spróbowano rzeczywiście zlikwidować Stocznię Gdańską. Nie dajmy się oszukiwać! Przecież Gorbaczow by na to nie pozwolił! Wszak z polskich stoczni dostaje corocznie za pół darmo kilkadziesiąt bardzo dobrej jakości statków, wyposażonych często w zachodni sprzęt! Dzięki temu stocznie radzieckie mogą poświęcić się bez reszty budowaniu setek okrętów podwodnych, niszczycieli rakietowych, lotniskowców i innego zabójczego morskiego żelazstwa! Polska od lat jest największym dostawcą statków dla ZSRR i takim pozostać musi! Apetyty sąsiada już teraz znacznie przekraczają możliwości stoczni a eksport na Zachód jest przez niego tolerowany tylko dlatego, że służy importowi urządzeń montowanych na radzieckich statkach! Z drugiej strony, czy PRL mogłaby zrezygnować z tego przemysłu? W ubiegłym roku przyniósł on skarbowi ponad 150 milionów dolarów (przy znacznym spadku zamówień z ubiegłych lat) i ponad pół miliarda rubli! Udział Stoczni Gdańskiej był przy tym największy. Czy można zastąpić te sumy dodatkowymi wpływami z eksportu innych dziedzin gospodarki? Wolne żarty! W Polsce nie ma po prostu drugiego przemysłu przekraczającego, który miałby porównywalną markę w świecie. Budujemy statki na poziomie RFN czy Japonii, czego przecież nie można powiedzieć o samochodach, elektronice, chemii. Zresztą, poprzez eksport statków sprzedaje się również wyroby innych przemysłów, które samodzielnie raczej szens by nie miały. Jeden z najsłynniejszych polskich okrętowców wygłosił przed laty tezę, że przemysł okrętowy mógłby w Polsce spełnić taką rolę promotora postępu technicznego, jaką w Stanach Zjednoczonych i Europie zachodniej spełnia przemysł lotniczy. Instalowane bowiem na statkach urządzenia mechaniczne, elektryczne i elektroniczne z komputerami i systemami automatyki włącznie, muszą podlegać bardzo wysokim wymaganiom jakościowym. Tak się niestety nie stało, bo zmopolizowany rynek umożliwił wielu producentom wygodne życie po odejściu od kłopotliwej kooperacji ze stoczniami. To właśnie jest największy problem polskich stoczni, w których powstają przede wszystkim "opakowania" dla nowoczesnych urządzeń. Właśnie wyposażenie statków w głównej mierze decyduje o ich nowoczesności i cenie.

Nie czas zatem myśleć o likwidacji przemysłu okrętowego, bo nie mamy go czym zastąpić, bo dzięki niemu możemy sprzedawać to, czego inaczej nie sposób, bo zdobył on sobie naprawdę światową markę, bo nie ma kłopotów z zamówieniami, bo jest wielotysięczna kadra, bo - w końcu - jako kraj czwartego świata (kraje "zwijające się") wcale nie musimy kopiować wzorów Szwecji czy RFN. Zresztą, dzięki bankructwom stoczni w tych i im podobnych krajach, nie mamy już zbyt wielu konkurentów. Przemysł okrętowy wymaga pomocy. Właśnie od takich ludzi jak wicepremier-reformator. I nie o pieniądze tu chodzi, lecz o zreformowanie systemu ekonomicznego, w którym stocznie nie będą musiały płacić... za podatki już opłacone przez dostawców, a ci będą finansowo zainteresowani we współpracy ze stoczniami. Przemysł okrętowy wymaga też unowocześnienia w sferze zarządzania. Prawdą jest bowiem, że jego kierownictwo nie kocha reformy i nie czuje się dobrze w warunkach wolnej gry ekonomicznej, do której zresztą jeszcze daleko. Nic dziwnego, dyrektorzy są dziećmi systemu nakazowego, za którym tęsknią, czemu dają wyraz publicznie. Może się doczekają oficjalnego odtrąbienia odwrotu od reformy. Na razie trwają w swych przyzwyczajeniach. Wicepremier w ramach swych nadzwyczajnych uprawnień mógłby się temu przyjrzeć. Likwidacja antyreformatorskiego lobby stocznioowego nie wymaga likwidacji samej stoczni...

Na koniec jeszcze parę słów o pogłoskach na temat podzielenia Stoczni Gdańskiej. Nie jest przypadkiem, że podobne były kolportowane w okresie między Sierpniem i 13 grudnia 1981. Ślepy by zauważył, że chodzi tu o zlikwidowanie kłopotliwego, znanego w całym świecie szyldu, o podzielenie buntowniczej załogi. Takie są zapewne uzasadnienia policyjne. Są też jednak i uzasadnienia ekonomiczne. Stocznie Gdańska po wojnie utworzona została w istocie z dwóch dużych stoczni: Schichau'a i Danziger Werft. Połączono je, bo - jak wiadomo - komuniści kochają wielkie i pojedyncze, gdyż łatwiej je nadzorować. Powstał kolos, który pod względem liczebności załogi z pewnością nie miał i nie ma sobie równego w światowym przemyśle okrętowym. Jeszcze kilkanaście lat temu podział zakładu miałby ekonomiczny sens. Może trzy mniejsze stocznie (są trzy ośrodki z pochylniami) byłyby efektywniejsze, elastyczniejsze. Teraz sens podziału jest wątpliwy. Powstały bowiem już obiekty służące całej stoczni - z wielkim centrum prefabrykacji sekcji kadłubów na czele. Ustawienie płotów zamiastby poszczególne stocznie we wzajemnych kooperantów, a co to oznacza dla gospodarki socjalistycznej - każdy wie.

I wcale nie jest pewne, czy załogi trzech stoczni przestałyby być z sobą solidierne.

LECH RUTA

Bastion św. Brygidy

Płacz tysięcy niezozn. Z tego płaczu władzy będzie trudno się śmiać i trudno wytłumaczyć.

Przez bramę przeszedł smutny pochód. Szli i płakali w milczeniu. Plac przed bramą stoczni pusty, ZOMO się usunęło, więc nie było wściekłości, tylko płakący żal. Nie patrzyli w stronę Trzech Krzyży, zbyt czuli się upokorzeni. Dali się uprosić Iechowi, zaufali radom Mazowieckiego, biskupa i tych wszystkich mądrych, doświadczonych, którzy powiedzieli, że trzeba skończyć strajk i wyjść, choć się nie uzyskało nic; ale oni nie byli przekonani, dlatego milczeli i płakali.

Nagle uderzyły dzwony. To kanonik kazał dzwonić w św. Brygidzie. Pomyślał sobie, że dzwon jest konieczny, na żałobę czy na wesele, bo jeszcze nie był pewny, ale musi być wielki dzwon. Wtedy z okien przy Łagiewnikach i Brygidkach wyjrzeli ludzie, ktoś rzucił kwiat, ktoś zaczął zbiegać po schodach, biegli wszyscy, kto zdążył i ustawiali się w szpaler po obu stronach drogi. Dalej szli w tym szpalerze. Ktoś z ulicy krzyknął: dziękujemy! Do kościoła wchodzili przez gęsty tłum, który nie wiadomo skąd się wziął o tak późnej porze. To ich witają z takim uniesieniem? "Solidarność. Solidarność". Na czele ksiądz. W kościele biskup. Poczuli, że są w dobrze umocnionej twierdzy i podnieśli głowy. Komitet Strajkowy i osoby wspomagające strajk zajęły miejsca w prezbiterium, Wałęsa z Mazowieckim siedli razem ze stoczniowcami w ławkach. Zaczęła się msza święta.

Nie było sztandarów ani kazania, tylko oświadczenie księdza biskupa. Kanonik, który lubi wielkie słowa i wspaniałe dekoracje, zrezygnował, uległ nagłemu wrzuceniu. Ta chwila nie potrzebowała oprawy.

Próbowali się modlić.

Czytanie z Dziejów Apostolskich zgodnie z kalendarzem liturgicznym, przypadające na ten dzień: ".../ powstało nagłe trzęsienie ziemi, tak że całe więzienie zachwiało się aż do fundamentów. Otworzy się też wszystkie drzwi i z wszystkich opadły kajdany. A strażnik, gdy się przebudził i zobaczył, że drzwi więzienia były otwarte, dobył miecza, żeby się bronić, był bowiem przekonany, że więźniowie zbiegli/...

Waleśa wsłuchał się uważnie i głęboko westchnął. Przypomniał sobie nszą z ostatniej niedzieli w Stoczni. Co go najbardziej w strajku przerażało u tych młodych? Dookoła kordony, zupełna samotność, a oni nie potrafili uklęknąć. Myśli się w sierpniu modlili, i to jak modlili. Co ja z wami zrobię, dzieci? Skąd wy będziecie brać siłę? Bo na ten system trzeba siły.

Rozejrzył się dyskretnie na boki. Zobaczył, że jednak kłękają.

powiadał o tym u Waleśa do domu w swoim kolegiu, pukał do drzwi, że potraktować tak wesćio

Owszem, można zrobić strajk, nawet okupacyjny, ale trzeba mieć co jeść, na czym spać i czym się przykryć. To powinien zorganizować związek zawodowy, który strajkujących reprezentuje. A jeżeli tego związku nie ma? Albo jest, ale tak jakby go nie było, bo władza udaje, że go nie ma, ogłasza związek za nielegalny i tak samo traktuje strajk, nie pozwala, blokuje, przeszkadza upominać się o słuszne prawa, to wtedy co, kto ma im pomóc to urządzić, nakarmić, odziać, sprawić, żeby byli słyszalni? Chyba tylko Bóg. A jak Bóg, to i Kościół.

Kanoniczek mówi: jest napisane w Ewangelii - niech wasze słowa będą tak, tak, nie, nie. Gdyby on sprawę komplikował, jakaś się, sepleniał, byłoby to grzech faryzejski. Mówi: nie, hańba! To hańba zablokować stocznię, nie dopuszczać transportów z jedzeniem". Mówi: tak. "Solidarność! Solidarność zwycięży, to tego chce naród". Mówi głosem tubalnym, brzmi, aż grzmi. Ale mówić to za mało, trzeba czynić dobrze. "Czyńcie waszym braciom dobrze". Kanoniczek wie, co trzeba czynić.

Pani Janeczka, pani Hania, pani Małgosia i pan Zdzisław zajmują pokoje na dole. Stąd wyprawia się do stoczni zaopatrzenie, samochodami, a potem, gdy nastąpi blokada, kurierów z plecakami. W tych plecakach było wszystko, czego strajk potrzebował do życia. Powrotną drogą tutaj trafiały prośby, polecenia oraz listy, które nатыchmiast dostarczano rodzinom. Pokoje na parterze są także rozdysponowane według potrzeb, i wszystkie zajęte. W gabinecie proboszcza z biblioteką i w przyległym salonie recepcyjnym z gdańskimi meblami, obitymi skórą, urzędują przy telefonach Adam, Piotr i Bogdan, przekazują wiadomości o strajku w szeroki świat. Tu cztery razy dziennie urzędują się też briefingi dla zagranicznych dziennikarzy. Eleganckiej dużej jadalni o bogatym wystroju z obrazami o tematyce religijnej i patriotycznej też ksiądz nie pożalował, została włączona w przestrzeń strajku. Zresztą od dawna cała św. Brygida jest wolną przestrzenią ludzi i spraw przemocą ubezwłasnowolnionych. On stworzył im ambasadę, z sobą w roli ambasadora. W poniedziałek, kiedy wybuchł strajk, ksiądz Jankowski pomyślał to samo, co wszyscy: że przedwcześnie. O żadnych przygotowaniach nie słyszał. Poprzedniego dnia wprawdzie z tych oto schodków przy plebanii Lech Waleśa wzywał ludzi pracy z okazji 1 Maja do protestu na znak solidarności z Nową Hutą, ale chodziło mu raczej o protest moralny, sam również wydawał się strajkiem zaskoczony. Pojechali jednak do stoczni obydwaj. Oddzielnie udał się tam pan Zdzisław z kilkoma jeszcze osobami. Po stoczni latali chłopcy z flagami Lechii, a nie "Solidarności" wyglądało to niepoważnie. Kiedy się zebrałi razem, było ich może trzystu. Kanoniczek nie znał tych młodych twarzy, nie przypominał sobie. Uparte wyczekujące spojrzenia, białe w Waleśa i zarazem bezradność. Latali z tymi flagami bardzo różgorączkowani i nie wiedzieli, co robić dalej. Zdumiała go lekkość, z jaką się porwali

na taki krok. To pewne, że nie kierowali się żadną oceną polityczną. Dziecięca prostota i nieudolność. To samo pomyślał Wałęsa; jakiś materiał silnie wybuchowy nowej radykalniejszej generacji. Ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Przewodniczący przemówił do lechistów językiem "Solidarności". Po nim Kanonik: nie wolno wam zrobić dwu rzeczy; dać się kupić i dać się zastraszyć. Przestrzegał ich też przed piciem wódki. I polecił opiece Matki Bożej, Królowej Polski.

Pan Zdzisław odszukał chłopca w skórzanej kurtce, którego mu wskazano jako przewodniczącego Komitetu Strajkowego. Powiedział: jestem ze św. Brygidy i zapytał, czy mają co jeść i gdzie spać. Chłopiec rozmawiając mocno gestykulował: strajk jest tu, pod gołym niebem. Na polecenie dyrekcji wszystkie pomieszczenia zostały zamknięte, stołówka również, ale jedną dobę możemy wytrzymać. Zdzisław udzielił mu paru rad i poszedł, wieczorem posłał strajkującym cztery worki chleba i trochę żywności. We wtorek był w stoczni znowu, strajk już nabrał rozpędu, funkcję przewodniczącego objął znany w Stoczni i w regionie człowiek - Alojzy Szablewski. Nie mieli jednak dostępu do radiowęzła. Nie pozostawało nic innego, jak zorganizować im coś z zewnątrz. W środę rano mieli zainstalowany w stołówce głośnik ze wzmacniaczem. Od środy aż do końca strajku Zdzisław nie wracał do domu, nocował w św. Brygidzie. Pani Janeczka wzięła urlop i też przeniosła się do św. Brygidy. Przyszła po nią młodzież z WiP-u, powiedzieli: pani Janeczko, niech się pani nie miesza w żadną zadymę, będzie pani potrzebna. Była z nimi zaprzyjaźniona, bo jako Komisja Interwencyjna "Solidarności" bywała na wszystkich kolegiach i procesach, a to właśnie wipowcy mieli w ostatnich latach najwięcej kolegiów i procesów. Atakowali o to osobiście Lecha przy różnych okazjach, że nie osłania ich swoim autorytetem i dystansowali się od "Solidarności" jako od dinozaurów. Ale "Solidarność" robiła w ich sprawie, co mogła, opłacała adwokatów i pokrywała koszty grywnien. Komisja działa od półtora roku. Romaszewscy, bo oni to wymyślili, mieli taką ideę, żeby tę działalność zalegalizować i złożyli dokumenty do prezydenta miasta stołecznego Warszawy, a gdy rejestracji odmówiono, ogłosili nazwiska przedstawicieli na rozmaite ośrodki publicznie. To nie było uzgodnione i pani Janeczka się trochę przestraszyła. Na Gdańsk była ona z Aliną Pienkowską. W więzieniu już siedziała, dwa razy po pół roku, ale do więzienia nie można się przyzwyczaić. Można tylko przełamać to, co człowieka najbardziej paraliżuje, lęk przed nieznanym. Bezdomną Komisję przygarnęła św. Brygida. Ci ludzie, którzy wcześniej, czy później się z nią włązali, są właśnie o tyle twardsi, że to co innych jeszcze paraliżuje, dla nich przeważnie już jest znane, oswojone. Stopniowo trafiali tu też ci zbuntowani, ostentacyjnie obnoszący swoją odrębność chłopcy i dziewczęta z WiP-u. A teraz nagle sfrunęli na dziedziniec przed plebanią wszyscy naraz jak jaskółki. Robią wielki rejwach, kręcą się między kościołem a plebanią, zaferowani, ciągle zajęci, śpiesznie wychodzą dźwigając coś na plecach i śpiesznie wracają po nowy ładunek. Znak rozpoznawczy dla milicji: włosy związane z tyłu w warkoczyk, w śmieszny pędelek. Taka wipowska elegancja, jak buty z cholewami w konspiracji. Przy nich dzieci dwunasto-czternastoletnie, gawrosze z całego śródmieścia, bardzo pracowici i przejęci swoją rolą. I jeszcze wielu ludzi dobrej woli którzy coś załatwiają, gdzieś biegną lub się przemykają, znajdują dziury i mniej strzeżone miejsca, gdzie da się przejść przez mur do stoczni. Bez nich ten strajk musiałby się poddać po dwu dniach.

Piotr współpracował od paru lat z Wałęsą, był w gronie ludzi, którzy pomagali mu formułować program, redagował rozmaite oświadczenia i dokumenty; występował też jako tłumacz, bo zna języki. Wpływał na bieg zdarzeń, ale ciągle w charakterze pasa transmisyjnego. Czuł się w tej roli stosunkowo bezpiecznie. Miał też oparcie w Kościele, wywodzi się ze środowiska młodej inteligencji katolickiej. Gdy już po stanie wojennym zatrzymano go na czterdzieści osiem godzin i opowiadał o tym u Wałęsów w domu w gronie kolegów, poczuł się urażony, że potraktowano go tak wesoło. Żartowali, że za bardzo przeżywa swój chrzest bojowy. Był tu kimś, ale jeszcze nie przekroczył Rubikonu.

Aż okazuje się, że musi postawić ten krok, wziąć wyłączną odpowiedzialność. Tylko od zewnątrz może się wydawać, że wchodzi się w to jak w masło.

Na wtorek Lech polecił Piotrowi siedzieć kamieniem w św. Brygidzie. O to samo dwa dni wcześniej prosił Adama. Ale Adam, taki doświadczony opozycjonista, dał się złapać. W niedzielę spod jego mieszkania w Sopocie ubecja zdjęła Lisa. Adam widział to przez okno, w poniedziałek jednak nie mógł usiedzieć w domu, wyszedł na spacer z żoną i maleńkim Antosiem. Gdy wypuszczono go po czterdziestu ośmiu godzinach z Okopowej, wychodząc zapytał funkcjonariusza o najbliższy postój taksówek, faktycznie niedawno zakotwiczył w Trójmieście i niezbyt dobrze się orientował. Wskazano mu postój przy Placu Węglowym. Poszedł tam szybkim krokiem, w pobliżu obejrzał się do tyłu i dał nura w zbrojownię; stąd wybiegł drugą stroną i klucząc między domami wpadł zziązany do św. Brygidy. Cóż! Ośrodek informacji pracował non stop.

Z radia się dowiedzieli, że Onyszkiewiczza skazano na sześć tygodni za podanie "fałszywych wiadomości" i postanowili nie wytykać nosa. Piotr miał działkę informacyjną, Adam komentarz. Telefony obsługiwali przeważnie we trzech z Bogdanem. Starali się działać zgodnie z instrukcjami ze stoczni, nie odstępować od nich na jotę. Ale instrukcje dochodziły w formie króciutkich listów, czasem komunikacja w ogóle kulała, poza tym sytuacja zmieniała się nawet w ciągu jednego dnia i nie wszystkie intencje Komitetu Strajkowego były im dokładnie znane. Gdy brakowało wyraźnych wytycznych, musieli iść na intuicję. Po raz pierwszy Piotr się usamodzielił. Podpierał się doświadczeniem politycznym Adama. Którejś nocy, chyba z piątku na sobotę, miał sen. Śniło mu się, że jest w Brygidzie zupełnie sam, i to wszystko leży na jego biednej głowie. Zbudził się zlany potem. Na drugim łóżku spokojnie spał Adam. Piotr wstał, napił się wody i także zasnął.

Pani Janeczka włożyła spódnice z dużymi kieszeniami: tu wkładajcie te karteczki. Kartki ze stoczni są zaadresowane: "dla Zdzisława", "dla Janki", "dla Jadzi". Rozwijają pasek o następującej treści: "Bożena S., wychowująca samotnie czworo dzieci. I adres. Poza tym nic. Zaufane osoby jadą pod podany adres. Myślą, że wiadomość wysłał strajkujący ojciec. Co się okazuje? Matka strajkuje w Stoczni. Dziećmi zajmuje się najstarsza 16-letnia córka przy pomocy sąsiadów. Organizują naprędcę, co można dla tych dzieci, a jej posyłają wiadomość. Inny papierowy pasek, z dzieciennym pismem wędruje do toczni. "Kochany tato trzymaj się dzielnie. Jesteśmy codziennie w okolicach świętej Brygidy. Cześć!". Poza Gdańsk wysyła się wiadomości do rodzin pocztą; na miejscu

najlepiej załatwiają te sprawy najmłodszy kurierzy. A jakie to roztropne! Nie chcą nawet pieniędzy na tramwaj. A po godzinie list oddany w odległej dzielnicy, jest odpowiedź i jeszcze dwieście złotych na strajk. Pani Janeczka zamyśla się i wyciera oczy. Najlepiej zapamiętała dwu braci F., Piotrusia i Grzesia, bardzo inteligentni chłopcy. Pojechali teraz do nich po strajku do domu. W jednym pokoju ojciec, matka i pięcioro drobiazgu. Pokój obok zajmuje stoczniowiec, który nie strajkował. Między mężczyznami musiały wynikać zasadnicze sprzeczki, bo któregoś dnia pod koniec strajku stoczniowiec tak uderzył ojca tych chłopców w szczękę, że chyba go okaleczył. Kazała mu wziąć zaświadczenie od lekarza i zabrała ze sobą celem przedstawienia prokuraturze. "Trzykrotne złamanie żuchwy i wyrostka kłykciowego po stronie prawej z zainteresowaniem któregoś z adwokatów. F. są od niedawna w Gdańsku, on pracuje dopiero od paru dni w jakimś zakładzie, ona jest sprzątaczką, odszkodowanie mu nie przysługuje. Siąść i płakać nad tymi ludźmi. Janeczka wyciągnęła z torebki pieniądze: od Komisji Interwencyjnej "Solidarności", weźcie, są dla takich jak wy. Obrazili się.. Trzeba będzie choć wybrać trochę ubrań z darów i zawieźć, bo kto wie, czy oni sami przyjdą. A tymczasem nieraz biorą ci, co nie muszą - każde ubranie ma swoją podszewkę. Janeczka jest sympatyczna, kobieca, lubią ją nawet ci, którzy nie powinni. Parę dni temu przed rozprawą Lisa na korytarzu w sądzie ktoś mówi: dzień dobry, pani Janeczko. Przepraszam, nie przypominam sobie. - Ale zaraz sobie przypomniała: kiedyś ją przesłuchiwał. Zaczęła z nim rozmawiać, jak to się mówi, indoktrynować. Roześmiał się: każdy orze, jak może. Ale kiedy opowiadając o tym spotkaniu znajomym jako o czymś dla niej bardzo dziwnym, wskazała w jego kierunku, syknął: nie machaj tymi łapami, bo ci je poobcinam.

A jednak to jest bardzo dziwne.

W strajku też paru obcych przeniknęło do św. Brygidy. Jeden powiedział: o, i Małgosia tu jest. Pani Małgosia upuściła z wrażeńia tacę ze szklankami. - I pani Werstein. - Janeczka zapytała: - Skąd pan wie, że ja się nazywam Werstein? - Popatrzył wyzywająco, choć był trochę zawiązany: - Pani myśli, że ja pracuję w przedszkolu? Dziwna jest ta zabawa w kotka i myszkę. Może kot uważa, że to jest dla myszy również dobra zabawa. A w każdym razie, że są ze sobą związani. Jednak czasem kot zachowuje się podobno jak zahipnotyzowany, gdy się znajdzie w gnieździe myszy. Gdy w sposób nadzwyczaj uprzejmy wyprowadzany był za bramę św. Brygidy; z wyjaśnieniem, że jest to teren kościelny. Mieli swoje stresy. Może nie takie jak tamci w stoczni, ale tu się także odczuwało stan obłąkania. Obszar niezawisłości zwany świętą Brygidą jest przecież jakąś sprawą umowną, właściwie psychologiczną i polega przede wszystkim na niezwykłym talencie księdza Jankowskiego, którego wciągnęła scena Sierpnia. Piotr z początku cierpiał na coś w rodzaju klaustrofobii. Gdyby się nie przejechał na godzinę księżyńskim samochodem w charakterze tłumacza lorda Betera do kurii biskupiej, chyba by się udusił. /Pomyślał chytrze, że w towarzystwie prawdziwego lorda może go nie zaaresztują/. Odetchnął świeżym powietrzem. Dobrze mu też zrobiła rozmowa z księdzem biskupem, bo cały czas nie był pewien, czy to co robia, zgadza się z jego linią. Biskup Goćkowski bardzo go uspokoił, gdy powiedział: niech każdy robi, co do niego należy. Którejś nocy, pod koniec tygodnia poderwał ich na równe nogi krzyk z zewnątrz, wszyscy wybiegli na dwór. Od strony Stoczni słycać było skandowanie: "Solidarność! Solidarność!" i łomot.

Myśleli, że to atak na stocznię. Okazało się, że strajkujący w tym samym czasie też to słyszeli, od strony morza. Pozorowany atak, wojna psychologiczna wszelkimi środkami? W poniedziałek, w przeddzień zakończenia strajku zatrzymano dwunastu zagranicznych dziennikarzy i odebrano im kasety i filmy z ich briefingami. Piotr usmiechnął się melancholijnie, jak gdyby wcześniej nie rozumiał, że władza i tak wie wszystko. I powiedział sam do siebie: no to nie ma się co szczypać.

Wszyscy sądzą, że należy koniecznie powiedzieć o urnie. Urnę miała pod opieką pani Żenia i często aż płakała. Przychodzi kobieta, na wygląd dziewięćdziesięcioletnia, nie mogła mieć mniej niż osiemdziesiąt pięć lat, zupełna staruszczyca, głucha, krucha jak zeschnięty listek. I wkłada do urny całą emeryturę. Jej życie przeminęło w kryzysie. Ale niech młodzi doczekają lepszych czasów. Wywiesili afisze na drzwiach kościoła, że można świadczyć pomoc materialną strajkującym. I podali numer skłki w plebanii. Dwa tysiące wrzucił funkcjonariusz służby bezpieczeństwa nazywany "Ludzie, ludzie". Przypuszczalnie był z urzędu. Ale emerytowany pułkownik milicji to już inna sprawa. Wylegitymował się przed panią Żenią i powiedział: wstydzę się, że pracowałem w tej instytucji, i dał na strajk pięćdziesiąt tysięcy złotych, a ona się rozszlochała.

Jakis człowiek w średnim wieku położył anonimowo sto tysięcy. Sądzą, że rzemieślnik. Przychodziło bardzo wiele osób, stali chwilę przed drzwiami, ściskając w rękę banknoty, małe i duże, miętobili je ze wzruszenia, potem spoczone pieniądze wciskali do urny i wychodzili jeszcze bardziej wzruszeni.

Urna zmobilizowała zakładowe organizacje "Solidarności". Ten i ów sobie przypominał, że ma swój związek zawodowy i wobec niego pewne obowiązki. Składki zebrane na strajk przyniosło 136 delegacji przedsiębiorstw, biur, urzędów, instytucji, szkół, szpitali, spółdzielni, spółek, towarzystw, środowisk artystycznych i naukowych z Trójmiasta i spoza. Nazwy ich wszystkich odnotowane skrupulatnie spadły dwa tygodnie później z tabony dla pokrzepienia serc i dlatego, że Kanonik postanowił każdego ofiarodawcę usatysfakcjonować oddzielnie ze względów wychowawczych. I choć to zajęło w naszym dodatku ze dwadzieścia minut, ludzie chcieli tej wyliczanki słuchać.

Przyniesiono także kocy, szarpety, kalesony, papierosy, konserwy, kawałki na mięso, papier maszynowy, benzynę w kanistrach i wiele innych rzeczy. Ale choć ta ofiarność działa na wyobraźnię, Stefan, jeden z tych, którzy tu są zawsze, pozostaje sceptykiem. Bo czy to było poparcie na skalę dużego zamożnego Wybrzeża? Podobno w Nowej Hucie zebrano aż 15 milionów, u nas niektóre środowiska pozostały na strajk całkiem obojętne. I dlaczego stoczniacy musieli przeżyć ten szok samotności? Dlaczego nie dołączył ani jeden zakład? Jest poparcie, czy go nie ma? Czy w ogóle jest "Solidarność"? A my kim jesteśmy? Niektórzy na nasz widok pokazują kółko na czole, w pewnym sensie św. Brygida ma żółte papiery!

Tu jest twój Hyde Park, możesz wejść na schodki i mówić, co masz do powiedzenia, albo przepchać się chociaż do figury Matki Boskiej,

Zszokowało go: robią wielki strajk, całkiem nieprzygotowany i przy tym są radykalni, jak sto diabłów. Patrzą podejrzliwie, spode łba, nie chcą ustąpić, możesz ich posiekać. Musiał niektórych dosłownie taranować żeby zmieśli, a i tak pięćdziesięciu uparło się, że nie wyjdą. A potem co? Co będziecie robić? Zwiniecie manatki i udacie się na emigrację, za chlebem, jak tysiące waszych rówieśników, a ten cały interes zwany Polską komu zostawicie? Takie są dzieci Sierpnia. Dlatego musiał ich zamać, zachowywać się chwilkami jak trener i w końcu mu się podporządkowali, podporządkowali się "Solidarności". Czy my jednak nie powinniśmy być bardziej nauczycielami młodzieży niż trenerami?

Jak to się stało, że myśmy się przez osiem lat spierali, kłócili z władzą, przecież jakoś walczyliśmy, a oni nas nie zrozumieli? Może po prostu byliśmy, Lechu, nie dość czytelnici?

A co się tyczy emigracji, to kto im pokazał drogę? Gdzie są czołowi działacze wielu regionów? W Ameryce i Kanadzie odnoszą sukcesy jako technicy samochodowi i kelnerzy. Potrzebne są wzory osobowe.

- Ty Stefan - Lechu lekko żartuje, stanowczo za dobrze wyglądasz, to może świadczyć o konsumpcyjnym stylu życia.

Dyskusja toczy się w gronie przyjaciół. Przypadkowo jest aż trzech księży. Prócz Kanonika jeszcze dwu ojców jezuitów, jeden ojciec profesor z Warszawy. Napisał książkę o bohaterstwie podlaskich unitów, wyszła niedawno w Londynie, powinna przynieść społeczne pożytki. Czasem bywa z rekolekcjami w Wilnie, tam go proszą, błagają o lektury patriotyczne z życiorysami polskich hetmanów, niezłomnych męczenników, ludzi szlachetnych, bezinteresownych, skromnych, bezgranicznie oddanych Ojczyźnie. Tak wychowujmy młodych Polaków. Te kazania są zbyt abstrakcyjne, nawet w kościele, młodzież to nudzi. Owszem, ksiądz Popiełuszko nie był abstrakcyjny. Ojciec profesor zapalił się do tego, odłożył na razie na bok prace naukowe, żeby poświęcić się popularyzacji.

A teraz, skoro jest w Gdańsku, to przy okazji coś przywiózł. Kwiat o nazwie Lech Wałęsa, wyhodowany przez ogrodnika zakonu, specjalistę na skalę europejską. Jest już zarejestrowany i opisany w piśmiennictwie ogrodniczym. Czyta: kwiat, bylina trwała, z rodziny cebulowatych, odporna na mróz, wieloletnia; liście mięsiste, grube, korzeń mocny; kwitnie obficie w kolorze czerwonym dużymi kłociami.

To lepsze od Nobla, przewodniczący jest zadowolony, posadzi sobie na balkonie.

Stefan pyta niewinnie: a jak ten kwiat pachnie?

Największą zdobyczą strajku jest rozpoznanie rzeczywistości. Co do tego wszyscy są zgodni. Prawdą jest, że młodzież jest zbyt gorąca i zbyt słaba, krótkodystansowa; bez ukierunkowania, bez autorytetów i bez żadnego doświadczenia walki; spuszczonegłowa i ogień w sercu, płomień, co spala; atakuje raz w tę, raz w tę, na ślepo, strach dać do ręki zapałki. Prawdą jest, że struktury "Solidarności" się nie sprawdziły, nie ma ich w zakładach, nie ma organizacji. Taka jest prawda. Ale młodzi stocznicy poszli za nami, nie chcieli pieniędzy, chcieli pluralizmu związkowego, zmian systemowych, "nie ma wolności bez "Solidarności"", to teraz jest już ich hasło. Teraz my musimy usunąć nasze mankamenty, żeby oni mogli być tą młodą kwią. Próba w stoczni wypadła dobrze. Młodzież z tego gniazda potwierdziła się. Tadeusz Mazowiecki nazwał to bardzo pięknie: wiosną "Solidarności". Zielone młode pędy. Nie chcieli wyjść ze stoczni przede wszystkim dlatego, że nie mają do czego tęsknić, dokąd wracać. Tam byli we wspólnocie, byli ważni, coś od nich zależało. Tu co mają? Hotel robotniczy z własnym jednym łóżkiem, trochę lepszym niż strajkowy siennik ze styropianu

Czy to nie jest dla ludzi czytelniejsze niż gdyby oni zgodzili się na byle co? Piotr, głęboko wierzący, myśli to samo, co Lech: sprawa Ducha Świętego. Natomiast Adam wierzy w Iecha. Mówi, trochę się zacinając jak zwykle: tten strajk mógł być naszą polityczną przegraną, a nie jest. Lllechu to ma szczęście.

W niedzielę kilka osób w Brygidzie już wiedziało, że oni wyjdą. Że są przygotowywane alternatywne dokumenty na wypadek gdyby porozumienia nie można było podpisać. Od wtorku rana znany był im scenariusz i w przybliżeniu godzina opuszczenia stoczni. Ale wszystko to musiało zostać utrzymane w tajemnicy, żeby zamysł zrealizować przez zaskoczenie, bo władza mogłaby coś wykombinować. Tymczasem zagraniczni dziennikarze naciskali i Piotr przekonał się, że to duża sztuka mówić, a nic nie powiedzieć, ale że można się tego nauczyć.

O 19-ej zwykle odbywały się briefingi. W Brygidzie, podobnie jak w stoczni czekano na wiadomość od biskupa Gociłowskiego. O 19.30 biskup zadzwonił: za pół godziny posterunki ZOMO i zasięki zostaną zdjęte, komendant Andrzejewski zapewnił go o tym osobiście. Przekazali dziennikarzom informację, że o 20-ej strajkujący opuszczą stocznia. I sami też rzucili się w drzwi za dziennikarzami żeby zdążyć. Cała św. Brygida, Adam, Zdzisław, Janeczka, oczywiście na czele z księdzem Jankowskim. Z nimi kurierzy i nawet ci mali "kapitanowie" - bo tak nazywano najmłodszych łączników strajku. Piotr odbierał telefony, więc wybiegł ostatni. Pochód już wchodził na plac przed św. Brygidą. Wtedy zobaczył ich po raz pierwszy. Obsługiwał strajk, pracował dla niego, opowiadał o nim światu, a przecież go nie widział. Trzymali się za ręce, za ramiona, tak jakos spleceni. Robiło to duże wrażenie. Przede wszystkim było ich dużo. Dochodziły słuchy, że wyciekają w nocy, że wciąż się zmniejsza liczba strajkujących. A jednak to była bardzo duża grupa ludzi. I drugie, co wprost uderzało: byli rzeczywiście młodzi.

Lech Wałęsa ogląda już chyba dziesiąty raz film ze strajku, bardzo szczegółową dokumentację na video. I za każdym razem w innym miejscu łapie się za głowę. Za wiele było błędów, moi panowie, trzeba się pilnie uczyć. Kazałem zrobić tysiąc kopii, ten strajk to jest dla nas lekcja pogładowa. Sądzę, że dla władzy również, ale o to mnie głowa nie boli, my się martwimy o siebie. To że Iis, Bujak, Jurczyk, Onyszkiewicz, Gwiazda dali się zamknąć, to był niewybaczalny błąd, cała generacja, bo jeszcze Michnik, na szczęście się wyrwał. Nam tego nie wolno robić, my sobie za to powinniśmy natrzaskać po pysku. To, że ja tak wystąpiłem na 1 maja, no może to nie był błąd, bo wyszło dobrze, ale jednak z mojej strony też były pewne nierozpoznanie sytuacji, kiedy do nich, do tych młodych zawałałem: żądam od was solidarności z Hutą. Trochę mnie zgniewali ciągłym gadaniem, że się migam, że jestem niewyraźny. Ale ja ich do końca nie wyczułem, nie znałem. My dalej ich nie znamy, oni jeszcze nie wiadomo co mogą zrobić, mogą się nawet podpalić i spłonąć jak pochodnia, a z nimi spłonie Polska. Dlaczego, drodzy koledzy z opozycji i "Solidarności", my ich nie znamy i gdzieśmy byli, jak te dzieci rosły, że one urosły bez nas i niczego się od nas nie nauczyły?

Dla Lecha to nowe doświadczenie z maja 1988 roku różni się od Sierpnia 1980. Wszystko było podobne, dekoracje bram z obrazkami Matki Boskiej i papieża, flagi, hasła, i wszystko było inne.

Zszokowało go: robią wielki strajk, całkiem nieprzygotowany i przy tym są radykalni, jak sto diabłów. Patrzają podejrzliwie, spode łba, nie chcą ustąpić, możesz ich posiekać. Musiał niektórych dosłownie taranować żeby zmiękli, a i tak pięćdziesięciu uparło się, że nie wyjdą. A potem co? Co będziecie robić? Zwiniecie manatki i udacie się na emigrację, za chlebem, jak tysiące waszych rówieśników, a ten cały interes zwany Polską komu zostawicie? Takie są dzieci Sierpnia. Dlatego musiał ich łączyć, zachowywać się chwilami jak trener i w końcu mu się podporządkowali, podporządkowali się "Solidarności". Czy my jednak nie powinniśmy być bardziej nauczycielami młodzieży niż trenerami?

Jak to się stało, że myśmy się przez osiem lat spierali, kłócili z władzą, przecież jakoś walczyliśmy, a oni nas nie rozumieli? Może po prostu byliśmy, Lechu, nie dość czytelni? A co się tyczy emigracji, to kto im pokazał drogę? Gdzie są czołowi działacze wielu regionów? W Ameryce i Kanadzie odnoszą sukcesy jako technicy samochodowi i kelnerzy. Potrzebne są wzory osobowe, - ty z brzo - Lechu lekko żartuje, stanowczo za dobrze wyglądasz, to może świadczyć o konsumpcyjnym stylu życia.

Wykazuje duszy się w gronie przyjaciół. Przypadkowo jest aż trzech profesorów. Jeden Kanałka jeszcze dwu ojców jezuitów, jeden ojciec profesor o wariaty. Napisał książkę o bohaterstwie podlaskich chłopów, wysła niedawno w Londynie, powinna przynieść społeczne pożytki. Czatem bywa z rekoalekcjami w Wilnie, tam go proszą, błądząc o lektury patriotyczne z życiorysami polskich hetmanów, niepomnych wojowników, ludzi szlacheńskich, bezinteresownych, skromnych, bezgranicznie oddanych Ojczyźnie. Tak wychowujmy młodzież polską. Te kazania są zbyt abstrakcyjne, nawet w kościele, młodzież to wiezi. Owszem, książkę Popiełuszko nie był abstrakcyjny. Jeden profesor zapalił się do tego, odłożył na razie na bok prace naukowe, żeby poświęcić się popularyzacji.

A teraz, teraz jest w Gdańsku, to przy okazji coś przywiózł. Kwiat o nazwie Leon Wałęsa, wyhodowany przez ogrodnika zakonu, specjalizację na skalę europejską. Jest już zarejestrowany i opisany w piśmiennictwie ogrodniczym. Czyta: kwiat, bylina trwałą, z rozliny cebulowatych, odporna na mróz, wieloletnia; liście mięsiste, grube, korzeń mocny; kwitnie obficie w kolorze czerwonym dużymi kłściami.

To lepsze od Nobla, przewodniczący jest zadowolony, posadzi sobie na balkonie.

Stefan pyta niewinnie: a jak ten kwiat pachnie?

Największą zdobyczą strajku jest rozpoznanie rzeczywistości. Co do tego wszyscy są zgodni. Prawdą jest, że młodzież jest zbyt gorąca i zbyt słaba, krótkodystansowa; bez ukierunkowania, bez autoritetów i bez żadnego doświadczenia walki; spuszczone głowa i ogień w sercu, płomień, co spala; atakuje raz w tę, raz w tę, na ślepo, strach dać do ręki zapałki. Prawdą jest, że struktury "Solidarności" się nie sprawdziły, nie ma ich w zakładach, nie ma organizacji. Taka jest prawda. Ale młodzi stoczniowcy poszli za nami, nie chcieli pieniędzy, chcieli pluralizmu związkowego, zmian systemowych, "nie ma wolności bez "Solidarności"", to teraz jest już ich hasło. Teraz my musimy usunąć nasze mankamenty, żeby oni mogli być tą młodą krwią. Próba w stoczni wypadła dobrze. Młodzież z tego gniazda potwierdziła się. Tadeusz Mazowiecki nazwał to bardzo pięknie: wiosną "Solidarności". Zielone młode pędy. Nie chcieli wyjść ze stoczni przede wszystkim dlatego, że nie mają do czego tęsknić, dokąd wracać. Tam byli we wspólnocie, byli ważni, coś od nich zależało. Tu co mają? Hotel robotniczy z własnym jednym łóżkiem, trochę lepszym niż strajkowy siennik ze styropianu

i jeśli chcą to nawet codziennie pół litra na dwóch. A jak wyjdą na ulicę, to na każdym rogu legitymuje się ich za sam wygląd, za niepokorne spojrzenie, za to, że mają dwadzieścia lat.



Kanonik odprawia nie tylko tę jedną dramatyczną mszę końcową w intencji szczęśliwego zakończenia strajku w dniu 10 maja. Za dwa tygodnie jeszcze drugą w uroczystość Zielonych Świątek, czyli zesłania Ducha Świętego. Żeby Duch Święty zstąpił na cały naród, żeby naród zrozumiał, że jest silny Bogiem i "Solidarnością", żeby doznało umocnienia młode pokolenie, które jest na dobrej drodze do pełnej wewnętrznej wolności, "zrozumiało bowiem bardzo wiele, jak nikt chyba jeszcze dotąd. Dlatego rodzice i wychowawcy powinni narazić się nawet na wyrzucenie z pracy, żeby uczyć tylko prawdy i miłości do prawdziwej Ojczyzny, bezprzymiotnikowej". Kazania księdza Jankowskiego są w Gdańsku dobrze znane i budzą kontrowersje. Na czym polega ta kontrowersyjność? Na tym chyba, że objawia w nich prawdy aż nazbyt potoczne, tak dobrze znane, że wręcz trywialne.

O obyczajach naszej władzy /"u nas bije się ludzi dlatego, że chcą korzystać z praw, które przysługują wolnym ludziom i żadna władza nie może takich praw narodowi odebrać. Chyba, że jest to władza okupacyjna."/

O winie "Solidarności" /"zaledwie naród powstał jako "Solidarność" znów trzeba było odebrać prawa ludzkie. Tysiące ludzi skazano na podstawie wymyślonego prawa, które po to zostało napisane, aby unieszkodliwić najdzielniejszych ludzi, a innych zastraszyć, zdeptać... Odważni ludzie na serio zaczęli myśleć, jak wyprowadzić Polskę z niewoli. Ale to właśnie jest przestępstwem."/

Przypomina, co jest naszym obowiązkiem w formie instruktażu: "trzeba pogłębiać więzi międzyludzkie. Czym naród trwa, żyje? Tym, że dobrzy ludzie czują się ze sobą związani, pomagają uwięzionym i internowanym, wywalonym z pracy w czasie stanu wojennego. Pomagają i dzisiaj strajkującym... Trzeba czytać wolne gazety, z takim trudem wydane... Postarać się o uczciwe książki i podręczniki".

I czego nam nie wolno: "postawmy, kochani, sobie zasadę: nigdy nie zgadzamy się na żadną społeczną antychrześcijańską nieprawdę. Nie zgadzamy się na żadne podpisywanie lojalności, nie ma żadnych wykrętów. I nie ma dla wierzącego katolika miejsca w partii. Nie tylko dlatego, że partia ma światopogląd ateistyczny i buduje społeczeństwo bez Boga, ale i dlatego, że się partia w niczym dobrym nie sprawdziła".

Ale Kościół jest strefą ciszy, słowo wypowiedziane zbyt donośnie dźwięczy tu wielokrotnie aż wciera się w mózg i choć słyszą je wszyscy, pojedynczy człowiek ma czasem kłopoty z odbiorem i staje się nerwowy. Wtedy Kanonik uspokaja, mityguje w duchu ewangelicznym: "Nienawiść niczego nie zbuduje, drogi bracie i siostrzo. Dlatego otwieramy się na wszystkich naszych braci, którzy na nas podnoszą uzbrojoną rękę, żeby więcej uzbrojonej ręki na nas nie podnosili. - Znowu ponosi go temperament kapelana frontowego walczącej armii: - Nie bijcie nas, przecież i Bóg, i naród, i historia narodu rozliczy was z tego bicia.

I właśnie za to ceni się w Brygidzie księdza Jankowskiego, za ten donośny głos, za postawę.

Oremus ... Najbardziej uroczyste są msze po łacinie o godzinie 11-ej. Kościół śpiewa pieśni patriotyczne. "Ojczyzno ma, cała we krwi skąpana, jak ielka jest twoja rana, jak już długo cierpienie

twe trwa". Lubiane są sztandary. Kiedy wkracza wśród nich sztandar "Solidarności", po plecach przebiega dreszcz. Wydaje się, że za chwilę pięknie sklepienie. Lecz gdzie jest Bóg? Skręcona bóiem twarz Chrystusa na wielkim krzyżu nad główną nawą jest cicha i milcząca. Spróbujmy się modlić. Ave Maria ... wysoki sopran szybuje pod gotycki strop. Wszystkie oczy wznoszą się w górę w ślad za tym krystalicznie czystym kobiecym głosem.



Wałęsa i Szablewski rozliczają się ze strajku, a właściwie strajk rozlicza się sam z sobą. Ci ludzie, którzy przychodzą tu prawie co tydzień, którzy byli w niedzielę strajkową, którzy wyszli ich witać początkowo złamanymi, przygnębionymi brakiem zwycięstwa, są i teraz, gdy o sprawie można już pomówić rzeczowo. Stała obecność tej kilkunastotysięcznej gromady jest też poważnie brana w rachubę. Wałęsa i Szablewski dziękują jej współdziałającej, współczującej i kibicującej, za to, że można na nią liczyć, że jest w odwodzie.

Wałęsa mówi ostro, zdecydowanie, zasadniczy jego tekst natomiast będzie odczytany, "żeby nie było przekręcania, przeinaczania naszych sków, bo my jesteśmy elastyczni, ale i dość precyzyjni w działaniu, choć słowa może są czasem nieporadne". Otóż teraz jest pełna jasność, że "Solidarność" żyje i będzie żyła i to mamy Polsce do zaferowania w tym krzysie, jako nasz wkład do reformy, chcemy ją wziąć w swoje ręce. Pozwólcie nam, oddajcie stocznię stoczniowcom, a nie będzie trzeba jej rozwiązywać, my sobie poradzimy. Natomiast wy - to do stoczniovców - niech cała nasza grupa będzie w pobliżu, jeden obok drugiego, żebyśmy zawsze wiedzieli, czy się komu co złego nie stało i żebyśmy byli gotowi. Ale, o dziwo, najwięcej braw i entuzjazmu budzi tym razem wystąpienie Alojzego Szablewskiego. Szablewski, inżynier, jest jednym z pięciu /na szczęście/ pracowników umysłowych w stoczni, którzy mieli odwagę przyłączyć się do strajku. Człowiek łagodny, poczciiwy - Lechu twierdzi, że Alojz właściwie nie nadaje się do takiego chamstwa, jak strajk, bo strajk to jest trochę chamstwa, przepychanki, trzeba przecinać, łamać, trzeba czasem wysadzić zamek i zająć pomieszczenie; szatnie im pozamykali, stołówkę również, a Szablewski z nimi delikatnie, zapisuje w swoim kąciku, szczerze serce, a Lechu od razu: jeśli trzeba, to drzwi wysadzić, kłódkę złamać, bierzemy rachunki, a szkody pokrywamy. No i właśnie Szablewski był przewodniczącym Komitetu Strajkowego. Ale to się wszystko jakoś tak złożyło, że się tym bardziej nadawał. I teraz też. Gdy przemawia do władzy tonem łagodnej perswazji, wyciąga rękę do zgody. Mówi: uderzcie się w piersi i przypomnijcie sobie po kolei, dokładnie, jak to było ... Nie byliście wobec nas od początku szczerzy i to się, niestety wydało, sekret ujawnił jeden z was, pułkownik Kukliński, współautor waszego planu zniszczenia "Solidarności". W Sejmie też o nas zadecydowali ludzie, którzy nigdy nie byli w "Solidarności" ... to jak oni mogli o nas decydować? Ale nie chcemy się gniewać, wybacmy sobie wzajemne urazy, pogódźmy się, usiądźmy razem do stołu i porozmawiajmy. Niezgoda rujnuje, zgoda buduje ... Nie przypomina to w niczym stylu propagandy rządowej, ani też opozycyjnej, delikatne słownictwo, pełna kultura, raczej kłótnie małżeńską z wymówkami, w której mądrzejszy pierwszy trochę ustępuje, bo są dzieci, bo trzeba je wychować, bo może jeszcze da się coś zrobić.

I ludziom się to podoba, bo też chcą żyć, wychowywać dzieci, bo są wierzący, i anielsko cierpliwi.



Załatwia się jeszcze remanenty, rozmaite sprawy strajkowe. Pod Brygidą kręci się Bogdan Borusewicz, nie rzucając się w oczy, jak to on, w sfatygowanym skafandrze, niepozorny, nie pchający się na afisz. Specjalista od kopania tuneli pod podłogą, pięć lat tam spędził po ogłoszeniu stanu wojennego i może to on najlepiej by się nadawał do opisanie w takiej książce, jakiej zdaniem ojca, jezuita pilnie potrzebuje nasza młodzież; kwiat nie tak efektowny, bo wyrastający w cieniu podziemia.

Też myśli nad tym wszystkim, ale bardziej technicznie, jak powymieniać niesprawne części, dać w to miejsce nowe śrubki, żeby ten mechanizm zaczął teraz lepiej pracować. - Są już zwolnienia z pracy, obiecano, że zwolnień nie będzie, ale są pod pretekstem, zanosi się na następne, mamy informacje. Załatwimy pracę wszystkim zwolnionym, jeden rzemieślnik już nam zgłosił dziesięć miejsc, a tym, którzy nie znajdują zatrudnienia, będziemy wypłacali nawet przez pół roku średnią, jaką mieli w stoczni, włącznie z nadgodzinami i dodatkiem rodzinnym, nikt nie zostanie sam na lodzie. Gorsza sprawa, że wyrzucają ich też z hoteli i kwatery prywatnych, to jest najlepszy sposób na pozbycie się niepożądanego elementu z Gdańska, kwatery też musimy znaleźć, w razie czego poprosi się Jankowskiego, niech ogłosi z ambony. Rozpoczęła już stałą pracę wyłoniona przez Komitet Strajkowy jeszcze w Stoczni grupa prawników, udzielająca dwa razy w tygodniu porad prawnych. Jankowski udzielił im schronienia. Cały Komitet Strajkowy będzie się tu spotykał raz w miesiącu.

Aktualnie kończy się na górze wypłacać zasiłek strajkowy tym, którzy nie zdążyli pobrać w Stoczni. Wypłacają pan Zdzisław, pani Janeczka i pani Małgosia, skrupulatnie, bo to są duże pieniądze, żądając podpisów na liście płac, jak to się robi w normalnie funkcjonującym związku zawodowym. Pierwszorzędne pociągnięcie, ludzie się przekonują, że nie są stadem bezradnych owiec, lecz zdolną się rozsądnie zorganizować siłą.

Pani Janeczka tuli w ramionach spazmatycznie łkającą kobietę. Janeczka jest mała, drobna, ta kobieta wysoka, silna, o dużych, spracowanych rękach. To suwnicowa ze stoczni. Była cały czas w strajku w kuchni. Rodzina miała do niej o to pretensje, brat, męża nie ma, rozeszła się z pijakiem, wychowuje dwoje dzieci sama. Spotkała ją straszna przykrość, właśnie tutaj, w Brygidzie.

Nie może się uspokoić, nie może nawet o tym mówić. I nie weźmie tych pieniędzy, zasiłek jak wszyscy, tak, a zwrotu za kolegium nie, niech jej nawet nie proszą. Zdzisław i Małgosia nie wiedzą o co chodzi, ale Janeczka zdążyła już sprawę wyjaśnić. W dzień, była w stoczni, a na noc wracała do domu, żeby rozności mleko, bo dorabia sobie roznośzeniem mleka. Wylegitymował ją patrol, w dowodzie miała przepustkę strajkową i teksty piosenek.

Dostała karę, pięćdziesiąt tysięcy złotych grzywny plus tysiąc kosztów z zamianą na areszt. Pożyczyła dwadzieścia pięć tysięcy, więcej nie mogła zdobyć. Ktoś ją skierował do św. Brygidy. Otrzymała od Janeczki brakującą sumę, mieli jej zwrócić całość jak przyniesie dowód wpłaty. Co się okazało? W kasie odmówiono jednak wystawienia kwitu: chcecie, żeby wam ksiądz Jankowski zwracał, a my zaraz zamykamy, płaci pani czy nie? Przybiegła do św. Brygidy, tak jak się z Janeczką umówiła, nie zastała jej, zastała kogoś innego i ten ktoś ... nie można z niej wydusić, co

tutaj usłyszała, ale Janka już wie, bo była u majstra, u kolegów tej kobiety, że została potraktowana z góry, jak żebraczka lub złodziejka. I wiadomo, kto to zrobił, to jest urzędnik parafialny, nie człowiek z "Solidarności", ale czasem załatwia i nasze sprawy, tu się wszystko miesza, również kompetencje i już nieraz nawarzył piwa, niejednego do nas zraził.

Naradzają się. W jaki sposób pieniądze pani M. zwrócić? Dadzą je majstrowi, niech powie, że zrobili składkę na wydziale, może od nich weźmie, bo stąd to już nie. I najlepiej, jeżeli przeprosi ją osobiście Kanonik.



Na Ławkach pod kościołem chłopcy grają na gitarach i śpiewają. Ciock dziewczyny, patrzą na nich pełnymi podziwu oczami. Muzy. Palą papierosy, ale niektórym nawet jeszcze z papierosem nie do twarzy. Stoczniołcy, twardsi, śmielsi, razem z tymi z WiP-u, w dzieciennie związanych z tyłu warkoczykach, opowiadają sobie nawzajem o strajkach. Jak było na stoczni, a jak na uniwersytecie. Jest piękny maj, wiosna. Ich legenda.

Starsi też się przysiadają. Jest jakieś życie na tym dziedzińcu, dziś panuje miłe odprężenie.

Łagodnie dogasa strajk. Gasi się sam, tak żeby całkiem nie zgasnąć, żeby na spodzie zostały gorące węgle.

Gdańsk, 31 maja 1988 roku

HENRYKA DOBOSZ

Nowa jakość

Spoleczne protesty, których bliższy śladkami w kwietniu i maju, zakończyły się. "Ból został zlikwidowany, choroba pozostała" - powiedział biskup gdański Tadeusz Gocłowski, osobiście zaangażowany w działania na rzecz rozwiązania zaistniałej sytuacji.

Wydarzenia majowe nie przyniosły istotnego przesilenia i chyba nikt nie wierzył z nimi takich nadziei. Nie znaczy to, że zamierzam w jakikolwiek stopniu dyakredytować wartość podjętego protestu, mającego znaczenie choćby tylko dlatego, że został podjęty. Wbrew oberwładniającej apatii, ogólnie obserwowanej niechęci do angażowania się w sprawy społeczne, wbrew ogarniającej wszystko i wszystkich szarości.

Choroba więc pozostała i jeżeli nie zostaną zastosowane odpowiednio środki zaradcze, z pewnością ujawni się w przyszłości w ostrzejszej formie. Dziś chciałabym się zstrzymać tylko nad jednym aspektem majowych protestów, który, jak sądzę, może okazać się istotny w myśleniu o przyszłości. Chodzi tu o zaangażowanie Kościoła. Sam fakt nie jest nowy. W systemie, w którym żyjemy, wobec niemożności legalnego istnienia, a tym bardziej działania zorganizowanych grup opokoyjących, Kościół pozostaje jedyną legalną instytucją, nie włączoną w struktury władzy, zachowującą niezależność i cieszącą się społecznym zaufaniem. Siłą rzeczy więc musi artykułować społeczne obawy i oczekiwania. Nie jest to sytuacja korzystna ani dla społeczeństwa, ani dla samego Kościoła. Społeczeństwo oczekuje od niego "zaskutwienie" swoich problemów, przynajmniej w jakimś możliwym do wyobrażenia stopniu, a władza skłonna jest traktować Kościół instrumentalnie jako element wyłącznie moderujący i wyciszający społeczne nastroje. Granica jest cienka, bo z jednej strony może grozić skrzywienie optyki, z drugiej sekwencje społecznego zaufania. Niektwo jest poruszać się w takiej sytuacji i, trzeba powiedzieć, że nie zawsze i nie wszystkim hierarchom Kościoła udawało się właściwie tę granicę wyznaczyć. Stąd obserwowana w wielu wypadkach duża (specjalnie odczuwana jako niedorzeczna) ostrożność w angażowaniu się w sprawy społeczne.

Jakkolwiek więc w minionym czterdziestolecu odwrzeto się, że Kościół polski podejmował się roli mediatora w sporze między społeczeństwem a władzą i czynił to z mniejszym lub większym powodzeniem, tym razem jego zaangażowanie uzyskało nowy wymiar. Powstało pytanie, czy jest to efektem istotnych zmian w myśleniu i reagowaniu na problemy społeczne dokonujących się w łonie episkopatu, czy też czynnikiem decydującym było tu raczej osobowość konkretnych osób zaangażowanych w rozwiązywanie powstałej sytuacji. Mam tu na myśli szczególnie biskupa gdańskiego.

Nieależnie od postrzegania tych proporcji określających sposób i formę włączenia się Kościoła w ostatnie wydarzenia, fakty które zaistniały, mają swoje znaczenie w odbiorze społecznym. Władza także nie może ich nie dostrzegać, ponieważ dla niej oznaczają ograniczenie pola manewru.

A fakty są następujące. Komunikat Konferencji Episkopatu Polski z 3 maja br., mimo wielu osłabiających jego wymowę stwierdzeń, zawierał sformułowanie: "Sytuacja kraju nakazuje odłożyć względy formalne i usilnie poszukiwać takich wspólnych rozwiązań, które służyłyby dobru całego narodu". Wydawałoby się, nic szczególnego, ale to "odłożyć względy formalne" znaczy po prostu przestać posługiwać się argumentem nielegalności jako istotną przeszkodą w podjęciu dialogu z przedstawicielami społeczeństwa. Wszyscy przecież wiemy (a władza przede wszystkim), że nie ma u nas możliwości wyrażenia legalnego protestu, nie ma nawet możliwości, choćby drobnego skorygowania programów i poczynań władzy. Słowa komunikatu oznaczają więc zrozumienie istoty "nielegalnych" protestów. Jasno i zdecydowanie mówi o tym oświadczenie Prymasowskiej Rady Społecznej z 14 maja br.: "Robotnicy, studenci, naukowcy i inne grupy społeczne dotkliwie odczuwają ograniczenia praw i niedostatek wpływu na decyzje dotyczące bezpośrednio ich środowisk oraz na bieg szerszych spraw publicznych. Stanowiące społeczną własność środki przekazu przemilczają i zniekształcają informacje, powołane do służby społeczeństwu organa władzy sięgają do fizycznej przemocy przeciwstawiając sobie nawzajem młodych Polaków. Głos Kościoła bywa niewysłuchany a jego działania medycyjnne niweczone". Na uwagę zasługuje tu poniechanie, dotąd często spotykanych w tego rodzaju dokumentach, eufemizmów a także szybkość reakcji.

Kolejny fakt to wyposzeżenie wysłanych do Nowej Huty i do Gdańska mediatorów w oficjalne pełnomocnictwa episkopatu podpisane przez arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego (sekretarza Episkopatu Polski), kardynała Franciszka Macharskiego i biskupa Tadeusza Gocłowskiego. W Sierpniu 80 niektórzy z doradców strajkowych także cieszyli się poparciem Kościoła, ale zostało ono wyrażone w formie "cichego przyzwolenia" a nie oficjalnego dokumentu.

Następna sprawa to szybka i zdecydowana reakcja po dokonanej 5 maja pacyfikacji Huty im. Lenina. I to reakcja publiczna a nie wyrażona, jak to na ogół bywało, w formie pism (Pro memoria) składanych na ręce przedstawicieli władzy. Treść tych pism pozostawała społeczeństwu niezna.

I wreszcie fakt najistotniejszy. Osobiste i bezpośrednie zaangażowanie w mediację biskupa Tadeusza Gocłowskiego. Uchroniło ono studentów Uniwersytetu Gdańskiego przed postanowioną już pacyfikacją. Interwencja biskupa u szefa WUSW gen. Jerzego Andrzejewskiego okazała się skuteczna. Studenci zakończyli strajk okupacyjny na Wydziale Humanistycznym uniwersytetu następnego dnia, w piątek 6 maja, trzymając się wyznaczonego przez siebie wcześniej terminu zakończenia solidarnościowego protestu.

Tego samego dnia rozpoczęły się podjęte przez biskupa działania medycyjnne na rzecz rozwiązania sytuacji w Stoczni Gdańskiej. Pierwsze pięciodzinne rozmowy biskupa z przedstawicielami strajkujących (Brunonem Barenowskim, Janem Górczakiem oraz Tadeuszem Mazowieckim i Lechem Kaczyńskim) odbyła się w kurii biskupiej. Warto dodać, że biskup zamierzał sam udać się do stoczni, ale tego władze zbyt się obawiały. Zresztą decyzja

musiałaby być rozważana na szczeblu wyższym niż wojewódzki, jak przyznał, proszący biskupa o mediację, gen. Andrzejewski. W kurii odbyły się cztery kilkugodzinne rozmowy. Jak podkreślili ci, którzy w nich uczestniczyli, niczego im nie narzucano. Biskup chciał, by decyzje strajkujących były w pełni samodzielne. Zabiegał tylko o doprowadzenie do bezpośrednich rozmów strajkujących z przedstawicielami dyrekcji. A w niedzielę 8 maja wyraził gotowość odprawienia mszy dla strajkujących w zablokowanej przez milicję stoczni. Nie został tam wpuszczony, choć tym razem pertraktacje toczyły się na szczeblu wyższym niż wojewódzki. Był w nie zaangażowany sekretarz KC PZPR Stanisław Ciosek. Kiedy ostatecznie odmówiono biskupowi, znalazł on szczególną formę podkreślenia łączności hierarchii Kościoła z uczestnikami robotniczego protestu. Ks. Zbigniew Bryk, któremu zezwolono na odprawienie mszy w stoczni został wyposażony w ornat, w którym przed rokiem odprawiał mszę dla świata pracy Papież Jan Paweł II.

Dzięki zaangażowaniu biskupa gdańskiego strajkującym zapewniono bezpieczeństwo pracownicze i osobiste. Biskup uzyskał także przyrzeczenie, złożone zresztą wcześniej przez gen. Kiszczaka mec. Sile-Nowickiemu, uwolnienia więźniów politycznych.

Fakt osobistego zaangażowania biskupa postawił władzę w nowej sytuacji. Inny bowiem wymiar ma zignorowanie (jak miało to miejsce w Nowej Hucie) świeckich przedstawicieli Kościoła, choćby najbardziej zasłużonych i dostojnych, inny - hierarchy Kościoła.

I wreszcie ostatnia sprawa. Podczas uroczystości kościelnej (15 maja) na zakończenie nawiedzenia kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, uroczystości, która zgromadziła na Zaspie ponad 100 tys. ludzi, jako przedstawiciel świata pracy przemówił Lech Wałęsa, podejmując w swym wystąpieniu wszystkie te problemy, które były źródłem majowych protestów. Treść tego wystąpienia musiała być wcześniej znana biskupowi gdańskiemu i niewątpliwie uzyskała jego aprobatę.

Wszystkie te fakty stwarzają nową jakość w polskim krajobrazie społecznym. Jakość, wobec której przeciwstawianie sobie niektórych zaangażowanych w sprawy społeczne duchownych i hierarchii Kościoła, traci sens.

Ta nowa jakość jest z pewnością w dużej mierze konsekwencją papieskiego nauczania. Mam tu na myśli szczególnie encykliki "Laborem exercens" i "Sollicitudo rei socialis" a także treść homilii wygłoszonych podczas ostatniej papieskiej pielgrzymki do Polski.

Faktów, które zaistniały nie da się wymazać. Będą one obligowały przedstawicieli Kościoła do zmuszając, nawet niechętnych, do otwartości na problemy, które są problemami tego społeczeństwa, tego narodu.

ALEKSANDRA MICHAŁECKA

maj 88

Stocznia, Wawel i chorągiew laudańska

Wiec, który poprzedzić miała specjalna msza, zapowiedziany był na dziesiątą rano, ale chyba coś się pokręciło, bo gdy stanąłem na podródku przed plebanią, ksiądz Jankowski z ganecczku przedstawiał właśnie nowy harmonogram: teraz sobie tylko wstępnie pogodamy, potem o jedenastej pomodlimy się, a wiec - dopiero na koniec.

Młodsza część zgromadzonych nie chciała jednak czekać do południa i dlatego szybko wpadła prebosczcziowi św. Brygidy w słowo głośnym skandowaniem: No-wa Huta! No-wa Huta!. Na co ksiądz kanonik równie szybko odparł: Ach tam, Nowa Huta, doayć tych hut mamy, same tylko straty przynoszą. Prawdopodobnie replice tej z ekonomicznego punktu widzenia trudno odmówić słuszności, ale w kontekście trwającego już szósty dzień strajku w Kombinacie Metalurgicznym im. Lenina zabrzmiała ona na tyle dziwacznie, że zacząłem kombinować, czy aby się nie przesłyszałem. Ale chyba nie. Ani na murach świętej Brygidy, ani na ścianach plebanii nie było żadnych transparentów, plakatów, malunków, czy innych oznak sygnalizujących, że gdańska uroczystość 1-majowa odbywa się w jakimś związku ze strajkującą hutą.

Takęś przywitały głośne brawa, ale też okrzyki: Ju-tro strajk! Ju-tro strajk!, co przewodniczącemu poszło widocznie nie w smak, skoro burknął, że ta Bydgoszcz, t e n Kraków tylko mu przeszkadza w pracy a on się musi skupić, bo wcale nie jutro, tylko w lipcu, sierpniu i jeszcze nie wiadomo, czy strajk. Nie spodobało się to młodzieży. Więc Wałęsa wazał do szczyrych rozmów i przedstawienie wszelkich wątpliwości oraz zarzutów, ale po mszy. W ogóle wyglądał raczej jak obrońca niż napastnik, choć starał się sprawić wrażenie akurat odwrotnego. Stojący obok mnie młodzieniec skomentował złośliwie wystąpienia Lecha: "w obawie przed atakiem Szovika chciałby zagrać w drużynie z Sadowskim i Gorbaczowem", która to supozycja wydała mi się niesprawiedliwa i zbyt daleko idąca, choć faktycznie powyższe trzy nazwiska z ust Wałęsy padły i to każde w innym sobie.

Msza ciągnęła się długo. Tak długo, że parking przed kościołem i sąsiadujący z nim skwerek poczęły wypełniać się coraz gęściej ludźmi. Dołączali ci, którzy odbębniwazy rytuał uczestnictwa w oficjalnej manifestacji, teraz chcieli przeżyć oczyszczenie nadstawiając - oby tylko nie zanadto - plecy pod ZOKO-wskie pały. Nb. ZOMO obstawiwszy cały teren, już czekało w bojowym rynsztunku z hałmami, tarczami i długimi pałkami u nogi. A na Rsjskiej - chyba przedwcześnie - rozwijał się jakiś pluton w akompaniamencie głośnych pogwizdywań.

Podczas drugiej części wiecu Wałęsa zaprezentował się lepiej niż w pierwszej, choć był chyba ostrzej naciskany przez młodych radykałów. W każdym razie mniej mówił o Związku Radzieckim a

więcej o związku zawodowym. Swą strategię przedstawił w charakterystyczny sposób, używając słów wieloznacznych i metaforycznych. Zrozumiałem, że jest przeciw strajkom, widzi słabość organizacyjną "Solidarności", przestrzega przed niedocenianiem siły władzy i konfrontacją na ulicach. Oponenci usiłowali wydusić zeń jakąś jasną deklarację. Wałęsa - jak zwykle - kluczył, robił uniki, mówił, że jako generał jest do dyspozycji, ale proszę mu pokazać armię, którą ma dowodzić, itepe.

Dwudziestolatek machający zaciekle sztandarem, omal nie złamał drzewa, gdy to usłyszał.

- Tęż on nam proponuje: zróbcie jeden strajk, drugi, zatrzymajcie Gdańsk, Wybrzeże, kraj, a jak będzie gwarancja sukcesu, to mnie wezwijcie, a ja stanę na czele! - wykrzyczał do kolegów.

- Niech on nie będzie taki mądry - odparł jeden z nich. - Wtedy będziemy mieli armię i pewność, że się uda, to sobie sami znajdziemy generała. Tu trzeba dać czadu a nie przychodzić na gctowe!

Strategia strategią, ale należało podjąć decyzję taktyczną - jak poprzeć Nową Hutę, bo w kwestii: czy poprzeć?, więc już dał odpowiedź jednoznaczna. Przewodniczący, który do strajku wezwać nie chciał, ale i z zakazem się nie kwapił, zaproponował, aby załogi w zakładach zdecydowały o formie poparcia, na co zachodni dziennikarze znaleźli zgrabną formułkę: "Lech Wałęsa zapelował o ogłoszenie w poniedziałek 2 maja, dnia solidarności z Nową Huta".

Po wieczu miała miejsce tradycyjna, pierwszomajowa zadyma, która przebiegła bez specjalnych rewelacji. Nb. jeśli nie liczyć faktu zapędzenia się ZOMO-owców do kościoła Św. Brigidy z oczywistym zamiarem pałowania. - Wierni wszelako rozbili funkcjonariuszy - doniosły rozgłosnie z pełną przesadą, jako że wedle naucejnych świadków rozbicie polegało na tym, iż najpierw z kościoła wyleciał ZOMO-wiec, a w chwili później jego pała. Kościół (ten pisany dużą literą) zlekceważył zajście, dając wyraz swej elastycznej postawie i dowodząc jak daleko odszedł od tych czasów, kiedy to mniejsze incydenty uznawano za bezczeszczenie świątyni, zamykano je, rzucano klątwy na winnych, wnoszono zbiorowe modły przebłagalne.

Stocznia - po raz pierwszy

W poniedziałek 2 maja, choć Wałęsa poszedł na chorobowe, a może właśnie dlatego, Stocznia Gdańska zastrajkowała, budząc tym powszechne zdumienie. Albowiem mało kto przypuszczał, że coś się może tu jeszcze wydarzyć. Stocznia miała być podwójnie rozbita. Raz - poprzez liczne czystki personalne, dwa - poprzez funkcjonowanie na jej terenie wielu różnych spółek stwarzających szerokie możliwości realizacji (i wysokie zarobki) wszystkim ludziom z inicjatywą, energią, pomysłami. Zgodnie twierdzono, że w sytuacji, gdy jedni robią szmal, a inni robią bokami, na kontestację polityczną brakuje miejsca.

Wałęsa - mimo, że na zwolnieniu - odwiedził kologów dwukrotnie: po południu i wieczorem, udzielając dość wstrzemięźliwego poparcia. Bramę nr 2 obwieszono transparentami, portretami, flagami "Solidarności", bukietami kwiatów. Słowem: Siocpień. Ale

nieupełnie. Na noc zostało w stoczni niespełna tysiąc osób. Ja obościście spędziłem tę noc dość kiepsko, choć nie w stoczni, tylko w domu. Wymyśliłem jedynie tyle, że we wtorek o dziewiątej rano odprawikem pielgrzymkę do świętego miejsca. Dobrze trafiłem. Postulaty już wisiły, a do mikrofonu mówił Alojzy Szablewski. Był w garniturze, białej koszuli, pod krawatem, co sprawiło, że nieco zbaraniałem. Ale wy tłumaczyłem sobie, iż pewnie nie zdażył się przebrać, jako że właśnie miał z kolegami próbować w sądzie zarejestrować Niezależny Samorządny Związek Zawodowy "Solidarność" Pracowników Stoczni Gdańskiej, którego Komitet Założycielski udało się po długich i ciężkich cierpieniach powołać 29 kwietnia.

Wyszedłem na miasto z zamiarem zorganizowania jakiegoś poparcia dla strajkujących. Starania te zajęły mi niewspółmiernie dużo czasu i energii, w porównaniu z bladym efektem który przyniosły. Uznałem więc, że może w stoczni bardziej się przydam. Z tym postanowieniem, zbrojny w stosowne, popierające stoczną oświadczenie ruchu nowej przedsiębiorczości Wybrzeża, pracowników i członków różnych spółek i spółdzielni o "solidarnościowej" proweniencji przekroczyłem w środę bramę nr 2 w towarzystwie Wojciecha Gieżyńskiego, który przyjechał do Gdańska po dalazy ciąg swego "Sierpnia 80".

Oświadczenie spłodzone z dużym trudem (uczestniczyłem w redagowaniu niezliczonej ilości epeli, stanowisk, protestów, listów otwartych niezależnego, to jest tego, które po 13 grudnia straciło pracę, środowiska dziennikarskiego, gdzie dochodziło do zażartych kłótni o przecinki i muszę powiedzieć, że niezależni przedsiębiorcy mają prawie równie niezależne poglądy, ja natomiast, po wspomnianych wyżej doświadczeniach, podpisuję już wszystko jak leci, bez czytania) zabrał ktoś, by je później odczytać studentom okupującym Uniwersytet.

Komitet Strajkowy obradował w jednym kącie stołówki, w drugim zaś spacerował w pojedynkę Andrzej Gwiazda. Przedniego wieczoru opowiadał on strajkującym o Sierpniu 80, którego większość z nich nie doświadczyła z racji swego młodego wieku. Teraz widząc go samotnym, w dwójnasób uświadomiłem sobie, że od gorącego lata 1980 minęła już cała spoka i wyrosła nowa generacja, nie obciążona zarówno naszymi porażkami jak i sukcesami.

Poglądy Komitetu wydały mi się sucho legalistyczne. Strajk - to strajk, kuszna sprawa, nie żaden prowokacyjny gest, żadnych akcji, do których władza może się przyczepić, uznać za pretekst do odmowy negocjacji. Tydano niby oświadczenie: "KS przejmuję całkowitą władzę nad stoczną i bierze na siebie odpowiedzialność.", ale za słowami nie poszły czyny, tylko kolejne słowa. (Wobec odprawienia z kwitkiem delegacji Komitetu przez jakiegoś rzędnika, który ją przyjął na schodach, wystosowano list do dyrektora informując o zamiarze przejścia radiowęzła, poligrafii, potrzebnych pomieszczeń i proponując w tej kwestii rozmowy). Sugestie podjęcia bardziej zdecydowanych kroków nie zostały przyjęte przychylnie... Postanowiłem więc przyrzec się z bliska temu, na czym się trochę znam, tj. działalności wydawniczej. Właściwie nie brakowało tylko jednego - chętnych do roboty. Już we wtorek widziałem w stoczni chłopców z Federacji Młodzieży Zależącej, grupkę indywidualistów wywodzących się z drugiego obiegu licealnego, których poczynamiom dziennikarskim od kilku lat życzliwie kibicuję, a także WiP-owców. Ten cenny kapitał nie mógł jednak zastąpić maszyn do pisania, sprzętu poligraficznego, papieru, farby, odczynników chemicznych i innych

rzeczy niezbędnych, aby słowo ciałem się stało, w związku z czym w ciągu wtorku, środy i czwartku młodzież przejęła też funkcje zaopatrzeniowców. Skoro opowiadanie stoczniowej poligrafii uznano za nielegalne, nie było innego wyjścia.

Z braku - chwilowo - lepszego zajęcia poszedłem wyjechać się po wydziałach. Ludzi przy robocie nie spotkałem. Ot - tu dwie osoby na hali, ówdzie grupka dyskutujących o czymś pracowników nadzoru, czy jakiś mistrz jadący dokąs na służbowym rowerze. Jeśli nawet nie wszyscy strajkowali, to nikt chyba nie pracował. Życie koncentrowało się w stołówce i przy bramach, sygnalizujących w od lat przyjętym kodzie - że stocznia stoi. Im jednak dalej od bram, tym z propagandą wizualną gorzej. Brakowało strajkowych plakatów, afiszy, ulotek. Wobec powyższego WiP-owcy okleili swymi pacyfistycznymi hasłami oszklone gabloty, zaś mury przyozdobili portretami głodującego Sławomira Dutkiewicza, którego brodatę oblicze spoglądało ze ścian wzrokiem prawdziwego rewolucjonisty.

Chodziłem, patrzyłem, trochę rozmawiałem, ale głównie dumałem. Miejscami stocznia, położona na wielkim kilkudziesięciu hektarowym obszarze, wydawała mi się pusta. Miałem wrażenie, jakbym oglądał surrealistyczny film. Jego kolejne kadry: tor kolejowy prowadzący donikąd, porzucenie żelazto przygniatą wiosenną trawę, but roboczy ze zgniecionym stalowym noskiem - uznałem za tandetne artystyczne, a jednak jak nakłogowy kinoman nie mogłem wyjść z kina. Wreszcie za jakąś kamerą spotkałem stoczniowców. Niemy film się urwał. Wróciliśmy do stołówki, gdzie wśród Komitetu Strajkowego panował wielki ruch: jedni szukali napisanego rano listu do wicepremiera Sadowskiego, który to list gdzieś zaginął, inni w asyście dziennikarzy, kamer, mikrofonów i kibiców przenosili się z kąta, gdzie dotąd urzędowali, do stołówki dyrektorskiej w bocznym skrzydle.

Mimo kilkakrotnie ponawianych prób, nie udało się nakłonić nikogo z Komitetu do większego zdecydowania. Machnąłem więc ręką na zakulisowe manipulacje (w dodatku w stołówce dyrektorskiej zrobiło się ciasno) i zamiast usiłować wpłynąć na bieg historii, skoncentrowałem się na pracy organicznej, usiadłszy przy maszynie do pisania. Wokół mnie pękały matryce, przeterminowane wywoływacze nie wywoływały, farba nie chciała za żadną cenę wyleźć z pojemnika - ale ogólnie jakoś wszystko szło do przodu i dobrze po północy trampkarze, którzy w tych gorących dniach wyrośli na zawodników I ligi - uruchomili powielacz. Pierwszy strajkowy numer "Rozwagi i Solidarności" (wychodzącej od kilku lat niezależnej gazetki stoczniowej) poprawił nastroje zarówno jego twórcom jak i czytelnikom. Oczywiście tym, którzy jeszcze nie spali, a spała większość. Pokotem na kawałkach styropianu, na rzędach krzesel, na siedząco przy stolikach.

Na nogi postawiła wszystkich dopiero informacja, że dyrektor stoczni zawiesił działalność zakładu. Zdaniem niektórych wróżyło to bliski już szturm ZOMO. Uznałem taki wariant za mało prawdopodobny: do staranowania bram stoczniowych nie wystarczy radiowóz czy nawet "buda-łodówka", potrzebny jest ciężki sprzęt opancerzony, którego na ulicach nie było. Nerwowość jeszcze wzrosła, gdy po stołówce rozniósł się wieść, iż na kanale anaweruje holownik, którym dyrekcja usiłuje ewakuować obecnych w stoczni pracowników nadzoru, wcześniej używanych (wspólnie z funkcjonariuszami Obrony Cywilnej) do wywoływania różnych prowokacyjnych incydentów przy bramach.

Osobiście nie brałem poważnie pod uwagę zduszenia przez ZOMO strajku siłą. Oczywiście nie mogłem takiego rozwiązania zupełnie wykluczyć, ale z punktu widzenia władzy wydawał mi się on mało korzystny. Naturalnie nie wiedziałem, że w tej samej nocnej godzinie, gdy analizowałem możliwe strategie obu stron, w Hucia im. Lenina trwała brutalna pacyfikacja...

Nad ranem blokada została zdjęta i ZOMO odjechało. Chyba nie do wszystkich pracowników dotarły komunikaty dyrekcji, bo przed szóstą w okolicach I Liceum Ogólnokształcącego zgromadził się tłumek ludzi. Widać było jakichś uwijających się cywilów (kierowników, mistrzów, SB-ków?), którzy żwawo rozdawali powielane obwieszczenia i bardzo energicznie namawiali stoczniowców do powrotu do domu. Komitet Strajkowy nie przeprowadził żadnej kontrakcji, nie wysłał za bramę choćby stu osób ze strajkową bibułą. Konsekwentnie unikał jakiejkolwiek konfrontacji.

Około siódmej przyszedł do stoczni Bogdan Borusewicz - jeszcze z gorączką. Wcześniej intensywnie kurował się na mieście. Pogadaliśmy na boku o tym, że trzeba zmodyfikować postulaty i wreszcie wyczyścić sprawy radiowęzła i poligrafii. Po czym spakowałem manatki i przez nikogo nie niepokoony ruszyłem do domu. Tego dnia czekał mnie jeszcze wyjazd do Krakowa. Chciałem zorientować się, co u hutników i studentów. Miałem też zamiar przywieźć do domu żonę, która po dość ciężkiej operacji odpoczywała w Rabce. Tak, na wszelki wypadek, choć nie przewidywałem jakiegoś dramatycznego rozwoju sytuacji.

Hutnicy i studenci

O nocnej akcji w Nowej Hucie usłyszałem z radia, chwilę później zadzwoniono do mnie z Krakowa: w kombinacie strajk absencyjny, wśród studentów wielkie poruszenie, więc na Uniwersytecie, prawdopodobnie proklamują strajk. Zdecydowałem nie zmieniać planów, a po powrocie wejść znów do stoczni. Byłem niemal pewien, że strajk przeciwnie się na następny tydzień. A dodatkowo utwierdziła mnie o tym przekonaniu interwencja w Kombinacie Metalurgicznym, przy braku takiej w stoczni. Rozbicie czołgiem bramy nr 2 w grudniu 1981 roku nie zniszczyło symbolu, tylko go jeszcze wzmocniło. Widać władza zdała sobie z tego sprawę. Jej optymalna strategia musiała więc teraz polegać na doprowadzeniu do samoczynnego wypalenia się strajku, najlepiej poprzez jakąś kompromitację strajkujących. Rozwiązanie powyższe niosło spore ryzyko: "stoczniowa zaraza" mogłaby objąć kraj, ale gra warta była świeczki. Należało tylko stocznię izolować i nękać tak długo, aż padnie na kolana. Z kolei szanse strajkujących polegała na tym, by swą postawą podnieśli na równe nogi chociaż inne stocznie, jeśli nie całe Wybrzeże, no i utrzymali Kraków w gotowości. Więc musieli trwać. Zdać wrócić - pomyślałem.

W Krakowie, przy ulicy Gołębiej na drzwiach budynków uniwersyteckich wisiały ogłoszenie o strajku absencyjnym na uczelniach i okupacyjnym w miasteczku akademickim. Wybudowanie tegoż miasteczka, które jest właściwie dużym osiedlem (zamieszkałym przez 7-8 tysięcy ludzi) składającym się z wielopiętrowych wysokościowców i niższych, ale za to długich,

wieloklatkowych "szaf", władze uznały po niewczasie za błąd. Ta koncentracja studentów w jednym miejscu dała się im już we znaki.

Na ścianach domów wisiały plakaty i transparenty o zbliżonej treści: "strajk", "strajk okupacyjny", itepe. Choć na każdym z budynków było ich od kilku do kilkunastu, a niektóre spadały w dół przez trzy piętra lub ciągnęły się poziomo przez rząd okien, na ogromnych płaszczyznach wieżowców, stojących w dodatku w pełnym oddaleniu od siebie, niemal ginęły. Może gdyby przyzwolić na nieskrępowaną ekspresję plastyczną, mieszkańcy wykazaliby więcej inwencji i pomysłów o ci, ale Międzyuczelniany Komitet Strajkowy (MKS) w specjalnej instrukcji zabronił "wywieszania transparentów o innej treści (niż dostojnie strajkowej - przyp. mój, M.L.) malowania na murach, okrzyków, «parapetów» i innych działań mogących powiększać siłę bezpieczeństwa publicznego".

MKS - podobnie zresztą jak komitet stoczniowy - stał na stanowisku pełnego legalizmu: strajk został proklamowany w wyniku dwóch, zgodnych z prawem, wieców: południowego na terenie Uniwersytetu i wieczornego w miasteczku, więc i sam mieścił się w ramach obowiązujących norm. Różnica była taka, że dyrekcja stoczni uważała strajk za "dziki", a komitet do pełnego momentu traktowała jak powstanie, zaś władze uniwersyteckie opowiedziały się po stronie studentów.

Pożwolenie i niezdecydowanie krakowskiego MKS były więc jakoś racjonalnie motywowane, choć ufnie, że władze polityczno-policyjne przyjmie stanowisko władz uniwersyteckich, wydawała się dość naiwna. Przecież jeszcze poprzedniego dnia przed najzupełniej legalnym wiecem zorganizowanym przez samorząd studencki w Collegium Witkowskiemu milicja zatrzymała kilkanaście osób, wiele innych pałując lub niedopuszczając na wiec. Zdecydowanie odznaczył się natomiast Komitet Strajkowy hutników, a raczej ci z jego członków, którzy uchronili się przed aresztowaniem. W piątek Kombinat Metalurgiczny im. Lenina właściwie nie pracował. Właśnie: Drobna, Taśmy i Druła, Zgniatacz - stały puste. Do karoseryjnej przesuвано ludzi z innych wydziałów próbując uruchomić walcarkę. Szczęście brakowało pracownikom. Jedni pozostawali w domach, wielu się ukrywało, a ci którzy nawet przychodzili do zakładu, to i tak praktycznie nic nie robili, choć rozlokowani na terenie kombinatu ZOMO-owcy usiłowali ich zagonić do pracy. Zmuszani - gremialnie ruszali do przychodni. Iluś zwolnień lekarskich gwałtownie wzrosła.

W południe spotykali się hutnicy w kościele Cystersów na osiedlu "Szklane Domy", gdzie podobnie jak w Mistrzejowicach, działał komitet pomocy poszkodowanym. Tymieniono informację, ustalano plany dalszego działania. Tam, a potem w jednym i drugim mieszkaniu Nowej Huty słuchałem opowiadań o przebiegu strajku i policyjnej akcji, a także o wcześniejszych manifestacjach 1 i 3 majowych. Na 1 maja planowana była wspólna demonstracja mieszkańców i hutników po obu stronach bramy kombinatu. Pochód zaplanowany przez ZOMO. Zatrzymano 21 osób i... obraz łatki Boskiej Częstochowskiej, który wszakże udało się później odzyskać z ulicy Mogiłskiej (siedziby krakowskiej milicji). Obraz trafił potem do huty i mocno ucierpiał w czasie pacyfikacji Walcowni-Zgniatacza.

Dwa dni później uroczysta msza na Wawelu, a po niej wiec zgromadziły tysiące ludzi. Pod nieobecność przywódców regionu, którzy uczestniczyli w strajku, pierwszoplanowe role odegrali miejscowi działacze KPN. Nie posiadałem się z żalu, że na własne uszy nie mogłem słyszeć, jak sprzed Katedry Wawelskiej w dzień uchwalenia Konstytucji 3 Maja leciały w świat słowa kwestionujące Jaztę i odmawiające uznania komunistycznemu rządowi PRL!

Sobotę spędziłem z żoną na cichych gończańskich polanach (dokąd nie docierały odgłosy krakowskich, i gdańskich protestów. ale gdzie też nie brak było solidarnościowej symboliki na ścianach bacówek czy szałasów), a w niedzielę aktualizowałem informacje w Krakowie. Podało mi nazwiska osób skazanych przez kolegię na areszt (najczęściej 1-miesięczny) lub grzywnę (zwykle 87 tys.zł.) a także tych, którzy otrzymali sankcje. Najtrudniej było ustalić, co stało się z rennymi. Hutnicy twierdzili, że karetki musiały zabrać około 30-40 osób, których nie oddehaliono w żadnym z krakowskich szpitali, chyba więc zostały wywiezione poza miasto. Z wielkim trudem (przy pomocy służby zdrowia i studentów) udało się sporządzić listę ośmiu osób pobitych przez ZOMO w czasie inwazji na Hutę.

Praca w Kombinacie, w asyście milicji - dalej nie szła, mimo ściągnięcia fachowców z Huty Katowice i Huty Baildon.

Wśród studentów dała się natomiast zauważyć zniżka nastrojów. Działacze NSZ obawiali się, by strajku w miasteczku nie zakończono przedwcześnie...

Ponownie w Gdańsku

W poniedziałek byłem już w stoczni. Wszedłem, mimo blokady bez żadnych problemów. Drogi przerzutowe utrzymywane przez różne grupy, funkcjonowały bez zarzutu.

Sytuacja, jaką zastałem, potwierdziła moje wcześniejsze obawy: mnożące się próby prowokacji wewnątrz stoczni, kordon na zewnątrz, a także brak postępu w rozmowach z dyrekcją i sam styl prowadzenia przez nią negocjacji - wszystko to niedwuznacznie wskazywało, na jaki wariant finałowy postawiła władza.

W nocy miały miejsce kolejne próby sprowokowania strajkujących do jakiejś szamotaniny. Obrona cywilna została wzmocniona w wyniku mobilizacji przeprowadzonej z udziałem SB! Prawdopodobny scenariusz rysował mi się tak: klasa robotnicza (czyli kierownicy, mistrzowie, straż przemysłowa, funkcjonariusze OC i SB) w słusznym gniewie wyrzuca którejs nocy ze stoczni wrogów klasowych i warcholów a ZOMO zamiast aresztować czy pałować, po prostu nas wygwizduje. Ponieważ liczba strajkujących była w zasadzie stała, zaś druga strona mogła praktycznie dowolnie powiększać szereg swych "grup operacyjnych", takie niebezpieczeństwo stawało się coraz bardziej realne.

W poniedziałek wieczorem Komitet Strajkowy uzyskał pewność w dwóch podstawowych kwestiach. Po pierwsze - jakiegokolwiek porozumienie z dyrekcją nie jest możliwe, i to pomimo całej

dobrej woli strajkujących, ich ustępliwości, skłonności do kompromisu. Po drugie - trudno liczyć, by w ciągu najbliższych dni Wybrzeże i kraj zalała fala solidarnych akcji protestacyjnych, co jeszcze mogłoby w istotnym stopniu zmienić sytuację.

Pytanie: jak zakończyć strajk?, które w dyskusjach członków komitetu i osób pomagających pojawiło się już wcześniej, ale które - może podświadomie - odsuwano na dalszy plan, teraz domagało się szybkiej odpowiedzi.

Informacje o tym, że komitet chciałby doprowadzić do wyjścia tych kilkuset osób (które jeszcze pozostawały w stoczni) na podstawie ich własnej decyzji zaczęły przenikać do strajkujących we wtorek po południu. Budziły zróżnicowane reakcje, choć tych niechętnych albo zgoła wrogich było na oko więcej.

Swe ostatnie w czasie strajku posiedzenie odbył komitet nie w stołówce dyrektorskiej, ale w pracownicy, gdzie koncentrowało się życie większości strajkujących. W obecności ich wszystkich lub prawie wszystkich (bo na przykład drukarze myli już maszynę, a straż porządkowa jeszcze pilnowała bram) odbyło się też głosowanie nad przygotowanym wcześniej oświadczeniem. Lech Wałęsa dość wymownie przekonywał wahających się członków komitetu do swego zdania i oświadczenie przeszło znaczną większością, przy dwóch tylko głosach sprzeciwu.

Choć wątpliwości nie brakowało, z sali padło mało pytań. Większość tych, którzy chcieliby je zadać, milczało, dławionych wzruszeniem, bezsilną złością albo po prostu płakało. Płakały młode dziewczyny, płakałi dojrzały mężczyźni. "Wychodzimy razem o ósmej wieczorem" - zapowiedział Wałęsa. V rosnącym przy bramie nr 2 tłumie, widoczny z daleka z racji wzrostu i błyszczącej kłysziny mecenasa Siza-Nowicki tłumaczył, że milicje gwarantuje nam prawo swobodnego przejścia, ale gdyby zwała, "żebyśmy się rozrzedzili" - to on osobiście radzi, posłuchać... Wreszcie, gdy dołączyli pilnujący innych bram, kilkusetosobowy tłum ruszył w milczeniu, starannie omijając ułożony na asfalcie przed bramą duży krzyż. Składające się nań kwiaty już powiędły, podobnie jak przyćwieczone do kret wiązanki.

Czyje błędy okażą się grubsze?

Słyszałem później w komentarzach, że milczenie to było pełne godności, dumne, nawet wyniosłe wobec przepuszczających nas rzeczywistości bez problemu ZOMO-ów. Słyszałem jednak wcześniej, zanim jeszcze wyszliśmy ze stoczni, że milczeć należy, by nie prowokować milicji. Szliśmy więc najpierw w ciszy, potem wśród okrzyków: "Dziękujemy!", które dobiegały z okien i drzwi mijanych domów. Im dalej od stoczni, tym więcej witało nas ludzi. Wreszcie do kościoła św. Brygidy wkroczyliśmy niczym chorągiew laudańska z "Potopu". Pół godziny, pół kilometra a jaka duża odległość!

Bezprzecnie strajkujący wyszli ze stoczni z honorem. Nie warto jednak z porażki robić zwycięstwa. Czy można było osiągnąć więcej niż to honorowe wyjście? Nie wiem. Może jednak należało, jak Grecy pod Troją spalić własne łodzie, przęcać radiomowę i poligrafie stoczniową; kończyć z krępującym poczuciem legalizmu i tak nie uznawanego przez dyrekcję? Prawdopodobnie nie wywarłoby

to wpływu na sytuację globalną i przebieg rozmów Reagan-Gorbaczow, ale może miałyby to jakieś znaczenie dla rozwoju sytuacji na Wybrzeżu, a na pewno zmieniłyby układ sił w samej stoczni. Gdyby w stoczni zostało nie kilkaset a kilka tysięcy osób, co jeszcze w środę, czwartek, było do osiągnięcia, opadłaby chociaż obawa, że nocą wyprze nas za bramy nie milicja, ale nieco wzmocniona obrona cywilna i straż przemysłowa. Że wtedy pozabawilibyśmy się możliwości manewru? A czyż je w ogóle mieliśmy? Od czwartku 5 maja sprawy biegły ku nieuchronnemu finałowi.

Czy zatem strajk w stoczni był - jak twierdził Wałęsa - przedwczesny? Czy nie należało zgodnie z jego sugestiami zaczekać do lipca - sierpnia? Może. Ale processami społecznymi nie zawsze da się sterować. Narzuca się tu porównanie z rokiem 1982 i delegacją Związku. Wtedy też wybuchł w stoczni strajk poparty dość słabo przez TKK (w dużo mniejszym stopniu niż obecny strajk przez Wałęsę, który wszedł jednak na stałe do stoczni i objął faktycznie kierownictwo) zaś dzień społecznego gniewu przełożono na następny miesiąc, co jak pamiętamy, skończyło się fatalnie, bo kompletnym zignorowaniem przez społeczeństwo apelu podziemia. Oczywiście, obecnie mamy do czynienia z inną sytuacją społeczno-polityczną niż w 1982 roku, ale dobrze by pozostała w pamięci nauczka sprzed 6 lat.

W maju 1988 Wałęsa znalazł się w trudnej sytuacji: strajku nie chciał, ten jednak wybuchł bez jego udziału, a kiedy już nabrak własnej dynamiki, przewodniczący Związku i pracownik stoczni w jednej osobie nie mógł go zignorować. Prawdopodobnie - gdyby nie pechowa choroba Lecha i nieobecność w pracy, udałoby mu się 2 maja - o ile by rzeczywiście chciał - rozładować nastroje, ostudzić zapał i nie dopuścić, by stocznia stanęła. Pod jego nieobecność nikt go nie mógł w tej roli zastąpić. Trudniej usprawiedliwić niekonsekwencję i połowiczność Komitetu Strajkowego, który nie był w takim przymusie jak Wałęsa i dysponował większą swobodą działania. Alojzy Szablewski miał zresztą świadomość popełnionych błędów, co przynależało podczas ostatniego wystąpienia w stożówce. Warto by wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość i zapamiętać, że determinacja jest - co może się wydawać paradoksalne - silną bronią w walce bez przemocy. Gotowość do ofiar wystarcza czasem za samą ofiarę. Dobry gracz stara się zawsze zapewnić sobie możliwość wyboru strategii, ale umie także postawić wszystko na jedną kartę, albo przynajmniej stworzyć takie pozory. Ale nie będę tu wykladał podstawowych zasad znanych nawet początkującym pokerzystom, a cóż dopiero ludziom, którzy na politycznych rozgrywkach zęby zjedli. Dlatego bez komentarza pozostawię kursujący po stoczni kalambur: "Władza rozwiązała strajk przy użyciu Siły".

Oceniając krytycznie wiele strajkowych wątków i punktując błędy popełnione po t e j stronie bramy, chciałbym na koniec zauważyć, że błędy popełnione po t e j stronie były poważniejsze i okazały się - jak sądzę - bardziej brzemiennie w skutkach. Myślę, że ekipa generała Jaruzelskiego znalazła się na równi pochyłej. Wyrażając zgodę na rzetelne porozumienie w Stoczni, mogła zahamować lub nawet odwrócić niekorzystny dla siebie bieg wydarzeń. Teraz będzie to o wiele trudniejsze, jeśli nie zgoła niemożliwe.

Podróże Guliwera

Był pierwszym stoczniowcem; z którym zetknęliśmy się jako osoby wspomagające strajk. Obstawiał naszą prowizoryczną redakcyjno-drukarnię. Był dopiero początek strajku i wszyscy nosili jeszcze robocze dreluchy, on ubrany był dość elegancko, jak "w cywilu" - pewien więc byłem, że jest jakaś "szucha" Komitetu Strajkowego z zadaniem opiekowania się nami. Dopiero potem okazało się, że on tak sam, dobrowolnie. Zafascynowała go - jak mówił - nasza bezinteresowność, podejmowanie jakiegos ryzyka tylko dla idei. Jego idee zburzyło i ośmieszyło życie. I to załdwie 22-letnie, z którego ostatnie 3 lata spędził w Gdańsku. Był chłopakiem z prowincji. Z tym związany był zresztą pewien jego kompleks. Nie wiedział co opowiadać nowo poznawanym w "Kaponierze" dziewczynom na pytania, skąd jest? "Z PGR-u Grabowiec na Mazurach" - jak to zabrzmiało? Aha, więc przyjechał tu z wiochy za czymś lepszym, a sam mieszka w hotelu robotniczym, co równoznaczne niemal jest, że pije, kradnie, albo jeszcze gorzej ... Tak ludzie patrzą. Ale poradził sobie z tym świetnie na przykład tańczy, i w końcu wychodzi mu z którą zechce. Dziewczyny? - miał ich chyba z pięćdziesiąt. Z rozrzewnieniem jednak wspomina te chwile, kiedy pierwszy i jedyny raz naprawdę kochał. W jego życiu było tak tylko raz i chyba dlatego, z przejęciem o tym mówi. Miał 17 lat, znał ją od dziecka. Zostawiła go wkrótce po tym, jak zaczęli się kochać. Zawiódł się. Czuje, że nigdy się już nie zakocha. Porzucony zaczął inne traktować byle jak. - Nie może ci na niej zależeć. Jesteś bojkiem, stoczniowcem, sport uprawiasz. Wystarczy. Wykorzystujesz to, że się jej podobasz... Jest niekonsekwentny. Marzy o prawdziwej miłości, ale mówi, że kochać już nie potrafi. - Za dużo w życiu "zaliczył". Temat ten podejmował kilkakrotnie. "Niedobór" kobiet na strajku był pretekstem do mówienia o nich. Jeżeli chciał końca strajku, to tylko dlatego, że najwyższa pora była spotkać się z Gosią ... W jego lekkim stosunku do kobiet były dwa wyjątki: Nieszczęśliwa Miłość i matka. Mama to świętość. Rozbroił mnie czwartego dnia, gdy się trochę zaprzyjaźniliśmy, prośbą o pomoc w napisaniu listu do domu. Trzeba było wyjaśnić cokolwiek zagmatwaną i nie tak znowu jasną z moralnego punktu widzenia sprawę w taki sposób, by mama się nie denerwowała. Mama nie może się martwić. Jeszcze teraz wspominał sobie rodzinną drakę sprzed pięciu lat,

która kosztowała mamę sporo nerwów. Ojciec był kiedyś kierownikiem gorzelni. Kompletnie się rozpił. Przeszedł trzy odwykówki. Nie pił dwa, trzy miesiące by przez następne trzy tygodnie żłopać nieprzerwanie. Bywał agresywny, potrafił uderzyć żonę. Był akurat Dzień Kobiet Roku pańskiego 1983:

- Rano wstaję, myję zęby. Widzę znowu ten trzydziestolitrowy gąsior z winem. Nie wytrzymałem, podniosłem go i rozwaliłem o wannę. Stary zamulony wpadł do łazienki, spojrzał na mnie, bez słowa podbiegł do matki i uderzył ją "z otwartej". Nigdy ojca nie dotknąłem, teraz - wpadłem w furję. Rzuciłem ważącego prawie setkę o szafę wnątkową, łamiąc dwoje drzwi. Dwa tygodnie mnie w domu nie było.

Nawiaź. Objechali z kumplami całą Polskę. Szczecin, Katowice, Zabrze, Bytom, Częstochowa, Łódź, Warszawa, Olsztyn, tam gdzie krewni i znajomi pomagali zorganizować forsy i zabawę. Po tym wojażu dostał ksywę Guliwer, Turysta, albo Szytygar, z racji śląskich upodobań w trasie.

- Byliśmy poszukiwani, bo Jarka ojciec był szcżą w olsztyńskiej PZPR. Byłem wtedy punkiem, cwieki nosiłem. W Olsztynie jakiś przyszczaty zomowiec przyglądał mi się jak poprawiałem czuprynę przed lustrem w dworcowej kawiarni. Gdy zeszedliśmy kupić bilety do Gdańska, przyszczaty z patrolem zażądali dokumentów. Zapyskowałem, że niby jakim prawem - a ten mnie pałą uderzył. Powiedziałem, że jeszcze raz, to go skurwysyna zabiję. Gdy poprawił cios - przywaliłem mu w twarz. Jego koleś obeszłał mnie i zaprowadził do nyski. Tam mnie tak stłukli, że odzyskując rano w komisariacie przytomność miałem z bólu gówno w spodniach. Przyjechali rodzice i zabrali nas. /Jarka nie bili/. Tydzień w domu leżałem. Od tamtego czasu ojciec przestał pić, ale przecież zrobiłem mamie cholerną przykrość. Żałuję.

Kilka lat potem życie dopisało do tej policyjno-alkoholowej historii tragicomiczną pointę. Jarek wstąpił do ZOMO na zawodowego, zaś Guliwer założył w stoczni melinę... Melina ta była w pewnym sensie ekonomiczną reakcją na wielkie oszustwo. Oszustem był, z zawodu, pracownik kadr Stoczni Gdańskiej, który przyjechał do liceum zawodowego w Lubawsku i wyciągnął stek broszur i reklam, z których wynikało, że stocznia to praca dla szczęściarzy, kupa forsy, znakomite warunki mieszkaniowe w kwaterach, w hotelach - jeszcze lepsze. Tego faceta, gdyby Guliwer spotkał, to to by mu dał!

Rozmawialiśmy w jego hotelowym pokoju... - Ty zobacz jak ja mieszkam. Łóżko, przy łóżku. Cztery małe szafki i to wszystko. Żeby spojrzeć przez okno, trzeba stanąć na palcach. Jak w celi. Dał mi na przynętę prowincjonalnej sile roboczej stypendium w wysokości 2700 zł przez ostatni rok nauki, umarzone po trzech latach pracy w stoczni. Dla Guliwera był to wtedy niemały pieniądź. Przyjechał z entuzjazmem i nadziejami. Zawsze go Trójmiasto przyciągało. Okno na świat, dużo ludzi, knajp. Kino, teatr, opera, można iść na jakiś dobry koncert rockowy. Chciał być na swoim, zmienić środowisko, w którym nie widział żadnej dla siebie przyszłości. Bo co to za życie wstawać o 4.30, jechać autobusem dziesięć kilometrów do pracy w miasteczku, wracać o piątej po południu, zarabiać grosze i nie mieć żadnych perspektyw? A w sobotę pojsć na wiejską zabawę, zalać pałą, i w poniedziałek znów autobusem do miasteczka. Chciał czegoś więcej. Inni też. Z jego klasy przyjechali do Gdańska czterech, z rocznika - piętnastu. Teraz po trzech latach Guliwer został sam. Wszyscy zwiłali po dwóch, trzech miesiącach, albo poszli do wojska, po którym już do stoczni nie wrócili. Wszystko, co kadrowy mówił

W szkole okazało się kłamstwem.

- Na początku brakowało mi na chleb. Zarobki w wyuczonym zawodzie elektromechanika były fatalne. Zarabiałbym 9-10 tysięcy złotych. Ambicja zabraniała mi jednak wrócić i przyznać się do porażki. Stary już niby nie pił, ale dość miał tego człowieka. Zapisał się na kurs spawacza, podczas którego dostawał 9 tysięcy. Pierwszych sześć, siedem miesięcy, dopóki nie zdobył uprawnień i nie zaczął pracować w akordzie, było straszne. - Wkrótce jednak zacząłem rzygać tym spawaniem w akordzie. Codziennie oglądać w małym ekranie ten sam, zasrany, czarny film! Załatwił sobie pracę na K-1 jako wycinacz gazowy. Robota na meserze, telereksie - bardziej urozmaicona i zautomatyzowana, trochę przynajmniej zmuszała do myślenia. Inni tymczasem wiali. Guliwer, mieszkający w hotelu 3 lata, należy dziś do starych hotelowców. Nieliczni wytrzymują tu 8-10 lat. Starzy kawalerowie i samotni. Ludzie przegrani. - Jest taki wiersz "Pełno nas, a jakby nikogo nie było". Taki jest właśnie hotel robotniczy. Denerwowało Guliwera, gdy podczas nocnych spacerów we dwójkę po stoczni w charakterze patrolu strajkowego, zachżytywałem się gigantomanią hal i unieruchomionych dźwigów, na tle których w jego towarzystwie czułem się tętniącym exemplum antykomunistycznego sojuszu robotniczo-inteligenckiego. Guliwer bowiem na tę stocznię patrzeć nie może.

- To moloch. Moloch zdruzgotanych marzeń i braku perspektyw. Układy, układziki. W stoczni ten może mieć jako tako, kto pracuje minimum 5-6 lat. Kawalerów robią w konia. Bywa, że 3,4,5 dni z rzędu robi się prywatnie dla majstra, którego podpiacają prywaciarze i rzemieślnicy. Prety pod szklarnię wyginamy, obudowy do pieców gazowych, całe bramy do ogrodzeń willowych robimy. Przyjeżdża samochód i to wywozi. Zarabia kierownik, mistrz, strażnik i ty, który to robisz, ale najmniej. Bo ty jesteś robot. Blachę, to tonami przykryta jakimś odpadami i śmieciami, się wywozi. Tu dla młodego robotnika nie ma przyszłości. To każdy wie, ale taki np. "hotelowiec" nie ma żadnych perspektyw. Ani mieszkania, ani lepszych zarobków. Robota, knajpa, wypić te pół litra i zapomnieć o szarym dniu. Jedyne szansa, to ożenić się z dziewczyną, która ma mieszkanie. Chociaż - ja bym tak nie umiał. Był taki punk-rockowy kawałek: "Bezsensowna przyszłość czeka cię, ty po prostu olej ją..."

Niekiedy wydaje mi się, że zmarnowałem kilka lat, ale najgorsze jest to, że drugi raz zrobiłby tak samo. Na tym polega brak alternatywy. Ale niejako przyznaje mi rację, że ta stocznia ma jakiś urok, jakiś ukryte dno. Gdyby było normalnie - chciałyby w niej zawsze pracować. Jest jednak pewny, że prędkiej czy później nędza go z niej wypędzi.

Przed nędzą trzeba się tymczasem bronić. W warunkach strajkowej prohibicji Guliwer opowiada, jak w stoczni zakłada się melinę. Kwestie moralne schodzą na drugi plan.

Żeby założyć melinę - trzeba mieć pieniądze, miejsce do trzymania i pięciu zaufanych ludzi. Wnosi się przez bramę, za pazuchą 5-6 butelek najtańszej wody, albo przez płot cały transporter. Wystarczy, że ludziom w hali sprzedajesz - i już zarobisz. Gdy obcy przychodzi kupić pół litra, to klei się dobrego wujka, że może się załatwić, w końcu bierze pieniądze i po chwili przynosi swoją wodę. Guliwer miał współnika. Byli tak zabezpieczeni, że niczego by im nie udowodniono. W dobry miesiąc mieli drugą pensję - 40 tysięcy, we dwóch 80, bo w stoczni pije się i to ostro...

Po roku prowadzenia, w styczniu bieżącego roku dali sobie spokój

z meliną. Wspólnik zaczął za dużo pić. Guliwerowi się znudziło. Cały zaś ten temat sprowokował minięcie lokalu konkurencji w pobliżu K-3...

Odprowadzaliśmy wtedy, około północy z czwartku na piątek ostatnich kurierów ewakuujących przez gazownię część niewykorzystanego sprzętu poligraficznego. Gdy bowiem poprzedniej nocy ZOMO spacyfikowało Nową Hutę, byliśmy przekonani, że tej - czeka nas to samo. Guliwer dał popis siły i kociej zwinności - drugą wypchnął dziewczynę ponad sterzącymi prętami na stronę gazowni. Pacyfikacja oznaczała dla nas, wspomagających niechybne aresztowanie. Rozejrzeliśmy się więc w możliwościach ukrycia się gdzieś w okolicach "Sołdka", albo przepłynięcia jakąś tratwą kanału na wypadek, gdyby w czasie ataku, ZOMO zablokowało również gazownię, przez którą zdecydowani byliśmy wiać w pierwszej kolejności. Była to noc nieopisanego grozy. Dokuczliwa mżawka i grobowa cisza opustoszałych hal tworzyły tam, przy kanale, atmosferę cmentarza, który ze swych mroków wydawał co jakiś czas szatański odgłos Tołwińskiego.

Przy bramie nr 1, najbliższej wyjścia przez gazownię czekaliśmy już tylko na atak ZOMO, który mógł nastąpić w każdej chwili. Guliwerowi przypomniał się towarzysz ucieczki z domu sprzed pięciu lat - Jarek - zomowiec - od lat trzech, chłopak równy i "jajcarski". Swój akces do ZOMO tłumaczył o wiele prościej niż Guliwer do prowadzenia meliny.

- Mówił, że idzie do milicji sprzedać się, bo nie nadaje się do pracy fizycznej. Zupełnie go nie rozumiałem - wspomina Guliwer. Odstąpił dwa lata w Gdańsku, teraz w Olsztynie kilka petów na ramię dostał i zaocznie robi szkółkę w Szczytnie. Nie żałuje. Guliwer, który nie jest przecież drugim Birkutem, nie sprzedał szczegółów z odwiedzin u Jarka w Żłotej Karczmi. Trwające kilka dni libacje; dziwki, które trzyma się po 2-3 tygodnie, podobnie jak panienki uciekające z domu w zamian za jedzenie i możliwość dalszego ukrywania się przed rodzicami, poddawane są taśmowemu seksowi; picie z kadzą; forsy w bród - choćby z obrabiania pijaków, itd.

Jarek kiedyś wybił /dosłownie/ Guliwerowi z głowy narkotyki. Zaczęło się od butaprenu jeszcze w Technikum Rolniczym w Grudowie, gdzie uczył się marząc o zostaniu kiedyś kierownikiem PGR-u. Wyrzucony z technikum za spanie z dziewczyną w internacie, był już regularnym narkomanem. W następnej szkole nie zabawił długo, natomiast zdegenerował się zupełnie. W końcu w Liceum Zawodowym w Lubawsku spotkał Jarka. Ten zaczął go pilnować. Gdy wziął trawkę, by ją w kiblu przypalić, Jarek rozwalił drzwi, walnął go w pysk, skręta wyrzucił do klozetu. Przyszły zomol tą jedną akcją wyleczył Guliwera z nałogu. Do dzisiaj utrzymują żywy kontakt, choć nie wykluczone, że w te noce majowe stali po przeciwnych stronach bramy. Odwieczny polski dramat barykad dzielących przyjaciół i rodziny.

Rodzinę Guliwera również...

Oto historia wojenna tak potworna, że gdyby nie przejęcie z jakimś mój rozmówca ciągnął jej narrację, to nigdy bym w nią nie uwierzył. Polaryzacja symboli, prymityw dramatycznej kulminacji - jak w komiksie. Oto w pokoleniu Guliwerowego dziadek ze strony matki jest czerechem braci - trzech w AK, jeden w AL oraz siostra. Pierwszy z akowców ginie w akcji na niemiecki pociąg pancerny. Dziadek /AK/ złapany przy wywozie mięsa do lasu; po dwóch latach robót w Gdańsku wraca w 44-tym. Z wybitymi ruską kolbą zębami przy rekwirowaniu przez krasnoarmiejców koni, skończywszy z polityką, odsiaduje tuż po wojnie półtora roku

na akowską przeszłość. W chwili zwolnienia, przy wzroście 179 cm, waży ... 38 kg. Ostatni z akowców, jako oficer, dowodzi oddziałem działającym nadal po wojnie. AL-owiec tymczasem wstępuje do UB obejmując jednostkę kontrolującą te same tereny. Jednostka UB otacza oddział AK-owca i w krwawej rozprawie UB-ek zabija brata. Żyją świadkowie, którzy tę scenę widzieli. Wykłęty bratobójca zostaje szczydą w Łódzkiej bezpiecie, bezskutecznie usiłując nawiązać kontakt z rodziną. W 1974 roku emerytowany SB-ek pojawia się na pogrzebie siostry, gdzie po trzydziestoletnim niewidzeniu się natychmiast zostaje rozpoznany przez ostatniego z trójki akowców - dziadka Guliwera, który nie zważając na powagę uroczystości usiłuje zatłuc go kijem. Obroniony przez szofera SB-ek wyrzucony zostaje z cmentarza. Pobożny dziadek twierdzi, że gdyby zabił - miałby czyste sumienie. W codziennym życiu barykad jednak tak wyraźnie nie widać. Wszystko się miesza; przenika. Mówimy "dzień dobry" sąsiadowi, o którym wiemy, że jest czerwony. Sam Guliwer wypija czasem pół litra ze znajomym SB-kiem, 27-letnim pletwonurkiem, który chwali się, że oboście Popiełuszkę z wody wyciągał. Epizod symboliczny tej polskiej schizofrenii zaistniał też niewątpliwie wtedy, gdy Guliwer wyszedł kiedyś w połowie mszy w kościele św. Brygidy, bo się z Jarkiem w Żłotej Karczmie na piwo umówił. Miał, mimo wszystko mieszane uczucia...

Na mszy u Jankowskiego doznał zresztą największego, jak mówi, wstrząsu w życiu. W drugim miesiącu po przyjeździe do Gdańska w 1985 roku dziewczyna zaciągnęła go na mszę do św. Brygidy. Nie pamięta o czym było kazanie. Chyba o Katyniu, białych plamach historii. "Ja się rzadko wzruszam. Ale po tym kazaniu, jak było Konopnickiej "Nie rzucim ziemi", to tak mi w gardle stawało - że słowa nie mogłem wydobyć."

Wtedy w Brygidzie, w jednej chwili runęła cała jego nieskomplikowana filozofia życiowa przywieziona z prowincji.

Niewiarygodne, ale Guliwer do czasu przyjazdu do Gdańska, jakoś tak wierzył w komunę. Czytał nawet trochę Marksa, Lenina, nawet coś ze Stalina! Jego opowieść o szkolnej propagandzie, to jak podróż w czasie. To nie do wiary, ale jeszcze kilka lat temu w jakiejś mazurskiej szkole mówili na historii, jaki to Piłsudski był faszysta, i jak to było wtedy źle, jacy byli burżuje, itd. Jak dobrze więc, że każdy dostał potem ziemię, chleb i żył dobrze i dostatnio. "Ja w to wszystko wierzyłem. Byłem "za". Zapisywali się wszyscy do ZHP - to zostałem drużynowym całej tej imprezy w podstawówce. W szkole średniej, przez to, czego uczyli i co czytali - jeszcze bardziej byłem za komunizmem. Zrozum! Ja nie byłem jak ty, w Gdańsku... Jak jesteś w wiosce zabitej dechami, a starzy robią w PGR-rze, to z czego masz brać te źródła?!"

Działał. Został przewodniczącym Zarządu Szkolnego ZSMP. Organizował zebrania, szkolenia, wyjazdy... "Do ośrodka wczasowego przyjechało na dwa dni 100 osób. W sobotę rano są wszyscy, jest jakiś szef - pan magister z wojewódzkiej. Po obiedzie jest 60 osób. Przez dwie, trzy godziny jakieś gadki, filmy krzywe. Czterdziestu już tankuje. W niedzielę rano przychodzą tylko trzy osoby ... Libacje, libacje, dziwki, alkohol i to wszystko. Pod Bogiem! - byłem na kilku takich imprezach, to wiem".

W tym układzie pierwsza msza św. u Jankowskiego mogła być rzeczywiście kataklizmem. Przyspieszony kurs otwarcia oczu przeszedł jednak Guliwer naprawdę, gdy starzy stoczniowcy zaczęli mówić o roku 70-tym, jak komitet spalił; o 1976-ym; o tym jak

po 1970 wierzyli w te gierkowskie "pomoczenie?". O Sierpniu i strajku w grudniu 1981 jak czołgi wjechały. I o ostatnich strajkach w 1982.

- No tak, to było druzgocące - ta prawda, której się dowiedziałem od korzeni, od podstaw, gdy wiesz, że ten człowiek powie ci wszystko, bo mu na niczym nie zależy. Załamywałem się, a nóż to się normalnie w kieszeni otwierał. Człowiek by szedł i zabijał po kolei tych sekretarzy POP, neozwiązków, itd. W takie doły wpadłem, że chciałem olać to wszystko, tak jak Jarek zostać, może nawet glinarzem, i mieć spokój. Już miałem iść, ale pomyślałem ... "Guliwer, jaki jesteś, taki jesteś, ale miej ty, k... jakąś godność osobistą".

Niektóre jego wypowiedzi pachną tandetnym aktorstwem. Czy więc choć trochę kłamie? Czy podbarwia swoje opowieści - zorientowawszy się, że jest wreszcie naprawdę uważnie słuchany? Czy Guliwer i jego podróże były i są autentyczne? A może ...? Ale czy umiałby wówczas wyreżyserować tę scenę, kiedy w wolnej chwili, usiadłszy w redakcji przy maszynie, z rozkoszną miną, pierwszy raz w życiu, wystukał niczym drwal na pianinie "Solidarność - Guliwer"? Albo tę radość, gdy przebijając się przez tłum wziął długó oczekiwany powielacz przysłany przez kanonika i samemu zaniósł spod drugiej bramy do stołówki? Nie mówiąc już o rzeczowości, z jaką wytłumaczył Polskiej Kronice, że bez ich lamp bibuła strajkowa może się nie ukazać.

- W pierwszej chwili, jak się u nas na K-1 zaczęło i poszliśmy na bramę, to chodziło mi o same zarobki. Dopiero po wysłuchaniu Musolliniego /jak Wałęsę nazywamy na stoczni/ zrozumiałem, że związki są najważniejsze, że trzeba "Solidarność" przywrócić.



Miało być bez retuszy. Bez patriotycznych kleików. Nie ma więc sensu, pod koniec tej opowieści, z ćpuna, punka, ZSMP-owca, proletariackiego Casanovy, meliniarza i gościa koszar ZOMO czynić długo-łosego chłopca ze sztandarem w dłoni, jak z piosenki Kelusa. Nie można jedna zaprzeczyc, że dla Guliwera strajk ten był krótką, ale daleką podróżą...

O wyjściu ze stoczni zostaliśmy uprzedzeni dwie godziny wcześniej. Trzeba było ewakuować sprzęt. Guliwer zachował zimną krew - wziął maszyny do siebie na K-1 na przechowanie. Po paru dniach wynosił je z kumplem przez płot. Gdy mieli go przeskoczyć - wybiegło dwóch strażników. Doszło do mordobicia. Jednak zwycięskiego. Droga wnoszenia wody na stocznię, choć nie za bardzo szczęśliwa, posłużyła tym razem, do całkiem innego celu.

JAN OSTROWSKI

P.S. Niektóre szczegóły, ułatwiające identyfikację bohatera reportażu zostały zmienione.

Sesja wiosenna

2 maja 1988, godziny południowe. Prowadzę zajęcia uniwersyteckie z sympatyczną grupą studencką. Chłopcy i dziewczyny z II roku, bez wyraźniejszej ikry - ale przecież bystry, studiujący na elitarnym kierunku, z reguły po dobrych ogólniakach i prąjści na studia z wysoką ilością punktów: za egzamin wstępny. Mam jeszcze w uszach wczorajsze wezwanie Lecha Wałęsy do wyrażenia protestu przeciwko ślamazarności reformy oraz poparcia dla strajkujących z Nowej Huty - i żeby każdy zrobił to w sposób, który uzna za najwłaściwszy. Moim zawodem jest uczenie - ale także i wycenowywanie; dlatego patrząc na tych młodych zza katedry wiem, że dzisiejsze zajęcia muszą się różnić od poprzednich. Rozmawiam często z nimi na przerwach, a niekiedy programem sam sprawia, że mówi się o sprawach publicznych w jego ścisłych ramach - ale tym razem trzeba to zrobić wyraźniej. Opowiadam im incydent sprzed lat osiemnastu, gdy ja sam byłem jeszcze studentem, a do uczelni dochodziły odgłosy strzelaniny z Gdańska - a może z Gdyni?

Jeden z dzisiejszych prorektorów zdobył się na niezwykłą wówczas odwagę i wobec pełnego audytorium powiedział głośno to, o czym myślało wielu z nas. Iyczał z siebie całą gorycz, całe oburzenie, cały wstyd za to, co władza wyrabiła z ludźmi. Dziś do takiej wypowiedzi nie trzeba wiele odwagi, wszyscy zdążyli się przyzwyczaić do pluralizmu - przynajmniej w warstwie słów.

Opowiadawszy powyższe zamilkłem na chwilę, sądząc że dość osmieliłem moich słuchaczy, aby i oni zaczęli mówić. Cisza przeciągała się jednak. Zacząłem więc pytać - najpierw stawiając pytania ogólniejsze, potem bardziej konkretne: co sądzą o wszystkim, co się wokół dzieje, o reformie, o strajku w Nowej Hucie wreszcie. W końcu zaczęli mówić. A ja - któremu się wydało, że znam tę młodzież, apetyczną ale przecież i krytyczną, pazerną na pieniądze ale i dobrze zorientowaną, wychowującą we mnie nie tylko belfra ale i partnera, do którego można mieć zaufanie - a ja otwierałem oczy coraz szerzej, coraz bardziej zdumiony, coraz bardziej rozbity i coraz bardziej sam. Uderzali we mnie tą klasyczną telewizyjno-urbanowską mową-trawą, czymś co przeszło do annałów marca 68: "robotnicy do pracy, studenci do nauki, władza do rządzenia, i Salomon nie nleje, zacisnąć pasa rok, dwa, trzy"... Trwało to czas jakiś, z dość niesmiałymi interwencjami jednej czy dwóch osób, więc gdy skończyli, to wygościłem taki dydaktyczny smrodek, na jaki było mnie stać i wyszedłem z sali z poczuciem zmarnowania tych lat na uczelni, brudu na sobie i wokół siebie.

Tego samego dnia, wieczorem, dowiedziałem się, że na następny dzień zaplanowany jest strajk okupacyjny na jednym z wydziałów. Razem z kolegą dotarliśmy do odpowiednich studentów, którzy potwierdzili wiadomość i dość zaczepnie na nas patrzyli. Zacząłem perswadować: strajk to nie strzelanie z palców, wymaga solidnego przygotowania, studenci są rozlaźli i apatyczni, zbierze się garstka zapaleńców, która nie będzie w stanie obsadzić nawet jednego budynku. Byłem oczywiście wciąż jeszcze pod wrażeniem mojej "czarnej" południowej godziny - się przecie! tę pesymistyczną prognozę opierałem raczej na wieloletnim i codziennym obcowaniu ze społecznością uniwersytecką, zarówno z tymi bardziej aktywnymi, jak i z "szarym tłem". Perswazje nie zdawały się na nic, chłopcy byli napięci i zdeterminowani, a ja wróciłem do siebie w przekonaniu, że tracimy powoli kontrolę nad żywiołem i że dynamika żywiołu rośnie.

Następne dni okazały się być przedsięwzięciem na dużą skalę: wielosobowa obsada strajku okupacyjnego, zauważalny strajk absencyjny, sprawnie organizacyjna w sferze informacji, aprowizacji, propagandy. Determinacja studentów wykazywała wiele wspólnego z postawami młodych stoczniovców z Lenina. Pomimo intensywnych, a niekiedy i histerycznych sygnałów alarmowych przekazywanych strajkującym z rektoratu - liczba strajkujących rosta, a wraz z nią rósł radykalizm postaw; jego uwienczeniem były trudności, jakie nspotkał studencki komitet strajkowy pragnąc doprowadzić do zakończenia strajku zgodnie z deklaracją początkową. Postulaty tzw. polityczne wyraźnie stawały się pierwszoplanowe (zwłaszcza sprawa NZS oraz ustawy o szkolnictwie) wobec bledszych postulatów "bytowych". Zapewne dynamika protestu warostaby jeszcze bardziej, gdyby czas akcji został przedłużony.

Osobnym wątkiem wyderzeń uniwersyteckich była dalece dystansująca się postawa większości pracowników naukowych (poza przedstawicieli dwóch najbardziej "zrewolucjonizowanych" i "solidarnościowych" wydziałów - matematyczno-fizycznego oraz humanistycznego), którzy w symbolicznej tylko liczbie włączyli się aktywnie do strajku, dopiero w ostatniej jego fazie deklarując bardziej zauważalne poparcie. Zostało to boleśnie odczute przez środowisko studenckie, mające żal do pracowników, że pomimo wysunięcia postulatów odnoszących się także do nauczycieli - co ostatni zareagowali traumatycznie lub późno.

Równoległe do wyderzeń uniwersyteckich toczyła się akcja protestacyjna w Politechnice Gdańskiej, miała też miejsce próba podjęcia ich na kilku innych trójmiejskich uczelniach. Pomimo wyraźnego niedwyzreżenia funkcyjowania Politechniki - jej akcje należały uznać za nieudaną, do czego walenie przysyczynił się rektor tej uczelni, działający por fas et nefas. W efekcie przedstawiciele PG dotaczyli do strajku uniwersyteckiego.

Gdy prozono mnie o przygotowanie niniejszego tekstu, w pierwszym odruchu odpowiedziałem, że właściwie nie potrafię ocenić fenomenu ostatnich strajków studenckich. Postawiono mi parę pytań: dlaczego Nowa Huta stała się tak skutecznym detonatorem dla środowisk studenckich - nie tylko w Gdańsku przecie!, ale i w szeregu innych ośrodków; jak to się stało, że środowisko oceniane dość powszechnie jako adesintegrowane i nakierowane na "wewnętrzna emigrację" bądź po prostu na emigrację - okazało się być inicjatywne i dobrze zorganizowane; dlaczego np. w Gdańsku

uwidoczniła się separacja środowiska studenckiego od pracowniczego, dlatego wyartykułowane zostały postulaty, które w codziennym życiu uczelni nie były przez ostatnie lata w zasadniczy sposób podnoszone jako "pierwszoplanowe i niezbędne dla funkcjonowania uczelni, a świadczą o tym np. los samorządów studenckich?

Nadal nie znam odpowiedzi na te pytania i dlatego może nie powinienem pisać tego tekstu. Ponieważ jednak redakcja, zdaje się, nie znalazła kogoś bardziej kompetentnego - mogę jedynie zaryzykować próbę pewnej tezy, czyniąc uprzednio wszystkie możliwe zastrzeżenia: brak jeszcze dostatecznego dystansu czasowego, brak pełnego rozeznania w sytuacji i klimacie protestów w ośrodkach pozagańskich, subiektywizm (a może nawet uprzedzenia?) autora wreszcie. I zanim tę tezę sformułuję - muszę jeszcze wyrazić swe credo w sprawie zasadniczej: nadszedł czas nie tylko mówienia, ale i pisania znacznie więcej prawdy o nas samych niż robiliśmy to do tej pory. Są przecież takie sprawy, o których się nie pisze, jeśli nie chce się być poświadczonym o robotę rozbijacką, czy wręcz agenturalną. Żaden taktyk nie powinien podawać na tacy i do tego w formie pisemnej listy swych braków i wad: niech się o taką listę biedzi przeciwnik. Pomimo tego uważam, że stać nas na powiedzenie sobie paru słów gorzkich - bo jeśli ich nie powiemy, będziemy za to drogo płacić chciejstwem, bujną a fałszywą imaginacją, podejmowaniem decyzji opartych na błędnych przesłankach. I dopiero po tych wstępach teza:

Strajki studenckie uewnętrzyli radykalizm środowisk studenckich sprzężony z brakiem wytrwałości w działaniu społecznym. Proponuję rozważyć następujące argumenty:

- 1/ Akcje protestacyjne były nasilone lecz krótkie, semi organizatorzy zdawali się nie wierzyć w możliwość przedłużenia najintensywniejszych form protestu, przekonani zaś byli o możliwości krótkiego zrywu. Temperatura akcji szybko wygaszała w momencie przejścia w fazę "wysokiej konfrontacyjności" do fazy działań łagodnych.
- 2/ Szybko i dość sprawnie sięgano do najostrejszych form protestu (kilkudniowy strajk okupacyjny), znacznie trudniejsze i mniej popularne było operowanie pełną ich gamą. Stopniowanie form odbywało się w kolejności: strajk okupacyjny - strajk absencyjny - wiec - akcja informacyjna, przy czym kolejne fazy zyskiwały coraz mniejsze poparcie ze strony "mas".
- 3/ W składzie komitetów: strajkowych wyraźnie niepewna była pozycja "umiarkowanych", dawała się raczej zauważyć tendencja do ich wypierania przez "twardszych", bardziej radykalnych.
- 4/ Jako podejrzane traktowano próby stymulowania protestów przez pracowników naukowych, którzy do tej pory zasadniczo cieszyli się zaufaniem środowiska studenckiego.
- 5/ Zauważalna była swoista symetria między robotniczą i studencką populacją strajkujących. W Stoczni Gdańskiej dominowali ludzie bardzo młodzi, nie obciążeni jeszcze odpowiedzialnością rodzinną lub słabiej ją sobie uświadomieni, gotowi ponieść wysokie ryzyko. Bardziej dystansowali się od strajku robotnicy starsi, którzy na własnej skórze odczuli doświadczenie stanu wojennego i łzanych siłą strajków. Podobnie w Uniwersytecie, gdzie pracownicy w daleko mniejszym procencie uczestniczyli w protestach studenckich, niż działo się to w okresie stanu wojennego i po jego zakończeniu.

6/ Symetria ta stała się niemal doskonała w momencie podjęcia przez komitety strajkowe Stoczni i Uniwersytetu decyzji o przerwaniu strajku. Decyzja ta spotkała się ze zdecydowanym oporem ze strony strajkujących, gotowych trwać do końca, bez względu na cenę (po Nowej Hucie jest ona już znana). Trzeba przyznać, że wobec trudniejszej alternatywy stanęli w tym momencie stoczniowcy niżeli studenci; ci ostatni mieli jeszcze w planie kontynuowanie protestu w formie wieców i akcji informacyjnej z zareserkowaniem sobie ewentualności rychłego porożu do strajku okupacyjnego. Nie wrażliwe, że okupujący Uniwersytet studenci wyszli ze strajku z poczuciem przegranej - stoczniowcy w swej drodze ze Stoczni do kościoła św. Brygidy zdążyli się przekonać, że ten strajk nie został przegrany.

Zaróć no teza, jak i argumenty nie są z pewnością kompletno, mogą jedynie stanowić próbę przymiarkei do analizy. Jeśli jednak choć w części zwiarciodają rzeczywistość, to stanowią wystarczający powód do niepokoju. Stwarzają bowiem szereg zagrożeń, z których za najważniejsze uważam co, co prywatnie nazywam "typem radykalizmem". Zastrzegam równocześnie (co już się stało złą tradycją tego tekstu), że ta ocena całe nie oznacza, że uważam majone protesty robotnicze i studenckie za fiasko "Solidarności". Wręcz odrotnie, uodrodniki one ponad wszelką miarę, że "Solidarność" istnieje nadal, że jest elementem konstytutywnym polskiej rzeczywistości roku 1988, że bez "Solidarności" (podobnie jak i bez autentycznych organizacji studenckich, takich jak NZZ) nie sposób w Polsce zrealizować jakikolwiek program reform pozytywnych i że poprzez strajki weszliśmy w fazę słusznie nazwaną "wiosną Solidarności".

Ale równocześnie ó "typ radykalizmu" rzeczywistości istnieje. Przestrzegaliśmy przed nim od dawna, co znalazło wyraz wielokrotnie w deklaracjach i opiniach środowisk niezależnych, wiążących brak autentycznych mechanizmów komunikacji z obojętnością z groźbą radykalizacji, wiedzącą w swej skrajnej postaci być może nawet ku terroryzmowi. Też właśnie myśi oddał lech sięga w swojej wypowiedzi z czasie strajku o niebezpieczeństwie re-olucji, wypowiedzi w omylny sposób odróconej przez rzecznika rządowego. Polska wersja "i nie kóć nas na pokuszenie" polega na tym, że środowiska niezależne starają się zachować umiar i opowiadanie w podejmowanych formach działań, pomimo często prowokacyjnej postawy władz. Tzw. anielska ciorpliwość ma jednak to do siebie, że jeśli się nawet u niektórych ludzi nie wyczerpuje, to może prowadzić do utraty kontroli nad poczynaniami nsjpiern wyizolowanymi, a wręczcie bardziej masowymi i nie można tu liczyć na cud permanentny.

Tekst ten nie jest wszakże skierowany do władz, lecz do środowisk niezależnych i dlatego wnioski adresować należy do tych ostatnich. Moim zdaniem z analizy strajków studenckich wynikać powinno zrozumienie niebezpiecznych procesów zachodzących w obecnym pokoleniu studenckim i podjęcie działań zmiernających do pogłębienia formacji tego środowiska, odnowienia zinstytucjonalizowanych form współpracy z nim ze strony środowisk naukowych zarówno na zasedach form niezależnych, jak i w ramach struktur oficjalnych (zakaszcza samorządy, ale także i inne, jak np. rysujące się uoficjalnienie kół "Pomocnicyścioci i Pracy"). Sytuacja wśród studentów jest bowiem pochodną atmosfery nstii, zniechęcenia, rozczarowania czy nawet klamycznego konformizmu wśród pracowników naukowych i **

dydaktycznych. Ta droga wiedzie nie tyle donikąd, ile do dalszej wzajemnej izolacji, do rozwijania się u studentów postaw czcicieli mamony z jednej strony, a radykalizmu zmierzającego w niebezpiecznym kierunku z drugiej. Tym razem - wbrew pomówieniom rzecznika rządu - ustrzegliśmy się jakiegokolwiek formy "wyrodzenia" się strajku. Lecz przecież obawy są uzasadnione i takim zagrożeniom trzeba przeciwdziałać.

Jestem optymistą i sądzę, że w Polsce terroryzmu nie będzie. Może natomiast stać się tak, że wrócimy do procesu, spod którego ledwo co wyzwoliliśmy się: do atomizacji. Patrząc na strajki studenckie pod tym kątem - dostrzegam w nich rys niezwykle doniosły. Sądzę to druga i zarazem ostatnia teza tego tekstu:

Strajki studenckie były przejawem walki przeciw powracającej atomizacji, walki podjętej przez studentów w rozpaczliwym geście samoobrony.

Tej tezy nie podejmuję się udowodnić, choć jestem głęboko przekonany o jej prawdziwości. Nie będę też powtarzał recepty, bo już ją wcześniej przedstawiłem. Chcę natomiast powiedzieć, że strajk studencki kazał mi inaczej spojrzeć na moją "czarną" godzinę z poniedziałku 2 maja 1988 i na moich studentów. Jeśli im w tym pomożemy - oni będą wiośną "Solidarności".

PIOTR MODLIŃCZA

Krajobraz po wstępnym boju

I.

Po krótkiej i niewysokiej fali strajków majowych rozbrzmiały tony gorzkich żalów i płaczliwych utyskiwań nad duchową kondycją polskiego społeczeństwa, które nie okazało odwagi ani solidarności, porównywalnej z nastrojem Sierpnia. Szczególnie donośny jest ten lament na Wybrzeżu, ściślej: w inteligenckich kręgach Wybrzeża. I trudno się temu dziwić. Wszak w 1980 roku stanęło (choć przecież nie od pierwszego dnia) kilkaset zakładów Wybrzeża, strajk miał charakter generalny, zaś w roku 1988 Stocznia trwała samotnie jak Westerplatte, co zresztą dostrzegli stoczniowcy i odczuwali z tego powodu dasperacką dumę.

Istnieje także, choć słabiej zauważalna, reakcja odwrotna: że strajk wcale nie przegrał, że małodusznością jest mówienie o porażce, skoro stoczniowcy nie podpisali "zgniętego kompromisu" i z podniesionym czołem wyszli w pochód, godny pióra Sienkiewicza lub kamery "ajdy. Takie refleksje, snute ku pokrzepieniu serc, są szlachetne ale niebezpieczne, gdyż utrudniają rzetelny namysł nad przyczynami słabości majowego strajkowania; bo był to jednak strajk słaby. Powiedzmy tedy od razu: strajki, z gdańskim włącznie, przegrały, gdyż nie urzeczywistniły swoich celów i postulatów. Ale bynajmniej nie poniosły klęski, mimo że Nową Hutę rozbiła brutalna przemoc, zaś w Gdańsku doszło do wymuszonego rozajmu. Dopiero przyszłość (chyba niedługo) pokaże, czy z rozajmu uda się przejść do nowej ofensywy, czy też nastąpi długotrwały odwrót. Zależać to będzie, między innymi, od umiędzynarodowienia wyciągnięcia poprawnych wniosków z tego co zaszło - bez hysterii, bez alarmizmu, ale i bez optymistycznego podbarwiania.

II.

Najpierw jednak poprawka historyczna. Sierpień istotnie był fenomenem jedności i determinacji, ale tylko na Wybrzeżu; dlatego gdańszczanie, pamiętający tamten festyn, mogą się czuć źle i snuć gorzkie porównania, skoro teraz miasto "jadło lody i chodziło do kina", zamiast tkwić pod Drugą Bramą (a jak mogłoby do niej chodzić, skoro koncentracja sił żądu i porządku była dziesięciokrotnie gęstsza niż w Sierpniu?). Nie można jednak ówczesnej, niebываłej eksplozji gdańskiej solidarności traktować jako normy społecznych zachowań w dramatycznych chwilach; był to ewenement bodaj wyjątkowy wanażach ruchów strajkowych, a wyjątkowością nie można mierzyć zjawisk masowych. W historii, nie tylko polskiej, strajki robotnicze znacznie częściej przegrywały niż zwyciężały, częściej trwały w żakosnym osamotnieniu niż brylowały na cały kraj, a mimo to ich suma walcie przyczyniła się - w ostatnim stuleciu - do zmiany układu

stosunków społecznych; jak dotąd, w obrębie systemu kapitalistycznego. Doświadczenia realnego socjalizmu (czyli komunizmu) są jeszcze w tym względzie ubogie, a Polska jest dopiero ich najciekawszym poletkiem, nie zaś polem walnego zwycięstwa; fenomen Sierpnia i "Solidarności" trwale już weszły jednak w obręb dziejów świata, budząc niesłabnące zainteresowanie.

I jeszcze jedna uwaga. Jeśli pominąć szczególniey casus Wybrzeża, to Sierpień wcale nie był - w ogólnopolskiej skali - gorętszy niż Maj. Warszawa 1980 roku namiętnie plotkowała i spekulowała o gierkach wewnątrzpartyjnych, Kraków smacznie spał, Poznań był w letargu, a Jrocław i kawałek Śląska ocknęły się dopiero w końcówce, gdy w Gdańsku i Szczecinie rząd już cofał się i sukces strajków był przesądzony, choć jeszcze nikomu się nie śniło, że będzie to aż tak i triumf. Ostatni tydzień Sierpnia (uwieczniony filmem "Robotnicy 80") przypominał w Stoczni Gdańskiej festyn albo piknik, z udziałem krajowej elity - lecz na wyższych uczelniach ani drgnęło, obojętność była totalna i dopiero w kilka miesięcy później studenci uznali, że i oni powinni "strajkonaliami" przypomnieć o swym istnieniu. Tym razem układ napięć w skali kraju był zupełnie inny. Jądrem walki była Nowa Huta, niespodziewanym ewenementem Stalowa Wola (gdzie masowo, czego przedtem nie bywało, strajkowali też chłopotobotnicy), symbolem - jak zawsze - Stocznia Gdańska, ale faktem najdonioślejszym były masowe demonstracje na uczelniach. Radykalizm młodej inteligencji wsparł radykalizm młodych robotników; to właśnie stanowi najgroźniejsze memento dla władzy, której najświatlejsi przedstawiciele powiadali zresztą, od dłuższego już czasu: "Nam się przez ostatnich sześć lat udało tylko jedno - rozbić solidarnościową generację trzydziestolatków; jednych - na emigrację, innych - w prywaciarstwo, a reszta położyła uszy po sobie; pech, że teraz wyrosły dwudziestolatki".

Maj potwierdził tę diagnozę. Bohaterowie Sierpnia (prócz "akęsy oczywiście) tym razem raczej nie blysęli, jakby przestraszyli się ryzyka. Może jednak przy następnej próbie zrozumieją, że minione zesługi nie są dostateczną legitymacją przywództwa nad tym, co pozostało ze struktur "Solidarności" - i zdołają, zapominając o wzajemnych animozjach, o osobistych ambicjach, włączyć się do nowego ruchu, wesprzeć młodą falę, która nieuchronnie wyłoni wspanych liderów. Jeśli postąpią inaczej, zejda ze sceny politycznej; tak jak w Stoczni Gdańskiej zeszedli z niej ci wspaniali mężczyźni, których pokazywał film "Robotnicy 80". Owazem, w drugim-trzecim dniu strajku majowego było ich jeszcze wielu, i miny mieli marsowe, ale potem wyparowali ze stoczni i scenę zapełniła niemal wyłącznie "zielona" młodzież (także wśród "wspomagających" zresztą).

III.

Czy "mała fala" strajków została celowo wzbudzona przez władze, w dość dogodnym dla niej momencie, aby upuścić trochę pary z buzującego kotła - i zapobiec większej eksplozji, na przykład w końcu czerwca?

Nie można wykluczyć, że tak było istotnie. Wielokrotnie w tym duchu wypowiedział się "akęsa, a wielu ekspertów i doradców jest wręcz przekonanych, iż Bydgoszcz była prowokacją. Fakt, że strajk

temat, wywołany przez ludzi Kłodo-licze, uzyskał tak szeroki rozgłos w przekaziorach, jest mocnym argumentem potwierdzającym "spiskową" hipotezę. Jeśli władzy (albo jakimś z jej segmentów, prowadzącym własną grę polityczną) rzeczywiście zależało na umiędzeniu "dalej fali" zania nadciąganie "zielka fala" społecznych protestów - to uczyniła to z pewnością; ONI też się czegoś uczą. Są nawet przesłanki do podejrzeń, że i w Stoczni Gdąńskiej miała miejsce manipulacja w momencie strajkowego "zapłonu". Ktoś, kto ewentualnie majstrował przy zapalniku, z pewnością wiedział, że robotnicy portów (zarazcaza Gdąńskiego), mają w tym momencie pełne kieszenie pieniędzy z wypłat premii z zysku, podobnie jest w Stoczni Północnej i w Remontówce, przeto pęd do strajkowania nie będzie tam silny; byłoby inaczej w pełni lata, gdy robotnicy mieliby pieniędzy mniej, a wakacyjnych potrzeb więcej... Czy tak było, czy nie - pokaże przyszłość; a może nigdy to na jaw nie wyjdzie, jak wiele tajemnic historii. Nie jest to zresztą temat, którym warto byłoby zbyt często zaprzątać sobie głowę, choć poznanie prawdy mogłoby być nauką na przyszłość. Zdarzeń, jakie miały miejsce, nie cofnie się, lepszej pory dla nich nie odtworzy. Istotniejsze jest pytanie, czy owe zdarzenia z przekoem kaisnis i maja przyniosły społeczeństwu więcej szkód czy zysków?

IV.

Pytanie o szkody może dotyczyć dwóch różnych aspektów. Po pierwsze, czy zdychająca polska gospodarka poniosła straty, mogące być dla niej gwoździem do trumny? Po drugie, czy niepowodzenie strajków nie stępił determinacji społeczeństwa przed następnymi zmaganiem z władzą? Pytanie pierwsze jest bez znaczenia, mimo wrzeskliwych alarmów Urbana i jego felletonowych sojuszników. Nie tylko strajki roku 1988, ale nawet rozległe strajki roku 1981 stanowiły - w skali całej gospodarki - znikome dla niej obciążenie. Rocznik GUS ujawnia, iż w owym 1981 roku, rzekomo rozstrajkowanym do granic gospodarczego samobójstwa, na jednego zatrudnionego w sektorze uspołecznionym przypadało średnio nie wiele ponad... p ó ł dniówki przestoju z powodu strajku. Pół dniówki w skali roku! W tymże samym czasie przestoje z powodu zawinionego przez władze bożaganu przekraczały, na każdego zatrudnionego, trzy tygodnie. Jeśli rząd opłakiwał wtedy upadek wydajności, chaos i anarchię, to winę za ten stan ponosił sam, w 97 procentach. Nikt przytomny nie uważa, że strajki mogą uratować gospodarkę; dlatego namolna argumentacja Urbana trafiła na podstny grunt i sporo ludzi rzeczywiście waha się przed strajkowaniem, aby "nie dobić kraju". Aliści właśnie strajki, skoro innej broni robotnicy nie mają, mogą wywołać lub przyspieszyć przekoem polityczny, bez którego wszelkie programy reform ekonomicznych pozostaną fikcją i obłudą. Miał rację wybitny mąż stanu (i zarazem Ojciec Święty), gdy powiedział, w drodze na swą ostatnią pielgrzymkę do Ameryki Łacińskiej, iż strajk jest uprawioną bronią do realizacji ekonomicznych, społecznych i politycznych celów ludzi pracujących. Trudniejsze jest odpowiedź na drugie z postawionych pytań. Doświadczenia nie są jednoznaczne. Zdarzało się a dalszych, iż zwód, wywołany niepowodzeniem jakiegos społecznego protestu, prowadził do długotrwałej apatii, zgorzknienia, zaniechania walki

o swe prawa. Ale częściej było tak, że proces narastania społecznego gniewu i dążeń rewindykacyjnych kumulował się poprzez sekwencję kolejnych zrywów, przez fazy wyluz i niżu determinacji, przez momenty "burzy i naporu" oraz okresy frustracji po niepowodzeniach. I każdy protest (strajk, demonstracja) odkładał się jak oś w zbiorowej świadomości: albo zasilając szeregi tych, co rezygnowali, albo pomnażając zastępy tych, którzy nabierali woli walki i doświadczenia. Rewolucje (nie w sensie "krwawej łasni", ale w znaczeniu radykalnej zmiany) rzadko rozpłomieniają się od razu; częściej tlą się, stopniowo rozniecają, przygasają na czas jakiś, by znowu zagorzeć żywym ogniem. Tak właśnie przebiegał do tej pory i zapewne dalej będzie postępować proces rewolucyjny w Polsce.

V.

Ci, którzy są rozczarowani Majem, bo nie umywał się ich zdaniem do Sierpnia, mają jakby spaczoną optykę, jakby oślepli od tamtego blasku. Czemuż nie postrzegają Maja na tle szarzyzny i beznadziei ostatnich pięciu lat? Klęska grudniowa była tak głęboka, "Solidarność" doznała wtedy takich strat, że aktywność społeczna na długo przygasła. Ale ten okres wyraźnie minął od jesieni ubiegłego roku. Pierwszym znaczącym sygnałem korzystnej zmiany nastrojów były wyniki referendum; potem ożyły uniwersytety, a nieistniejący NYS stał się najbardziej dynamiczną formacją opozycji; wreszcie nadszedł Maj... Żal, że nie wypadł lepiej - rzeczą psychologów społecznych i socjologów jest odkrycie wszystkich hamulców, jakie blokowały ludzkie zachowania - ale i tak był znaczącym etapem renesansu nadziei. Śmieszne jest biadolenie, iż tym razem strajki nie przyniosły natychmiastowego efektu politycznego. Jutro go dadzą, bo zasadnicze bodźce, ku protestom skłaniające, działają nadal, i to z rosnącą siłą. Trwa i przyspiesza się proces inflacyjny, który spycha coraz liczniejsze grupy społeczne poniżej "linii ubóstwa". Trwa polaryzacja Polaków na nielicznych bogaczy (czy to reżimowców, czy też neo-lumpen-burżuazji), i na krocie tych, co ledwie wiążą koniec z końcem. Trwa i coraz wyraźniej zaznacza się rozpad "syndromu władzy", która nie ma żadnej koncepcji wyjścia z ogólnego krachu (nie tylko gospodarczego) i zaczyna się między sobą rozglądać zarówno za kozłami ofiarnymi, jak i za nowymi liderami.

Nie wiadomo, czym się to wszystko skończy. Ale wiadomo że rewindykacyjne czy rewolucyjne ruchy oddolne wtedy mają największą szansę powodzenia, gdy r ó w n o c z e ś n i e dochodzi do rozpadu władzy; nie inaczej było w latach 1956, 1970, 1980. Niektórzy teoretycy twierdzą nawet, że oba te procesy muszą być zbieżne w czasie, ażeby doszło do przełomu. Taki moment zbliża się. A może już nastąpił, tylko się jeszcze nie uzewnętrznił spektakularnie...

VI.

Mec. Siła-Nowicki, który w Stoczni Gdańskiej odgrywał podwójną rolę: pokrzepiciela strajkujących oraz łącznika ze stroną rządową (konkretnie z min. Kiszczakiem), głosi teorię, która - acz zaskakująca - nie jest całkiem pozbawiona sensu. Otóż, twierdzi on,

casus Stoczni Gdańskiej może być uważany za początek nowego sposobu rozwiązywania konfliktów społecznych; nastąpiło rozwiązanie polubowe, mimo że nie podparte żadnym układem podpisanym przez strony konfliktu. Mecenas wyraża przekonania, iż strona rządowa po dżentelmeńsku dotrzyma obietnicy nie represjonowania strajkujących (nota bene - represje pracownice już się zaczęły); i że taki "łagodny kurs" doprowadzi, być może, do stopniowej demokrytyzacji, włącznie z przywróceniem "Solidarności" do legalnego działania. Być może. Nie należy i z takiej szansy rezygnować, mimo iż wydaje się pisana palcem na wodzie. Z pewnością władza już wie, że musi się zdecydować - wcześniej czy później - na samoograniczenie i jakieś kroki pojednawcze, aby ocalić kraj przed katastrofą, a siebie przed niesławym końcem; już wie, że dotychczasowa strategia pozornej normalizacji i fałszywych reform nie zmieniła niczego. Ale czy z tego pata rzeczywiście postanowi wyjść drogą, jaką sugeruje Siza-Novicki, to już mniej pewne. Najpierw może próbować wyjść z pata... przy pomocy bata.

VII.

Zalóżmy pesymistycznie, iż władza jeszcze tym razem wymiga się, wyjdzie z kryzysu obronną ręką, jakoś się zreorganizuje, jakoś wyciszy bunt społeczny, coś zmanipuluje i odsunie w czasie "moment prawdy", na przykład strasząc społeczeństwo groźbą bratniej pomocy. Może jeszcze o rok lub dwa odwleczcie się moment zasadniczych zmian, które w polskich warunkach muszą oznaczać zapoczątkowanie pluralizmu społeczno-politycznego - wstępu do demokracji. Jeśli taki obrót spraw uznamy za prawdopodobny, to tym bardziej nie wolno gęgać o "klęsce strajku" i o upadku solidarności przez małe i duże "S". Ten, kto taką postawę przyjmie, będzie działać na korzyść władzy. Konieczna jest postawa z gruntu odmienna: trzeba utrwalać to, co Maj przyniósł nam na pewno, przynajmniej w lokalnej skali.

A przyniósł dużo. Stocznia Gdańska, jak wiadomo, nie była w ostatnich latach bastionem "S"; teraz może się stać nim na nowo, jeśli działacze regionu zdokądją przekształcić Komitet Strajkowy w trwałą i sprawną strukturę (co zostało zapoczątkowane), a przede wszystkim jeśli nie zmarnują potencjału energii i entuzjazmu tych kilkuset stoczniowców, którzy dotrwali do końca i wyszli ze strajku już jako przekonani solidarnościowcy, chociaż w pierwszych jego chwilach traktowali "S" jako epizod z odległej przeszłości. Podobnie jest w Nowej Hucie i kilku innych zakładach; "Solidarność" odżywa, bo wśród młodych robotników istnieje autentyczny pęd do posiadania własnego związku zawodowego, chroniącego ich przed arogancją nadzoru, chamstwem majstra i XIX-wiecznymi warunkami pracy.

Równie ważne jest wyprzęgnięcie do niezależnych działań tych satek i tysięcy studentów, uczniów, dzieciaków - tych wyrostków, które z niezwykłą ofiarnością i pomysłowością, nie znając nawet w Sierpniu, wspierały strajk stoczniowców. Oni muszą pozostać w kręgu oddziaływania licznych w Gdańsku - na szczęście! - organizacji młodzieżowych; im gęś ich szersza i bardziej zróżnicowana, tym lepiej; nie ma potrzeby dążyć do ich jednoczenia, albowiem one same (jak w Maju) wystąpią zgodnie i solidarnie, jeśli pojawi się sytuacja, która tego będzie wymagać. Słowem, dopóki sytuacja w kraju nie dojrzeje do kolajnego zrywu, którego formy ani terminu nie da się przewidzieć, obowiązkiem

Wierzę, że na sercu leżą niepodległość i demokracja, jest
koncentracja nie na działaniach praktycznych, choćy na
całkowitą skalę. Ich suma kiedyś zwycięży - chyba niezadługo.

WOJCIECH WIELZYŃSKI

Torreador czy byk?

Powstają niemal codziennie i wygląda na to, że nikt i nic tego procesu nie powstrzyma. O skali zjawiska można mówić tylko w przybliżeniu; o ile bowiem łatwo stwierdzić, że do kwietnia 1988 roku w województwie gdańskim utworzono ich około 800 (w kraju jest może ze 3 tysiące), o tyle trudno ocenić - ile z tego podjęło już działalność gospodarczą.

Chodzi oczywiście o efekt "wynałazku" z 1934 roku, od kilku lat wzbudzającego duże emocje i nadzieje - o spółki prawa handlowego. W gdańskim epidemia na dobre rozpoczęła się w 1985, kiedy zarejestrowano ponad 20 spółek (w tym 9 prywatnych). Wcześniej, tj. w latach 1982 - 1984 powstała niewielka ich ilość i to głównie wskutek przekształceń przedsiębiorstw państwowych takich jak: "Centromor", "Baltona" czy "Nawimor". W 1986 przybyło dalszych 80 spółek (w tym 36 prywatnych), w następnym roku grubo ponad 200, a w 1988, do czasu zspowiadanej nowelizacji kodeksu handlowego, a właściwie do momentu uchwalenia przez Sejm nowej, z pewnością już socjalistycznej ustawy, należy spodziewać się, że to przyspieszone tempo zostanie utrzymane.

Założyciele

Spółki z lat osiemdziesiątych są na ogół całkowicie oddolnymi inicjatywami. Pierwsi inspiratorzy tego ruchu wywodzili się z organizacji politycznych (np. SD) oraz ze spółdzielczości. W Gdańsku w 1985 głównym organizatorem spółek była spółdzielnia pracy o nazwie ODiTK, a w całym kraju - inne młode spółdzielnie powstałe dzięki odwilży, jaką przyniosło nowe prawo spółdzielcze uchwalone w roku 1982. Odwołanie się po 50 latach do kodeksu handlowego było wynikiem poszukiwania innej, lepszej formy przedsiębiorstwa. Forma spółki stwarzała o wiele większą swobodę działania, gdyż właściciel mógł być jednocześnie "organem założycielskim" i kontrolnym w swojej firmie. W hierarchii spółdzielczej zaś występowały w tym czasie związki oraz zrzeszenia szczebla wojewódzkiego i centralnego. Podobno istnieje spółdzielnia, która jest udziałowcem w ponad 40 spółkach. Jej członkowie są prawdopodobnie dumni z tego faktu i zapewne czują się prawdziwymi właścicielami takiego pseudoholdingu bez względu na jego rzeczywistą siłę. Nieco później, śladem spółdzielców ruszyli następni, już w

do zakładania spółek przystąpił sektor państwowy nie kierujący się jednak względami handlowo-inwestycyjnymi. Kapitał założycielski wnoszony przez przedsiębiorstwa państwowe jest zwykle niewielki, ale i tak umożliwił rejestrację firmy dającej dodatkowe miejsca pracy, a raczej - źródła dochodów. Można być równocześnie dyrektorem w macierzystym zakładzie pracy oraz w spółce, gdzie wysokość zarobków dyrektora nie jest ograniczona. Spółka płaci również za pracę członkom rady nadzorczej. Niedawno w Warszawie odwołano kilku dyrektorów, bo tak "pracowali" w radach nadzorczych swoich spółek, że zupełnie ztratili umiar.

Ostatnie miesiące przynoszą zdecydowaną przewagę spółek nie będących jednostkami gospodarki uspołecznionej (j.g.u.), czyli po prostu prywatnych. Od października 1997 do marca roku następnego zarejestrowano w sądzie gdańskim około 250 spółek, z czego prawie 60% stanowiły spółki prywatne, 30% - mieszane, z przewagą kapitału państwowego, a tylko niecałe 10% - spółki będące j.g.u. Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, co kryje się pod tym zaklętym skrótem, co to za rodzaj biag?

Państwo ludzkie podzieliło się na dwa rodzaje: uspołecznione, czyli lewą oraz prywatną, gorszą i przeznaczoną do stonownej likwidacji. Przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielnie czy też każda nowo powstała spółka w której przeważa kapitał uspołeczniony (co najmniej 51%) noszą ten właśnie - j.g.u. W początkowym okresie popularność takich spółek nie wywikała bezpośrednio z gry ekonomicznej, ale z istoty państwa. Tyle to różni koncepcja zachowania terca, czy spójnienia się w lepszym sektorze, gdzie istnieje silniejsze możliwości obrony przed złeć.

Z kilku przyczyn może to być ulega obecnie zmianie. Coraz bardziej zabrakło ludzi potrzebę posi dacie, własności prywatnej, potrzeba kasa, "nie ma ciem". Z tego właśnie powodu udziałowiec spółki j.g.u. zaczął również często spółkę prywatną. Aktualnie, jeżeli by system podatkowy jest korzystniejszy dla spółek prywatnych, z których wysokość zarobków nie podlega tak rygorystycznym ograniczeniom.

Wskutek występowania w sferze gospodarczej znacznej ilości nowych firm, zleceniodawcy, którymi najczęściej są duże przedsiębiorstwa państwowe i instytucje będące dominującym rynkiem pracy, nie zadają sobie już trudu, aby sprawdzić czy mają do czynienia z j.g.u. czy też nie, a zresztą dla sektora państwowego to rozróżnienie przestaje już być aż tak istotne.

Jednakże założyciele spółek prywatnych nie zawsze zdają sobie sprawę z wielu czekających ich utrudnień natury administracyjnej. O ile w jednostce gospodarki uspołecznionej podstawą podjęcia określonej działalności jest sam akt rejestracji w sądzie, o tyle jednostka gospodarki nieuspołecznionej musi odbyć swoją drogę krzyżową w walce o plik zezwoleń od państwowych urzędów na każdy rodzaj działalności handlowej, usługowej czy wytwórczej. Poza tym spółka prywatna może zostać zarejestrowana tylko pod warunkiem posiadania własnego lub wynajętego lokalu o charakterze użytkowym oraz zatrudnienia personelu o kwalifikacjach dających gwarancję rzetelności świadczonych usług, tzw. zastępców, a więc np. inżyniera - specjalistę w zakresie budownictwa, inżyniera - elektronika i innych.

W przypadku j.g.u. natomiast możliwa jest rejestracja firmy zajmującej mieszkanie prywatne, a osoba dotychczas parająca się np. dziennikarstwem może z powodzeniem zacząć wykonywać zawód informatyka.

Entuzjazm założycieli spółek wynika głównie z ignorancji polegającej na tym, iż traktuje się tę formę działalności nie tylko jako prosty i łatwy do zarejestrowania twór gospodarczy, ale również jako panaceum na problemy ekonomiczno-organizacyjne występujące w dużych i starych przedsiębiorstwach.

Zmienia się polityczny rodowód założycieli nowych spółek. Jako pierwsi zaczęli działać organizacje młodzieżowych, ponieważ pozwalał im na to pewien zasób doświadczeń organizatorskich oraz, co ważniejsze, odpowiednio wysoki status w otoczeniu.

Ten ostatni element do niedawna odgrywał bardzo istotną rolę, gdyż wyłącznie od uznania określonego urzędnika zależała zgoda na dany rodzaj działalności zakładanej firmy. "Sukcesy ekonomiczne" działaczy ZMW zostały już na przykładzie "Agrotechniki" szeroko opisane.

W ostatnich dwu latach za organizowanie spółek wzięli się także byli działacze związkowi i samorządowi - opozycjoniści oraz byli gasterbeiterzy. Do działaczy tzw. opozycji jeszcze wrócimy, teraz dwa słowa o gasterbeitern. Mają oni więcej pieniędzy niż inni, a więc mogą je zainwestować w kraju, lub też przywozić z Zachodu maszyny i urządzenia stanowiące aporyt w przyszłych spółkach. Wreszcie niektórzy z nich próbują przenieść na rodzimny rynek zagraniczną technologię produkcji. Są dobrze ubrani, jeżdżą dobrymi samochodami i zdążyli osiągnąć wiedzę, jak należy w komunizmie postępować, aby dobrze się żyło.

Kapitał

Typowo kapitałowe w okresie międzywojennym spółki akcyjne i spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, zmieniły się obecnie w inicjatywy o charakterze czysto organizatorskim. Wynikło to z niedopatrzeń socjalizmu realnego, który częściowo tylko uchylił kodeks handlowy z 1934, a w 1950 roku dokonał przeliczenia przedwojennych pieniędzy na nowe złotówki. Przyniosło to taki paradoksalny efekt, że spółkę z o.o. można do dzisiaj założyć za jedyne 300 zł (przed wojną 10 tys. zł) i do tej kwoty należy obowiązywać się zobowiązań.

Przed wojną prawdopodobnie długo rozważano kwestię minimalnej wielkości kapitału zakładowego, ostatecznie ustanawiając ją na poziomie 10 tys. zł dla spółki z o.o. (co stanowiło wówczas kilkadziesiąt wysokich pensji), zmuszając w ten sposób kupca do zastanowienia się nad podejmowanym ryzykiem inwestycji, ale i zapewniając potencjonalnym kontrahentom gwarancje wiarygodności.

Lata osiemdziesiąte przyniosły większość spółek z kapitałem od 100 do 300 tys. zł. Tylko nieliczni wykorzystali lukę w przepisach prawnych i odważyli się zarejestrować przedsiębiorstwa z dopuszczalnie minimalnym kapitałem w wysokości wspomnianych 300 zł.

Spśród 800 gdańskich spółek 95 % stanowią spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, a zaledwie 5 % - spółki akcyjne. To, co przed wojną decydowało o istocie wyboru formy spółki, dzisiaj nie ma zupełnie żadnego znaczenia.

Klasyczna spółka z o.o. to taka struktura kapitałowa zawiązywana w celach gospodarczych, w której kapitał zakładowy podzielony jest na udziały w równej lub nierównej wysokości. Umowa spółki stanowi o tym, czy wspólnicy mogą mieć jeden czy więcej udziałów.

do zakładania spółek przystąpił sektor państwowy nie kierujący się jednak względami handlowo-inwestycyjnymi. Kapitał założycielski wnoszony przez przedsiębiorstwa państwowe jest zwykle niewielki, ale i tak umożliwia rejestrację firmy dającej dodatkowe miejsca pracy, a raczej - źródła dochodów. Można być równocześnie dyrektorem w macierzystym zakładzie pracy oraz w spółce, gdzie wysokość zarobków dyrektora nie jest ograniczona. Spółka płaci również za pracę członkom rady nadzorczej. Niedawno w Warszawie odwołano kilku dyrektorów, bo tak "pracowali" w radach nadzorczych swoich spółek, że zupełnie zatracili umiar.

Ostatnie miesiące przynoszą zdecydowaną przewagę spółek nie będących jednostkami gospodarki uspołecznionej (j.g.u.), czyli po prostu prywatnych. Od października 1987 do marca roku następnego zarejestrowano w sądzie gdańskim około 250 spółek, z czego prawie 60 % stanowiły spółki prywatne, 30 % - mieszane, z przewagą kapitału prywatnego, a tylko niecałe 10 % - spółki będące j.g.u. Spróbujmy wyjaśnić co kryje się pod tym zaklętym skrótem, co to za dziwoląg ?

Polska Ludowa podzieliła własność na dwa rodzaje: uspołecznioną, czyli lepszą oraz prywatną - gorszą i przeznaczoną do stopniowej likwidacji. Przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielnie czy też każda nowo powstała spółka, w której przeważa kapitał uspołeczniony (co najmniej 51 %) noszą owe miano - j.g.u. W początkowym okresie popularność takich spółek nie wynikała bezpośrednio z gry ekonomicznej czy systemu podatkowego. Była to raczej koncepcja zachowania tarczy, chęć znalezienia się w lepszym sektorze, gdzie istnieją większe możliwości otrzymania zleceń.

Z kilku przyczyn opcja ta ulega obecnie zmianie. Coraz bardziej zauważa się u ludzi potrzebę posiadania, własności prywatnej, potrzebę tzw. "bycia na swoim". Z tego właśnie powodu udziałowiec spółki będącej j.g.u. zakłada również często spółkę prywatną. Aktualnie obowiązujący system podatkowy jest korzystniejszy dla spółek prywatnych, w których wysokość zarobków nie podlega tak rygorystycznym ograniczeniom.

Wskutek występowania na arenie gospodarczej znacznej ilości nowych firm, zleceniodawcy, którymi najczęściej są duże przedsiębiorstwa państwowe i instytucje będące dominującym rynkiem pracy, nie zadają sobie już trudu, aby sprawdzić czy mają do czynienia z j.g.u. czy też nie, a zresztą dla sektora państwowego to rozróżnienie przestaje już być aż tak istotne.

Jednakże założyciele spółek prywatnych nie zawsze zdają sobie sprawę z wielu czekających ich utrudnień natury administracyjnej. O ile w jednostce gospodarki uspołecznionej podstawą podjęcia określonej działalności jest sam akt rejestracji w sądzie, o tyle jednostka gospodarki nieuspołecznionej musi odbyć swoją drogę krzyżową w walce o plik zezwoleń od państwowych urzędów na każdy rodzaj działalności handlowej, usługowej czy wytwórczej. Poza tym spółka prywatna może zostać zarejestrowana tylko pod warunkiem posiadania własnego lub wynajętego lokalu o charakterze użytkowym oraz zatrudnienia personelu o kwalifikacjach dających gwarancje rzetelności świadczonych usług, tzw. zastępców, a więc np. inżyniera - specjalistę w zakresie budownictwa, inżyniera - elektronika i innych.

W przypadku j.g.u. natomiast możliwa jest rejestracja firmy zajmującej mieszkanie prywatne, a osoba dotychczas parająca się np. dziennikarstwem może z powodzeniem zacząć wykonywać zawód informatyka.

A przecież w Polsce jest prswdziwy kapitał !

Tylko w ubiegłym roku suma przekazów pieniężnych z zagranicy kierowana na konta bankowe polskich obywateli wyniosła 1,5 mld dolarów amerykańskich, co przewyższa saldo bilansu całego polskiego handlu zagranicznego. Te imponujące kwoty pieniężne, jak również inne - nie zdeponowane w bankach, mogłyby stać się w sprzyjających warunkach pokaźnej wielkości kapitałem inwestycyjnym. Tyle tylko, że w tym celu należałoby - zamiast kokietować potencjalnych inwestorów zagranicznych - docenić możliwości własnych obywateli i utworzyć im odpowiednie szanse oraz gwarancje prawne na to, aby, zgodzili się dotychczasową działalność rentierską zastąpić działalnością inwestycyjną. Rząd PRL czeka na przyrływ milionów dolarów i nowych technologii z Zachodu, które mają okazać się wystarczające dla reanimacji polskiej gospodarki, a tymczasem zagraniczny dysponent kapitału w warunkach utrzymującej się destabilizacji prawnej, braku gwarancji ekonomicznych, a także niepewnej sytuacji politycznej, czego wyrazem są dla niego pojawiające się tu i ówdzie strajki, jest najczęściej gotowy lokować w Polsce kapitał do 100 tys. marek RFN. Tymczasem w samym Gdańsku, rodzimych potentatów dysponujących takim kapitałem znalazłoby się co najmniej stu.

Póki co, kwitnie rentierstwo, ponieważ dochody z odsetek nie są opodatkowane, a stopa procentowania jest bardziej konkurencyjna w stosunku do jakichkolwiek możliwości inwestycyjnych. Jest to rezultat świadomej polityki państwa, które jest tak ubogie, że, czyni wszystko aby móc swobodnie korzystać z dewiz zaoszczędzonych przez swoich obywateli. Zresztą państwo ponosi również winę za brak kapitału, z jednej strony propagandowo deklarując poparcie dla sił konkurencji, a z drugiej - skutecznie ją eliminując poprzez system podatkowy. Zysk w przedsiębiorstwie obłożony jest 65%-owym podatkiem dochodowym ograniczającym, w poważnym stopniu, zdolność inwestycyjną. Drenaż podatkowy sprzyja utrwalaniu się sytuacji, w której biedni pozostają biednymi, bogaci się bogacą, a wszyscy żyją "na koszt" swoich firm hamując ich rozwój. Własny samochód, a może nawet i jacht zakupiony przez firmę, służyć mogą przecież do celów służbowych... Niewykluczone więc, że spora część chętnych oczekujących w długiej kolejce na zakup samolotu (!) za 8 mln zł zamierza sfinansować ten nowobogacki kaprys w koszty swojego przedsiębiorstwa.

Zresztą przy zupełnym braku podstaw prawno-finansowych, jak również narodowej tradycji w tym zakresie, nadal panuje niekorzystny klimat dla przedsiębiorczości. Ktoś kto otwarcie przyznałby się do posiadania kapitału i szukał możliwości inwestycyjnych, zostałby z pewnością okrzyknięty wrogiem klasowym.

Brak bariery kapitałowej w praktyce gospodarczej spowodował, że najważniejszym elementem w procesie zakładania i rejestracji spółki stał się pomysł na przedmiot działania, przy czym najczęściej zawiera on wszystko, co na myśl przychodzi założycielom. Zaczyna się zwykle od działań bezinwestycyjnych: szkoleń, organizacji imprez, pośrednictwa handlowego, doradztwa, aby móc po pewnym czasie zająć się tym, co przynosi największe i najpewniejsze dochody, s więc budownictwem, elektroniką (sic!) i turystyką. Im bardziej prymitywne prace tym lepiej - na nie zawsze panuje dobra koniunktura, a kapitał i wysoko wykwalifikowani pracownicy, o których trudno - są to zbędne elementy. Przestały więc dziwić ogłoszenia w prasie następującej treści: "Instytut Wdrożeń Technicznych XYZ podejmuje się prac remontowo-budowlanych z materiałów własnych lub powierzonych ..."

Zdolni i ambitni

Według literatury zachodniej przedsiębiorczość i prywatna inicjatywa ujawniają się często jako reakcja na kryzys ekonomiczny.

W Polsce - kraju, w którym od roku 1947 stale utrzymuje się kryzys gospodarczy, presję do utworzenia własnej firmy wywierają dodatkowo takie czynniki jak np.: niskie płace, zwłaszcza w sektorze uspołecznionym, wynikające z licznych arbitralnych ograniczeń (w 1987 choćby, obowiązywał dwunastoprocentowy próg wzrostu wynagrodzeń w stosunku do roku poprzedniego), a także brak perspektyw awansu, szczególnie po 13 grudnia 1981.

Spółki powstają w wyniku ambicji tych, którzy chcą nimi kierować. Wystarczy pozyskać kilku znajomych zajmujących kierownicze stanowiska w jakichś przedsiębiorstwach, najczęściej w spółkach czy spółdzielniach już istniejących, przekonać do tego, aby zechcieli "dać sztyld", czyli stać się formalnie udziałowcami i prosta droga do sądu...

W tak powstałych organizmach gospodarczych bardzo często już po upływie roku pojawiają się konflikty pomiędzy udziałowcami, czy też rzadziej - akcjonariuszami, a jednoosobowym zarządem. Można wyobrazić sobie scenariusz, w którym rzutkiem dyrektorowi spółki udało się po roku działalności z kapitału założycielskiego np. w wysokości 6 tys. zł wypracować czysty zysk np. w kwocie 5 mln zł. Zysk ten zgodnie z literą prawa podlega podziałowi pomiędzy wspólników, pomimo iż ich udziały w tym konkretnym przypadku miały jedynie charakter nominalny, a nie realny. Niestety kodeks handlowy nie mógł przewidzieć fikcji socjalistycznej, w której faktyczny właściciel spółki nie jest jej właścicielem formalnym. Edukację powojenną można obwinąć za jeszcze jedno patologiczne zjawisko, dość szeroko rozpowszechnione w Polsce. Otóż, naprawdę nie w tym rzecz, aby być wyalienowanym i niedocenianym profesjonalistą w dużej, choćby prosperującej firmie, ale w tym aby móc wreszcie w sensie tytularnym kierować przedsiębiorstwem.

Wielu ambitnych, zdolnych inżynierów zdążyło się już przekonać, że w warunkach coraz bardziej nasilającej się konkurencji socjalistyczny fetysz, jakim jest i zawsze była produkcja, to nie wszystko. Trzeba również umieć sprzedać wyprodukowane wyroby, a poza tym trzeba po prostu potrafić kierować małym przedsiębiorstwem.

W spółkach pracują entuzjastą, a nie fachowcy. Istne polowanie na głównych księgowych jest tylko zewnętrznym obrazem tego powszechnego zjawiska. Zresztą skąd mieliby się wziąć w Polsce księgowi potrafiący prowadzić małą firmę? A gdzie kształcą się specjalistów od reklamy, gry ekonomicznej czy podatkowej? Bo przecież nie w uniwersytetach, których wydziały ekonomiczne wypuszczają corocznie rzesze absolwentów nie umiejących nic oprócz kilku definicji z marksizmu, ale za to nauczonych w procesie kilkuletniej edukacji bylejakości i pracy na wskroś powierzchownej. Rządzą miernoty, które wychowują kolejne, masowe zastępy miernot, tak że sukces w zarządzaniu przedsiębiorstwem komputerowym odnosi nie wybitny, pełen inicjatywy informatyk, lecz agent do niedawna prowadzący knajpę. Polak przecież potrafi! Potrafi m.in. to, czego

dotychczas nie wymyśliły na Zachodzie zespoły profesjonalnych informatyków - wystarczy mikrokomputery połączyć w sieci i wszystko gra. Tylko patrzeć jak Amerykanie z Krzemowej Doliny kupią od nas swoje własne, wykrzsdzone przez polskich "fachowców" patenty.

Póki co, wszyscy się wszystkiego uczą w tej przyspieszonej szkole życia gospodarczego, gdzie dużym powodzeniem cieszą się rozmaite poradniki prezentujące pewne typowe rozwiązania, lecz niestety nie uczące jeszcze samodzielnego myślenia.

Patologie

Na nowo powstałe i działające spółki natychmiast zaczęły sphywać wszystkie możliwe patologie socjalizmu, co skutecznie demoralizuje pracowników. Socjalizm m.in. wymyślił szufladkowanie i różnicowanie kosztów, co spowodowało, że jeden rodzaj kosztów jest dobry, a drugi - nie. Te płacowe są najgorsze z możliwych, w związku z czym działa spora część spółek, które są tylko "przepuszczalnią" pieniędzy płacowych innych przedsiębiorstw. Wystarczy w takiej firmie dwóch funkcyjnych, odpowiednie druki i stemple, aby zaczęła się "niewidzialna" działalność gospodarcza. W ten sposób w stoczniach pracują byli stoczniovcy, ale już na etatach nowych spółek, gdzie są lepiej opłacani za taką samą pracę. Jeśli mimo wszystko firma wykorzysta sytuację i w oparciu o tak zdobyte dochody zdoła uruchomić swoją własną działalność, to jest to pewien dający się usprawiedliwić sposób na start. Jeśli jednak kierownictwu i właścicielowi to wystarczy, to na arenie pojawia się większa ilość następných kombinatorów. Ponieważ w Polsce z pracy nie można się niczego dorobić, to i patologie z tego wynikające objęły swym zasięgiem nowo powołane spółki, w których dodatkowe wynagrodzenia wypłaca się w formie innych świadczeń lub poprzez zatrudnienie "martwych dusz" - żon, dzieci i dalszych krewných.

Nadal w cenie są koneksje i wynikające z nich przywileje, które mogą w dużej mierze przyczynić się do zmiany sposobu działania oraz poprawy perspektyw spółki. Czy można zatem w polskiej rzeczywistości mówić o prawdziwej, uczciwej konkurencji, jeśli jedna spółka bez trudu otrzymuje np. prawo eksportu lub importu na podstawie zezwolenia, na które inne firmy nie mają żadnych szans. Wielu mogłoby przecieć postąpić według stereotypu: sprzedać cebulę i kupić komputer, ale tylko nieliczni uzyskaliby na to zgodę. Jeśli mam odpowiednie koneksje, to nie straszne mi ograniczenia nałożone na wypłaty wynagrodzeń. W ten sposób powstały firmy z "bazowym" funduszem płac praktycznie nie limitowanym oraz i takie, które od początku kuleją mając do wyboru albo zamrożenie płac, co oznacza stagnację, albo groźbę zapłaty z zysku progresywnego podatku stanowiącego karę za przekroczenie określonego limitu wynagrodzeń. Pozycja uprzywilejowana daje ewentualnie również możliwość umorzenia tej kary.

Z drugiej strony spółki zaczyna zalewać fala kontroli o zasięgu nie spotykanym wśród starych państwowych przedsiębiorstw. A ponieważ w Polsce obowiązuje nadal - wbrew zapewnieniom samego premiera - zasada "prewna", że wolno tylko na co

Jednoznacznie zezwala przepis, życie kontrolowanych nie może być łatwe. Jeśli do tego dodamy potknięcia i błędy wynikające z niewiedzy, to mamy wystarczające powody do frustracji. Niestety, niektórzy szybko uczą się rozmawiać z kontrolującymi w duchu "dobrych", sprawdzonych metod, czyli przy pomocy żąpówki.

I wreszcie coś co fascynuje i zaskakuje zarazem - zdecydowana większość kadry kierowniczej spółek optymistycznie patrzy w przyszłość. O ile dyrektorowi starego przedsiębiorstwa brak wiary w cokolwiek, a całą uwagę i wysiłek przeznaczają na przetrwanie, to ci "nowi" tryskają energią i często bardzo ciekawymi pomysłami, ucząc się jednocześnie rozpychać w socjalizmie realnym.

Więcej dystansu!

Może powstać i takie pytanie, czy w świecie spółek jest miejsce dla opozycjonistów, którzy chcieliby tu odegrać swoją życiową, polityczną rolę?

Wydaje się to bardzo trudne, może nawet beznadziejne. Niewielkie grono pozostałych jeszcze w kraju działaczy "postsolidarnościowych" (aż 70 % internowanych znalazło się za granicą) nie dysponuje ani kapitałem, który pozwoliłby uruchomić produkcję, ani łatwością w zdobywaniu zleceń. Mimo najszczerzych chęci, szybko spostrzegają oni, że nie jest możliwe wykreowanie się na niezależnego menedżera, któremu uda się w prowadzonej przez siebie firmie stworzyć prawdziwą enklawę. Zbyt duże jest przenikanie z zewnątrz, a pragnienie całkowitego odcięcia się od "establishmentu" z góry skazane jest na niepowodzenie. Mając własne zasady moralne można jedynie, mimo ciągłych wahań i wewnętrznych rozterek, starać się być i tu, i tam - u siebie oraz w kręgu władzy - na tyle, na ile jest to absolutnie konieczne ze względu na pomyślność firmy.

Nic dziwnego więc, że nowa przedsiębiorczość spotyka się pod tym względem z ostrą, uzasadnioną przecież krytyką, szczególnie ze strony ludzi młodych, bezkompromisowych, którzy negatywnie oceniają porażkę za "szmałem" oraz wchodzenie w układy z oportunistami. A co na to starsi wiekiem?

"Wielkanocą" w "Tygodniku Powszechnym" Kisiel z wielkim uznaniem pisze o byłym działaczu związkowym, który od pewnego czasu uprawia menedżeryzm w polskim wydaniu, tj. na wskroś przeziąknięty bolszewizmem. Słusznie Kisiel zarzuca działaczom związkowym, że poniewieranie Zbigniewa Janasa za zdradę stylu życia jest śmieszne ale czy znany felietonista nie wpada w swoje własne sidła?

Przecież sam głosi, że "walczy z powagą, która ryzykuje, że się w śmiech (cudzy) zamienić może", a jednocześnie tak bardzo serio bierze arenę i na niej rozgrywkę.

A na tej arenie z bliska widać efekty czterdziestu lat komunizmu. Tutaj "dmucha się w koszty" zamiast racjonalnie gospodarować, a przy tym daje się żąpówki na lewo i prawo, szczególnie wtedy gdy uprawia się pośrednictwo. Może tak być musi i może tak było w historii gospodarczej świata, ale

spróbujmy patrzeć na tę arenę z dystansu, bez wielkich nadziei, że to już jest to, co chcielibyśmy mieć w przyszłej, lepszej Polsce. Zresztą chętnie podsunąłbym kolejny problem do dyskusji. Jak daleko, do jakiego stopnia godzi się postępować według powszechnie obowiązujących metod, aby nie narazić swojego własnego systemu wartości na zachwianie czy upadek? Czy czasem, aby stać się prawdziwie skutecznym, nie trzeba założyć spółki z komitetem wojewódzkim znanej robotniczej, partii, która nota bene nie posiada osobowości prawnej, ale której członkowie dojrzeli już zapewne do robienia interesów? Piszę to wszystko nie po to, aby potępić w zembuż wszelkie nowe próby działania gospodarczego, wszelkie przejawy przedsiębiorczości i aktywności ludzkiej. Chciałbym jednak, abyśmy nauczyli się także i tej areny nie brać tak bardzo poważnie, mając świadomość, że jest to arena na miarę Polski po długim okresie spustoszeń komunizmu, arena kraju, w którym tak łatwo torresdóra zmienić w byka, ale z której - mimo wszystko - nie każdy może uciec.

MAREK SOŁTYŃSKI

KRÓTKI KURS

rozmowa z TERESA BOGUĆKA, członkinią Komitetu Strajkowego na Uniwersytecie Warszawskim w Marcu 68, późniejszą działaczką KSS KOR

- Czy może Pani wprowadzić nas w atmosferę poprzedzającą Marzec 68 ?

- Punktem odniesienia był wówczas Październik 56, jedyny chyba moment w dziejach PRL, kiedy społeczeństwo autentycznie i masowo poparło władzę - co prawda prymitywnym systemem demokracji wiecowej. Mimo wszystkich późniejszych rozczarowań, coś z tego przetrwało. Nikt wtedy nie uważał, że władza jest narzucona i obca. Na przełomie lat 50-tych i 60-tych ludzie cieszyli się jeszcze swobodą, poczuciem bezpieczeństwa, normalnym prywatnym życiem. Miniony dopiero co stalinizm był nie tylko terrorem fizycznym uderzającym po części celowo, po części przypadkowo w niewielki procent społeczeństwa. Był to głównie wszechogarniający terror psychiczny. Posepny, pryncypialny "kolektyw" wtrącał się we wszystko: w sposób ubierania, w literackie gusta, w szczegóły życiorysu, w chrzost dziecka, nawet w zdradę małżeńską. Niestety na człowieka mógł sprowdzić list zza granicy, szwagier w Londynie, czy wuj u Andersa, opowiedziany dociep albo kolorowa koszula. Otóż w 1956 roku zmora się skończyła. Przestano prześladować akowców, chłopów, atakować Kościół. Nastąpiło otwarcie na Zachód nie tylko w dziedzinie nauki i kultury ale i w stylu życia. Podniósł się poziom materialny egzystencji. Nic więc dziwnego, że ludzie akceptowali nową sytuację. Wytworzyła się swego rodzaju "cicha umowa" władzy ze społeczeństwem: "wy się nie wtrącajcie do naszej polityki, a my nie będziemy ingerować w wasze życie prywatne!" W porównaniu ze stalinizmem władza wymagała tak niewiele: udziału w pochodzie 1-majowym, frekwencji wyborczej i witania na ulicach z chorągiewkami gości z zagranicy. Propaganda nie była specjalnie nachalna, szkółka i telewizja była dość apolityczne. Panowała "mała stabilizacja".

Bardzo szybko zaczął się jednak proces nazywany wówczas wycofaniem się ze zdobyczy Października. Najbardziej widoczne było to w dziedzinie życia publicznego i kulturalnego. Rozwiązano Klub Krzywego Koła, zaostrzyła się cenzura. W 1957 r. można było dostać pocztą paryską "Kulturę" - w parę lat później groził już proces o jej rozpowszechnienie. Najbardziej opozycyjne było wówczas środowisko literackie. Większość ówczesnych procesów politycznych, sporadycznych co prawda, dotyczyła pisarzy takich jak January Grzędziński, Jerzy Kornacki, Melchior Wańkowicz czy Janusz Szpotański.

- Jaki był wówczas stosunek do tradycji niepodległościowej?

- Nie używano się słowa "niepodległość", w takim jak dziś znaczeniu. Zbyt wiele osób pamiętało obce okupacje, żeby stosowaniem tego terminu zacierać różnicę, bardzo jednak istotną, między stanem rzeczy w latach wojny i po 1945 r. Używano się natomiast słowa "suwerenność". W języku oficjalnym było ono zastępowane terminem "racja stanu". Dorastałam wśród powszechnego przekonania, iż nasza suwerenność została w 1956 obroniona, zarówno przez samodyscyplinę społeczną jak i politykę Gomułki. Wszyscy byli ogromnie dumni, że uniknęliśmy wtedy losu Węgier. Pamiętam, jak wówczas mówiono, iż Węgrzy zachowali się jak Polacy, Polacy jak Anglicy, a Czesi jak świnie (to ostatnie z powodu zatrzymywania przez Czechów na granicy polskich transportów z pomocą dla "bratanków"). Jeśli więc obroniliśmy suwerenność, należało jej strzec - przede wszystkim poprzez unikanie manifestowania uczuć antyradzieckich. Tak to postrzegano, chyba bardzo szeroko - w odróżnieniu od dnia dzisiejszego. W kościołach, w latach 60-tych śpiewano "Ojczyznę wolną p o b ł o s ł a w Panie".

- A takie nazwiska jak Piłsudski, Dmowski - czy były to wtedy puste słowa? Śmieszna, antykwaryczna tradycja?

- To była po prostu historia, słabo znana i przede wszystkim zamknięta. W latach 60-tych zobaczyłam klepsydry zawiadamiającą o mszy za Piłsudskiego w rocznicę jego śmierci. Poszłam na nią, i byłam jedyną osobą poniżej 50-ki - poza mną - sami starsi panowie. Środowisko, w którym tkwiłam w czasie studiów, grupa "komandosów", będąca zapelnikiem wyderzeń marcowych, bardziej interesowała się zmienianiem rzeczywistości niż oglądaniem się do tyłu.

- Wróćmy jednak do ruchu umysłowego w środowisku "rewizjonistów"...

- Rewizjoniści głosili wówczas, iż dotychczasowa praktyka socjalizmu stanowi błądną interpretację Marks'a, że jego nauka, właściwie pojęta, każe budować ład społeczny oparty na samorządności, ludowładztwie i respektowaniu praw jednostki. Praktycznie byli zwolennikami reform Października i szukali dla nich ideologicznych uzasadnień. Władze skłusznie uważała, iż usiłują zakwestionować jej monopol. Grupa "komandosów" była pod silnym wpływem rewizjonistów. Ich śladem gorliwie tropiła rozbieżności między teorią a postrzeganą wokół praktyką.

- Czy "komandosi" byli grupą lewicową?

- Większość tak się określała, niektórzy nazywali siebie nawet komunistami. Niektórzy jednak żadną lewicą się nie czuli. "Komandosów" łączyła nie identyfikacja ideowa a sprzeciw wobec rzeczywistości politycznej. Ja, na przykład, ze swoim poczuciem, że Polska jest źle urządzona - poszłam do pewnego mądrego księdza. Powiedział mi, że jeśli chcę znaleźć ludzi, z którymi mogłabym zmienić świat, to powinienem rozejrzeć się na Uniwersytecie Warszawskim za takim chudym blondynkiem o nazwisku Adam Michnik i jego kolegami: "są strasznie lewicowi ale szukają

w dobrym kierunku".

W powstaniu grupy "komandosów" ważnym momentem była sprawa "Listu otwartego do Partii" Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Tekst stosował marksistowską analizę w stosunku do PRL. Wykazywał, że klasa robotnicza jest uciskana przez aparat partyjny (nazywali go Centralną Biurokracją Polityczną - CBP). Zgodnie z naturą klasy wyzyskującej - zagarnia on wartość dodatkową wytwarzaną przez robotników i obraca ją na umocnienie systemu. Z diagnoza wszyscy się zgadzali. Kontrowersje a nawet silny opór budziły dopiero propozycje terapii. Jacek i Karol zalecali oddanie władzy radom robotniczym, które miały wykonać coś w rodzaju robotniczego parlamentu. Otóż to był przedmiot niezgody - dlaczego demokracja robotnicza, a nie demokracja po prostu? Czy rzeczywiście klasa robotnicza, jak głosił Marks, ma jakiś szczególny instykt pozwalający jej rozpoznać właściwą drogę?

Tak więc zakładaliśmy, że istnieje jakaś właściwa, optymalna droga rozwoju społecznego i problem tylko jak ją odkryć; są miejsca na drabinie społecznej, z których widać ją lepiej i takie (te wyższe oczywiście), z których widać ją gorzej; istnieje postęp, wewnętrzna siła procesu historycznego, który jednostka może zahamować lub przyspieszyć ale nigdy zatrzymać; postęp to droga od zniewolenia do wolności. To wszystko było dla nas oczywiste. Szukaliśmy więc właściwej drogi, chcieliśmy przyspieszać osiągnięcie wolności i wykazać władzy, że hamuje postęp. Bez sensu, bo jest on wszak konieczny.

Z władzą wadziliśmy się poprzez SOD-y - zebrania Studenckiego Ośrodka Dyskusyjnego. Przygotowywaliśmy bardzo starannie swój udział w dyskusji - na ogół w konwencji "kłopotliwych pytań". Bo np. powiedzenie wprost, że nie powinno być cenzury spotkało się ze strony Sokorskiego z długim i impertynenckim wywoodem o tym, że swoboda wypowiedzi jest rzeczą względną, że toczy się walka i nie może być wolnego słowa dla wrogów wolności. Ale strzeżenie do marksisty cytatem z Kóży Luksemburg, że wszelka cenzura godzi w klasę robotniczą, stawiło go w bardzo kiepskiej sytuacji. Mieliśmy wtedy dostęp do książek Instytutu Literackiego. Czytaliśmy je zachłannie.

Czasami na forum Studenckiego Ośrodka Dyskusyjnego stawiali przeciw nam działacze ZMS. Studenci przychodzili coraz tłumniej, pojedynki były coraz atrakcyjniejsze i to my, z reguły, zbieraliśmy oklaski. Na jednym z takich spotkań Józek Dojczegwand powiedział, że ma zastrzeżenia do polityki narodowociowej ZSRR i zreferował sprawę deportowania Tatarów, Inguszków oraz Czeceńców. Nikt nie zaklaskał. 300 osób zamarko z przerażenia. Józek daleko przekroczył dopuszczalne granice. Takich rzeczy nie należało nie tylko mówić, ale nawet słuchać. Czują się urażeni zebranych, że Józio postawił ich w takiej sytuacji. Co się nie udało Józkowi, powiodło się Adamowi Michnikowi. Na spotkaniu o polityce zagranicznej ZSRR powiedział o traktacie Ribbentrop-Mołotow, o przemówieniu Mołotowa. Także i o tym, że traktat był słuszny, z punktu widzenia ZSRR, ale z pozycji Polski wcale słuszny nie był, więc on w ocenie tego traktatu będzie się kierował interesem swego kraju. I wtedy też zapadła cisza, ale chwilę potem ogromne brawa. Czuję, że stało się coś ważnego...

- Nadszedł Marzec...

- "Komandosi" zwołali wiec w sprawie "Dziadów" i w obronie dwóch

usuniętych z UW kolegów (Adama Michnika i Henryka Szlajfera wyrzuconych za to, że spotkali się z korespondentem francuskim i opowiedzieli mu o ostatnim przedstawieniu "Dziadów"). Po dwóch dniach protest objął już większość ośrodków akademickich w Polsce. To nas zaskoczyło i zdumiało. Przygotowując więc 8 marca mieliśmy tylko jedno doświadczenie: w 1964 odbył się na UW wiec popierający "List 34". Przyszli wtedy rektor Turski nakrzyżnał na nas i rozeszliśmy się. Koniec, cisza, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Teraz rozlało się na cały kraj. Była w tym oczywiście zasługa milicji, ale pewnie i coś więcej. W końcu nie my jedni wyczuwaliśmy, że dzieje się źle, coraz gorzej. Planując ten wiec liczyliśmy się z ewentualnymi konsekwencjami, represjami, ale miały one spaść tylko na organizatorów. To się zresztą sprawdziło: "komandosi" zostali aresztowani od razu 8 marca, część jeszcze przed wiecem. Niedobitki, w tym ja, zostały wybrane do komitetu studenckiego. Nie zwinęli mnie od razu, może dlatego że byłem mniej ważna, a może dlatego że miałam swoje brzmące nazwisko, a w ciągu paru dni zaczęło się to bardzo liczyć.

Bicie na dziedzińcu UW było pierwszym szokiem. Trzy dni później rozszalała się prasa, i to był szok drugi, większy. Władza zdemeskowała się radykalnie: popaździernikowa ekipa zamiast wprowadzić reformy, wprowadziła ORMO; zamiast podpowiadać jej "socjalizmu z ludzką twarzą" - rzuciła do akcji czarną sotnię. Była to głupia karykatura faszyzmu. Oto np. uczelniany ZMS zaczął wydawać pismo pod trafnie dobranym tytułem "Nasza walka". Wychodziło codziennie i zajmowało się głównie "demeskowaniem wichrzycieli i ich wychowawców". Nazwiska brano z jakichś list proskrypcyjnych rozestanych - biała plama przez kogoś - do aparatu w całej Polsce. No więc można tam było przeczytać, że np. Ewa Zarzycka, córka prezydenta Warszawy, swoją pogardę dla kolegów robotniczego pochodzenia - okazywała gasząc papierosa w dziemie. Innym razem "Nasza walka" zajęła się profesurą i między Kożakowskim, Brussem a Baczką (ci byli z listy) sponiewierała Oskara Langego. Złe wychowywał młodzież, zniszczył polską ekonomię. Jeden z asystentów zadzwonił do redakcji i powiedział, że profesor Lange z pochodzenia jest Niemcem, nie zaś Żydem. Następnego dnia bojowy organ ZMS zamieścił sprostowanie - prof. Lange został zastakowany pomyłkowo, nie ma do niego zastrzeżeń. "Express Wieczorny" zajął się z kolei osiołkiem, którego kupiliśmy za 800 zł, żeby wozził namioty i spiwory w czasie wakacyjnych wędrowek po kraju. Był ten osioł "obelgą dla młodzieży robotniczej i chłopskiej", dowodem naszej "bananowości" i "ciągnot biblijnych".

Tak więc z jednej strony byli studenci upominający się o "Dziady", wolność nauki i kultury, o autonomię swoich uczelni; a z drugiej prymitywna, pogromowa fala kłamstw i nienawiści. Te nową twarz władzy widzieliśmy wyraźnie i ten ślad pozostał w ówczesnych dowcipach i piosenkach. Ale daremnie by go szukać w naszych rezolucjach i uchwałach. Rezolucje w całej Polsce podejmowano podobne: były pełne determinacji i godności ale miały też bardzo silny ton obronny. Zapewniali, że jesteśmy za socjalizmem (dodając co prawda często "demokratycznym"). Żądały uwolnienia uwięzionych studentów, zaprzestania dalszych aresztowań, sprostowania kłamstw, ukarania odpowiedzialnych za wprowadzenie milicji i nagonkę prasową. Jednak często zapewniały też, że nie jesteśmy wichrzycielami i chuliganami.

Czasem uginano się przed prasą jeszcze bardziej. W rezolucji Politechniki Warszawskiej znalazł się punkt potępiający na równi "antysemityzm i syjonizm", choć jako żywo nikt trzy dni wcześniej o nim nie słyszał. Co więcej na jednym z wydziałów przeszła, niedużą co prawda większością, uchwała piętnująca jakiś wypadek Izraela do Jordanii. Znamienny był też stosunek do tzw. "żulów". Przez parę dni (11-13 marca) na Krakowskim Przedmieściu, w pobliżu strajkującego Uniwersytetu, pojawiły się duże grupy młodzieży niestudenckiej, raczej robotniczej. Wiele gminna nióska, że jest wśród nich jakiś ważny żul "Melon" ze swoimi chłopakami. Otóż bili się oni dosyć skutecznie z milicją i wykrzykiwali hasła, jakie nam nie przeszłyby przez gardło - ze względu na "rację stanu": "przeżyliśmy potop szwedzki, przeżyjemy i radziecki".

W duszy byliśmy całym sercem z nimi i wtedy gdy wybili szyby w kinie, gdzie skoszarowano ORMO, czy w salonie Mody Polskiej, bo milicja jeździła jej autokarami, i wtedy, kiedy sprali Gołędzinów na placu Zamkowym (chłopcy z Gołędzinowa potoczna nazwa ZOMO w latach 60-tych, od miejsca ich stacjonowania - przyp. redakcji) ale oficjalnie się od nich odcinałiśmy. Ta nasza defensywność i początkowa nieporadność była wynikiem rozdzielenia między językiem prywatnym i publicznym. Nie umieliśmy przełożyć swoich odczuć i ocen, na język kontaktu z władzą. W wymiarze ogólnospołecznym bariera ta została przekłamana dopiero w Sierpniu 1980.

Parę miesięcy potem czytałem o majowej rewolucji studentów w Paryżu. Odpowiedzią na zarzut, że jeden z przywódców rebelii Daniel Cohn-Bendit nie jest studentem francuskim i przyjechał z Niemiec, była wielotysięczna demonstracja skandująca "wszyscy jesteście niemieckimi Żydami". No cóż, my nie umieliśmy wtedy jeszcze krzyknąć tej władzy "wszyscy jesteście wicherzycielami i syjonistami, wszyscy jesteście przeciwko wam". Ale też, nie daliśmy się podzielić. I przez te 3 tygodnie Marca szybko nauczyliśmy się. Pierwsze hasło, które przetrwało do dziś: "Nie ma chleba bez wolności", padło na wiecu 8 marca. Kiedy pojawił się na dziedzińcu tłum cywili krzyczących, że są robotnikami, przemówił do nich student filozofii - Wiktor Górecki. Powiedział on coś w tym sensie, że nasz wiec, na którym upominaliśmy się o wolność polskiej kultury, dotyczy spraw bliskich wszystkim. "Wszyscy mamy te same troski i te same ceny na mięso. Zakończmy tym właśnie zdaniem "nie ma chleba bez wolności". W parę dni później, na wiecu Politechniki Warszawskiej, asystent wydziału socjologii U: Jakub Karpiński odegrał pantomimę - bez słowa podarł gazetę. Z tego wiecu studenci wyszli już na ulicę z okrzykiem "Prasa kłamie". Był to bardzo ważny moment. Przeciwnie tłumaczenie się: nie jesteśmy wicherzycielami. Zamiast tego można było krzyknąć: kłamiecie! Po uczelnianych, okupacyjnych strajkach, które miały być formą nacisku na władzę, by zrealizowała nasze postulaty, a które nie zrobiły na niej żadnego wrażenia - stało się dla nas jasne, że przegrywamy. Nie wyciągnęliśmy kolegów z więzienia, raczej sami tam trafimy. Nie przełamaliśmy prasowej nagonki, pręcej wylecimy ze studiów. Zresztą zdaliśmy już, że nasze studenckie sprawy stawały się drugorzędne, to był już pogrom kultury. W tym poczuciu klęski, walenia się znanego nam świata wartości, chcieliśmy jeszcze tylko wykrzyknąć, o cośmy walczyli. Dokumenty ostatnich dni były o niebo dojrzałsze od pierwszych rezolucji.

Nie zdążyły jednak zyskać nośności. Na UW była to Deklaracja Ruchu Studenckiego, ale czytałem potem podobne teksty sformułowane na innych uczelniach. Mówiło się w nich o obronie kultury, o systemie prawnym (że należy znieść Mały Kodeks Karny) o związkach zawodowych, gospodarce, o obowiązkach władz i prawach obywateli.

- Czy czuliście się izolowani, osamotnieni? Jak reagowaliście na masówki antysyjonistyczne w fabrykach?

- Przez te trzy tygodnie w marcu nie czuliśmy się ani izolowani ani osamotnieni. Poparli nas pisarze, liczni profesorowie. Koło posłów "Znak" zgłosiło interpelację sejmową, w naszej obronie wystąpił prymas. Interpelacja "Znaku" była bardzo istotna - nie tylko jako gest solidarności. To kierowało naszą uwagę na środowisko katolickie. Mówiłam już, że "komandosi" byli grupą rewizjonistyczną. Także później gdy zostali oni aresztowani, ogół studentów działał nadal w rewizjonistycznej konwencji. W rezolucjach odmienialiśmy ten nieszczęsny socjalizm przez wszystkie przypadki, a wiece zaczynałyśmy i kończyłyśmy Hymnem i Międzynarodówką. Z punktu widzenia rewizjonistów, grupy "Znaku", "Więzi" czy "Tygodnika Powszechnego" były w ich sporach z władzą czymś zewnętrznym. Kręgi katolickie, prześladowane w stalinizmie, po Październiku wywalczyły sobie pewną autonomiczną przestrzeń swobody. Wypracowały one koncepcję tzw. neopozytywizmu i w oparciu o nią prowadziły z władzą grę bardzo podobną i istotnie do tej, którą uprawiali rewizjonści, tzn. usiłowali rozszerzyć margines swobody i zdrowego rozsądku. W 1968 roku rewizjonści stali już na straconych pozycjach, a środowisko "Znaku" - nie. A jednak zarzykowało ono bez wahania, uznało, że jest to chwila, w której trzeba dać świadectwo tego, czy jest się po stronie bitych czy też bijących. Zapłacili za to dużą cenę. A jeśli chodzi o masówki w fabrykach - zbyt dobrze wiedzieliśmy jak się to robi, żeby wierzyć, iż robotnicy wyznają hasła, które trzymają w rękach. Ponadto ówczesna polska paranoja polegała na tym, że oni często prosto z tych masówek lecieli pod Politechnikę, by dać strajkującym studentom papierosy i czekoladę.

- Co się działo po sspecyfikowaniu protéstów?

- Studenci jako protestująca zbiorowość zostali rozbici. Najaktywniejszych aresztowano. Akademicy z rozwiązanych wydziałów musieli indywidualnie zabiegać o ponowne przyjęcie, pozostali żyli w obawie przed wyrzuceniem. Na placu boju została zwycięska prasa. W kwietniu i maju, proklamowany przez nią antysemityzm, zaczął przetwarzać się powszechny czyn partyjny. Aparat zachłysnął się swą nową ideologią. Od ministerstw, poprzez instytucje kulturalne do małych spółdzielni - robiono czystkę wśród osób o "obco brzmiących nazwiskach". Na zebraniach pracowniczych sterroryzowany kolektyw wyrzucił np. pana Bauma za to, że źle wychowywał dzieci, a kiedy ten przykładowy p. Baum mówił, że nie ma dzieci - wyrzucano go za to, że gdyby je miał, to też by je źle wychowywał. Innym razem wyrzucono kogoś za to, że w piątek palił świeczki (żydowska tradycja szabasowa!) i nieważne było to, że w mieście tego dnia zdarzyła się awaria w elektrowni. Uzasadnienia bywały różne, ale powody te same: nazwisko własne lub panienske matki, wygląd. Żydzi masowo więc wyjeżdżali, w tym i nasi koledzy. Niektórzy z nich dopiero tej wiosny

dowiadawali się o swym pochodzeniu - czasem od rodziców, czasem od ubeków. Ponieważ czystki szły według nazwisk, obejmowały też ludzi, jeśli można tak powiedzieć "niewinnych". Ci, jeżeli nie chcieli stracić pracy, musieli udowodnić za pomocą rodzinnych niepięć, że są z Niemców lub kurlandzkich beronów. Pochodzenie niemieckie, a więc eryjskie, uniewinniło. Niektórym organizacjom partyjnym wystarczyło przedstawić świadectwo chrztu.

W pół roku później Polaka wzięto udział w wojskowym tłumieniu ostatniej niedzieli-Praskiej Wiosny.

Marzec i sierpień-68 były końcem rewizjonizmu. Elita intelektualna opuściła partię. Środowisko katolickie zapłaciło za odwagę koła poselskiego "Znak", tracąc koncesje, ale zyskało niezależność. Oba środowiska wkrótce miały się spotkać.

- A co się działo dalej z "komandosemi"?

- Większość trafiła do więzienia. Ci, którzy tego uniknęli w marcu, zostali wsadzeni w sierpniu ze ulotki przeciw inwencji na Czechosłowację. Po paru miesiącach część zaczęło wypuszczać. Kilkunastu osobom zrobiono procesy z oskarżeniem o przynależność do tajnego związku, który miał dążyć do obalenia ustroju. Na argumenty obrony, że przecież działaliśmy jawnie, organa sprawiedliwości orzekły, iż na tym właśnie polegała nasza perfidia. Działaczk mieliśmy jawnie, żeby ukryć swoją tajność. W ciągu dwóch lat wyszli wszyscy (poza Jackiem Kuroniem i Karolem Modzelewskim - dostali najwyższe wyroki: 3 oraz 3,5 roku więzienia). Na studia nie dano nam jeszcze wtedy wrócić, dopiero na początku lat 70-tych amnestionował nas w tym względzie Gierek. Część naszej grupy emigrowała; inni poszli do pracy - chłopcy na ogół do fabryk. Początkowo mieliśmy poczucie izolacji, ale trwało to krótko. Było to tak, jak gdyby wszystkie te środowiska, które wzbudziły nienawiść propagandy w Marcu, szukały się wzajemnie. Z jednej strony pisarze, z drugiej warszawski KIK, no i my, resztki "komandosów". Powstało coś nowego.

- Jak wyglądała ideologia tego środowiska?

- To były spotkania, gdzie każdy coś dawał. My ze swojej krótkiej historii wynieśliśmy ugruntowane przeświadczenie, że jesteśmy odpowiedzialni za to, co wokół nas się dzieje i że jak kogoś biją, to trzeba stanąć w jego obronie. I teraz, nie chcieliśmy tego uzasadniać żadnym "etapem rozwoju", żadną "analizą stanu świadomości społeczeństwa", żadnym "postępem" czy "koniecznością historyczną". Z kolei, także w środowisku katolickim dokonywała się ewolucja w kierunku rozszerzenia zakresu odpowiedzialności etycznej, również na sprawy społeczne. Świadectwem tego, były "Rodowody niepokornych" Bohdana Cywińskiego i artykuł Krzysztofa Śliwińskiego "Dzieci na dwanaście godzin" ogłoszony w książce "Kryzys zaangażowania społecznego". Tu właśnie było miejsce spotkania. W tym "nowym" kraju podejmowane były różne działania - obrona sądzonych członków organizacji "RUCH", obrona skazanych na śmierć braci Kowalczyków, list do Sacharowa, list w obronie Polaków w Rosji, podpisy dotyczące zmian w konstytucji i wreszcie KOR.

Pozostaje jeszcze Grudzień 1970. Istnieje obieguwa teza:

robotnicy nie poparli inteligencji w 1968 roku, inteligencja nie poparła robotników w 1970. Ilustrowana jest przykładem Gdańska, uwiecznionym przez Wajdę w "Człowieku z żelaza". Otóż w sloganowym powtarzaniu tego twierdzenia jest jakiś podtekst o niezrozumieniu przez robotników wagi marcowego protestu i rozżaleniu inteligencji tym faktem w Grudniu. Szczególnie tak to brzmi, gdy dodaje się na happy-end: "a w Sierpniu 80 spotkali się i poszli razem". A ja pamiętam, że to było inaczej. W Marcu nie uważaliśmy, że robotnicy nas potępiają. Przeciwnie, sądziliśmy, że oczywistą słuszość naszego protestu rozumieją i akceptują. Wydaje mi się nawet, że na Uniwersytet dotarł jakiś zbiorowy list robotników, solidaryzujący się z nami. W Grudniu śledziliśmy wydarzenia na "tybrzeżu wstrząsnięci, bez żadnego "Schödenfreude". Zbieraliśmy się, czując że coś trzeba zrobić i jednocześnie odpowiadaliśmy sobie: "nie wolno nam nic robić", bo powiedzą, że to nie jest robotniczy protest, że znów te same koka, polityczni wichrzyciele i benkruci mącą i rozrabiają. Byliśmy ciągle porażeni marcową propagandą. Nie tylko my. Kiedy strajki grudniowe dotarły do Warszawy, do zakładów w których pracowali nasi koledzy - strajkujący robotnicy też nie chcieli, żeby się oni włączyli. Z tych samych powodów. Zrobiliśmy tylko jedno. W 1971 zdobyliśmy nagrania ze spotkania Gierka ze stoczniovcami w Szczecinie i przerzuciliśmy je na Zachód. Minęło parę lat i powstał KOR. Kiedy w 1977, prasa znów się rozjaźgotła, nas już to nie obchodziło...

- Dziękuję Pani za rozmowę.

Opracował: ALEX

Wywiad autoryzowany w marcu 1988

Zastyszane lewym uchem

W artykule opublikowanym przez "Przekaz" (nr 2, str. 49) publicyście przedstawiający się jako Kuba poddał napisany przez nas tekst pt. "Dlaczego liberalizm" (tamże, str. 24) dość ostrej w tonie krytyce. Ponieważ większość stwierdzeń Kuby naszym zdaniem budzi uzasadnione wątpliwości, czujemy się w obowiązku kontynuować dyskusję, a tym samym podjąć próbę wyjaśnienia nieporozumień, bo tylko tak możemy potraktować niektóre przedstawione przez naszego polemistę tezy. Nie będziemy szerzej zajmowali się zarzutami będącymi bardzo swobodną interpretacją naszych słów, takimi jak: "Specyficzna pewność własnych racji", "majstersztyk propagandowy tyle że o komunistycznej proweniencji", czy "nieodróżnianie opozycji lewicowej od komunistów". Odnosnie ostatniego powiemy tylko, że gdyby Kuba uważniej przeczytał nasz tekst z pewnością zauważyłby, że rozważania dotyczą jedynie niezależnych elit (str. 24, lin. 26). Trudno jest przypisać to miano "komunistom sprawnym władzę w PRL".

W innym miejscu nasz polemista zauważył, że "stosowanie klasycznych zachodnich podziałów na lewicę i prawicę nie ma w kraju komunistycznym absolutnie żadnego sensu", po czym już na następnej stronie przyznał się do lewicowych ciągotek. Trudno zatem stwierdzić z jaką opcją polityczną identyfikuje się Kuba, ale wydaje się, że lewym uchem słyszymy go lepiej. W tym też kontekście opcję "obozu koncentracyjnego" pozostawiamy bez komentarza. Ale przejdźmy do spraw poważniejszych. Analiza wypowiedzi Kuby upoważnia nas do stwierdzenia, że wokół idei liberalnych funkcjonuje szereg niebezpiecznych stereotypów, uproszczeń, czy wręcz przeinaczeń. Obliguje nas to do ponownego podjęcia wątku poruszonego w naszym artykule, po to przede wszystkim, aby nieporozumienia czy ewentualne luki edukacyjne nie stały się murem uniemożliwiającym rzetelną wymianę poglądów.

Jeżeli chodzi o krytykowany zwrot dotyczący fundamentu cywilizacyjnego Europy (którego użycie dowodzi rzekomo owej "specyficznej pewności własnych racji") to za istotne uważamy wyjaśnienie, że cywilizację zachodnią postrzegamy jako cywilizację indywidualistyczną, budowaną mniej więcej od ery Odrodzenia na podwalinach położonych przez chrześcijaństwo oraz Greków i Rzymian. Cywilizację opartą na szacunku do indywidualnego człowieka jako człowieka, oraz na wierze, że pożądanym jest aby ludzie rozwijali swe jednostkowe zainteresowania i talenty. Stworzoną przez "wieczną chorobę Zachodu - bunt indywidualuów przeciwko gatunkowi" jak ujął to jej wróg, XIX-wieczny totalitarysta, August Comte.

Tak rozumiemy fundament duchowy współczesnej Europy, od którego

oddaliła się ona na początku XX-wieku z ególnie znanymi konsekwencjami. Obecnie staje się coraz bardziej oczywiste, że jeżeli nie chcemy obozów koncentracyjnych to nie ma innej drogi jak powrót do źródeł. Miejmy nadzieję, że w tak rozumianej Europie znajdzie się miejsce dla Polski.

Najbardziej zaskakującym wnioskiem jaki wyciągnął Kuba z lektury naszego tekstu jest konstatacja, że jako "remedium na kłopoty ekonomiczne" proponujemy "powrót do leseferyzmu XIX-wiecznych fizjokratów".

Ponieważ Kuba, jak sam stwierdził, zajmuje się pisaniem felietonów a nie traktatów filozoficzno-ekonomicznych, prawdopodobnie nie wie, że w wieku XIX trudno byłoby znaleźć fizjokratę. Ojciec fizjokratyzmu Francois Quesnay zmarł w 1774 roku, a uważany za ostatniego z jego uczniów Anne Robert Jacques Turgot w 1781. Fizjokratyzm jako kierunek w myśli ekonomicznej pojawił się i zniknął w drugiej połowie XVIII-stulecia. W latach późniejszych zajmowali się nim jedynie historycy.

Pomimo, że istnieją pewne wartości bliskie zarówno liberałom jak i fizjokratom, to utożsamianie obu opcji jest poważnym błędem. Z najbardziej typową dla fizjokratyzmu tezą nie zgodzi się żaden liberał. Jest to teza, że jedynie w produkcji rolnej można osiągnąć nadwyżkę ponad poniesione koszty czyli tzw. "produkt czysty". Źródłem bogactwa jest zatem jedynie praca na roli. Skoro tak, to - zdaniem fizjokratów - podatki powinni płacić jedynie rolnicy.

Gdybyśmy - jak sugeruje Kuba - rzeczywiście nawoływali do powrotu do "leseferyzmu fizjokratów" prowadziłoby to do absurdu. Tak jednak nie było /rozbudowa sektora prywatnego, uruchamianie rynku kapitałowego i walutowego nie mają nic wspólnego z fizjokratyzmem/ i problem ten zostawmy naszemu polemistcie.

"Niewątpliwie Keynes poszedł w odstawkę na rzecz wyciągniętego z lamusa Hayeka" - stwierdził Kuba w kolejnym fragmencie tekstu, przez co wyraźnie zasugerował, że dawno zapomnianego Hayeka "odkurzone" dopiero po "odstawieniu" Keynesa wraz z jego teorią. I tutaj prawda wygląda odmiennie, wpiersw bowiem ze swą całościową propozycją wystąpił Keynes.

Keynesizm był ostrą i zdecydowaną w tonie reakcją na szok wywołany w społeczeństwie amerykańskim przez Wielki Kryzys. Spotkał się z żywym zainteresowaniem sfer rządowych, stając się oficjalną ideologią Nowego Ładu prezydenta Roosevelta z 1932 r. Wydawał się być atrakcyjnym dla społeczeństwa i łatwym do realizacji programem modyfikacji gospodarki kapitalistycznej, jak się wtedy wydawało, bez naruszania demokracji i rynkowych podstaw. Teraz dopiero do kontrofensywy z neoliberalnych pozycji przystąpił Hayek i prowadził ją do połowy lat trzydziestych. Spór obu panów nie miał charakteru personalnego, była to wyrafinowana w formie i pozbawiona wszelkich aksjologii dyskusja dwóch odmiennych szkół ekonomicznego myślenia, zawieszona w obliczu nadciągającej wojny.

Polemika ta /na skutek śmierci Keynesa w 1946 r./ nie odżyła po wojnie, natomiast rosnące w świecie w ostatnich latach wpływy liberalizmu odcisnęły swe piętno na losach drugiego z interlokutorów - Hayeka. Po doktoracie honoris causa w Tokio /1964/, przyszły honorowe tytuły uniwersytetów w Wiedniu /1971/, Salzburgu /1974/, honorowe członkostwo Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej /1972/ i Austriackiej Akademii Umiejętności /1975/. Jak widać Austriacy zlekceważyli apoftegmat mówiący, że nigdy nie jest się prorokiem we własnym kraju. Zwieńczeniem długiej

liberalnej drogi Hayeka było przyznanie mu w 1974 r. Nagrody Nobla za prace z teorii pieniądza i fluktuacji gospodarczych. O Keynesie natomiast i jego koncepcji slychoć ostatnio jedynie jako o przedmiocie krytyki.

Jak piszą autorzy pracy zbiorowej pt. "Przemiany we współczesnej ekonomii burżuazyjnej" (PWE 1987 r., str. 46) - o ile w swoim czasie prezydent Nixon mógł stwierdzić, że wszyscy w Ameryce są keynesistami, o tyle pod koniec lat siedemdziesiątych "wszyscy" z zapałem zaczęli krytykować keynesizm. Pojawiły się głosy, których treść najlepiej oddają tytuły artykułów: "Zakamanie się keynesowskiego modelu", "Rozpad keynesowskiego konsensusu", "Bankructwo keynesowskich modeli ekonometrycznych", "Odwrót od ekonomii keynesowskiej".

Wróćmy do wypowiedzi Kuby. Kolejne zastrzeżenia budzi prezentowane przez jej autora utożsamianie liberalizmu z konserwatyzmem ("renesans myśli liberalnej czy jak kto woli konserwatywnej"). Niejasności występują tylko na gruncie amerykańskim, gdzie liberałem zwykło się nazywać zwolennika reform związanych z powiększaniem roli państwa w życiu społecznym. W tym ujęciu liberałem jest Keynes czy Galbraith, natomiast tacy klasyczni liberałowie jak Friedman, von Mises czy Hayek desygnowani są do obozu konserwatywnego. Ale tak dzieje się jedynie w Ameryce, w kręgu europejskiej kultury politycznej odróżnienie obu opcji odbywa się według bardziej subtelnych reguł.

Sam Hayek w eseju "Dlaczego nie jestem konserwatystą?" stwierdził, że konserwatyzm nie potrafi zapewnić alternatywy wobec kierunku, w którym podąża społeczeństwo. Stąd konserwatysta podąża "wbrew woli ścieżką nie swego wyboru". Konserwatysta może więc oddziaływać na tempo, nie zaś na kierunek rozwoju wydarzeń.

Liberał natomiast zna kierunek, w którym chce podążać i podąża tam. Liberalizm poza tym wolny jest od różnego rodzaju nostalgii wspólnotowych, paternalizmu, nacjonalizmu (czy wręcz spotykanej w niektórych skrajnie konserwatywnych kręgach ksenofobii), czy też akcentowania szczególnej roli religii.

Najważniejszy chyba z poruszonych przez Kubę wątków dotyczy tzw. jednostek gospodarki uspołecznionej. To, że namnożyło się ich najwięcej nie podważa faktu istotnego, w stosunku do lat ubiegłych, rozwoju czysto prywatnych form własności. Czy j.g.u. może zgubić jedno pociągnięcie pióra centralnego planisty? «oż, podobnie jak i każdą firmę prywatną. Powstają tylko pytania: po co i za jaką cenę? I tu już zaczyna się sfera spekulacji: możemy mówić zarówno o "losie radzieckich NEP-manów", jak i o polskim prywatnym rolnictwie, które jednak przetrwało. Póki co, w miejsce bezpłodnych chyba prób przenoszenia historii w przyszłość, spróbujmy zastanowić się nad bardzo ciekawym zjawiskiem jakim jest niewątpliwie powstanie tak wielkiej ilości nowych organizmów gospodarczych z "trzema magicznymi literami". Kuba stwierdza, iż ta sfera aktywności społecznej zakłóca "klerowną wizję triumfującej opcji liberalnej". Gdzie zatem widzi duchowe źródła tej aktywności? W utopii Abramowskiego? W nauce społecznej Kościoła?

Sądźmy, że głównymi przyczynami dla których ludzie podejmują ryzyko założenia własnej spółdzielni lub spółki są: chęć realizacji ambicji "bycia na swoim" (na przykład jako dyrektor czy prezes) oraz - chyba przede wszystkim - bogacenie się.

Wspólnota jest tutaj tylko środkiem, racjonalnym w patologicznej sytuacji, w jakiej znajduje się życie gospodarcze w PRL. Z obserwacji różnych powstałych po 1982 r. spółdzielni można wyciągnąć wniosek, że w zdecydowanej większości ich struktury samorządowe stanowią bądź strapę, bądź zarzewie ciągłych konfliktów, natomiast zarządzanie odbywa się w stylu zdecydowanie autokratycznym. Twórcy omawianych organizmów wybrali taką a nie inną formę dlatego, że mentalność menedżerów sektora państwowego jest nastawiona na współpracę przede wszystkim z jednostkami gospodarki społecznej, a niewydolność tego sektora, oraz skrupowanie różnymi nonsensownymi przepisami otwierają podstawową w tych realiach przestrzeń do zapełnienia. Poza tym przedsiębiorcy, których ambicji nie zaspokajają lokalne sukcesy, wiedzą, że wyjście poza zaścianek jest znacznie łatwiejsze (bądź jedynie możliwe) przy posiadaniu owych magicznych liter. Wynika to z preferencji stosowanych przez urzędy państwowe, bez współpracy z którymi osiągnięcie pewnej skali działalności jest niemożliwe.

Nie przesadzajmy jednak z magią - "trzy magiczne litery" są tylko instrumentem, racjonalnym w tych warunkach i jeżeli odrzucimy doktrynerstwo to nie ma tu chyba istotnej sprzeczności z liberalnym etyosem. Funkcja wspomnianych liter sprowadza się raczej do pewnego kompromisu - ukłonu w stronę ideologii - w zamian za otwarcie przestrzeni do indywidualnego działania.

Za istotne uważamy, iż poszczególne osoby biorą swoje losy we własne ręce, wykazują się przedsiębiorczością, rzutkością. Można przyjąć, że dominującym jest myślenie w kategoriach indywidualnych, a nie kolektywnych. Jednostki gospodarki społecznej w znacznym stopniu tworzą coraz wyraźniej zarysowujący się rynek, pełen oczywiście najgroźniejszych patologii, ale nie zapomnijmy ani przez moment, że żyjemy ciągle w kraju komunistycznym i na pełne catharsis życia społecznego wypędnie jeszcze poczekać. Zatem czy j.g.u. zakłócają wizję "triumfującej opcji liberalnej"? Chyba nie, sądząmy raczej, że specyfika zjawiska potwierdza sformułowane przez nas poglądy. Świadomi jesteśmy przeszkód piętrzących się na drodze do urezeczywistnienia indywidualistycznej koncepcji społeczeństwa oraz odbudowy gospodarki w oparciu o prywatną własność i wolną konkurencję. Bariery są ogólnie znane i nie ma sensu ich tu wymieniać. Czy rzeczywiście przesądzą one o losie przemian i uniemożliwiają ewolucję w pożądanym kierunku? Odpowiedź na to pytanie przynieść może jedynie przyszłość. My natomiast - powtarzając znaną myśl Katteringa - stwierdzamy, że nigdy nic nie stworzono zanim kilka osób nie uznało, że jest to możliwe, kilka innych nie uwierzyło, że jest to do zrealizowania, a kilka innych nie było przekonanych, że muszą to zrobić!

JACEK KARPACKI

RAFAŁ MATUSZEWSKI

Nie jestem wielbłądem

Mój felieton "Aktywność społeczna czy słoneczna" w części poświęcony polemice z artykułem Jacka Karpackiego i Rafała Matuszewskiego na tyle zbulwersował obu autorów, że poczuli się "w obowiązku kontynuować dyskusję". No i bardzo dobrze. Ja co prawda dyskutuję, bo lubię, ale rozumiem i inne motywacje. Lubię do tego stopnia, że gotów jestem przekonać nawet zwrot "publicysta podpisujący się jako Kuba" (to o mnie!), choć przychodzi mi on na myśl te praktyki polemiczne, których 20 rocznicę niedawno obchodziliśmy. Kuba to Kuba, proszę panów, chyba że chcielibyście zapytać: A jeśli nie Kuba, to kto mówi? O co Was zresztą nie podejrzewam, kładąc inkryminowane sformułowanie na karb zwykłej niezręczności.

Co do moich poglądów politycznych - co innego "ciągotki" a co innego "identyfikacja". Mogą przecież istnieć takie żyrafy, które nie identyfikują się w całości z żadną opcją i trudno im z tego robić zarzut. Rozumiem jednak, że owo "lewe ucho" potrzebne Wam było do tytułu, który jest zresztą niezły. Kuba coś gdzieś zaskyszał, że dzwonią, ale nie wie w którym kościele, bo zaskyszał tylko jednym uchem, a w dodatku lewym. Może więc lewe jest z natury bardziej głuche? Zapewniam, że słyszę dobrze na oba uszy.

Jak również, że tekst "Dlaczego liberalizm" przeczytałem uważnie (włącznie z linijką 26 na str. 24). Może właśnie dlatego następne linijki sprawiły na mnie wrażenie, jakby Karpacki i Matuszewski obarczali winą za to, iż inne formacje zostały zepchnięte na margines, nie tylko komunistów, ale i niezależną lewicę. Jeśli zaś idzie o fundament, to spadkobiercami "pewnego obszaru kultury" europejskiej są nie tylko liberałowie, ale także przedstawiciele wielu innych (poza ekstremalnymi) nurtów społeczno-politycznych, zaś dopuszczenie ich do nieskrępowanej ekspresji uważam właśnie za konstytutywną cechę cywilizacji zachodniej. Podobnie "szacunek do indywidualnego człowieka jako człowieka" jest dość powszechny jeśli nie w praktyce, to przynajmniej w teorii.

Przyznam się, że nie bardzo rozumiem dlaczego Karpacki i Matuszewski w swym drugim tekście tak gwałtownie odcięli się od leseferyzmu, skoro w pierwszym sami napisali: "Liberałowie wystąpili z haskiem powrotu do ideałów laissez faire. Ideałów, które legły u podstaw współczesnej zachodniej cywilizacji". Chyba nie chodziło o to, że ja napisałem z polską a oni z francuska, (nawiasem mówiąc obie formy są dopuszczalne), tylko o fizjokratów, którzy właśnie rzucili hasło: "laissez faire, laissez passer", dając nam swobodę działania i ruchu, to jest wolność zarobkowania i handlu. Z tym haskiem zgodzi się chyba każdy liberał, albowiem wyraża ono podstawową zasadę liberalizmu gospodarczego.

Kiedy pisałem o "leseferyzmie fizjokratów" miałem na myśli ich podstawowe założenia: wolność osobistą, swobodę działania, wolną konkurencję, interes własny jako bodziec działalności ekonomicznej, a nie ich opinię, że tylko praca na roli jest pracą produkcyjną, co wydawało mi się dość oczywiste.

Czy w XIX wieku trudno było znaleźć fizjokratę? Gdybym chciał się bawić w łapanie ze słówka, powiedziałbym że zupełnie łatwo, tylko trzeba by wiedzieć gdzie szukać. Nie daleko we Francji tylko zupełnie blisko w Polsce. W końcu najwybitniejsi obok Popławskiego przedstawiciele polskiego fizjokratyzmu, Hieronim i Valerian Stroynowscy przeżyli i Quesneya i Turgota, umierając już w XIX wieku.

Jednak nie o Stroynowskich oczywiście mi chodziło, tylko o trwały dorobek szkoły fizjokratów, jakim była i jest idea liberalizmu i koncepcje państwa sprowadzonego do roli stróża snownego, który by ingerował wyłącznie w przypadkach naruszania "świętych" praw wolności i własności. Ten dorobek - leseferyzm - wszedł do ideologii XIX liberalizmu i w takim sensie użyłem tego sformułowania.

Pisząc o Hayeku i Keynesie nie roztrząsałem wcale problemu pierwszeństwa, nie szło mi też o to, kto i w którym roku został doktorem honoris causa i jakiego uniwersytetu (nie wiem czemu Karpacki i Matuszewski zamieścił listy najwybitniejszych prac Hayeka wraz z datami ich pierwszodruku, wymieniali długą listę jego honorowych tytułów, które przecież niczego nie dowodzą), ani też o przedwojenne polemiki, tylko o amerykańską praktykę lat powojennych. A tu - co sami przyznają moi oponenci - Keynes (mimo że nieżyjący) królował przez lat blisko trzydzieści. Powrót myśli Hayeka wyłożonej w jego klasycznych pracach z lat 30-tych nastąpił dopiero po odwróceniu od ekonomii keynesowskiej. Ubolewam, że moja uwaga o "myśli liberalnej czy jak kto woli konserwatywnej" została źle zrozumiana. Wydawało mi się, że po książce Guy Sorman'a "Rewolucja konserwatywna w Ameryce", wydanej w 1984 roku, która jest w kręgach młodoliberalnych lekturą obowiązkową, sformułowanie takie nie powinno budzić wątpliwości.

Reszcie kwestia ostatnia, czyli - jednostki gospodarki uspołecznionej. Cieszę się, że udało mi się sprowokować Karpackiego i Matuszewskiego do wypowiedzi na ten temat, co od początku było moim zamiarem. Końcowy fragment ich polemiki uważam więc za dużo ważniejszy od nieco akademickich rozważań na temat Greków, Rzymian, fizjokratów i Hayeka, którym i ja poświęciłem zbyt wiele miejsca, ale inaczej trudno by mi było udowodnić, że nie jestem wielbłądem. Niestety, nie podzielałem optymizmu moich polemistów, co do czekającej nas różowej przyszłości. Wchodzenie w system, w sytuacji niejasnych reguł gry a przede wszystkim przy braku kapitału (co jest cechą charakterystyczną dla 90 % spółek j.g.u.) grozi poważnymi konsekwencjami: gospodarczymi, politycznymi, społecznymi a nawet etycznymi. Żebyśmy się dobrze zrozumieli: nie jestem generalnym przeciwnikiem gry. Uważam jednak, że nadając do stołika z szulerami trzeba być świadomym niebezpieczeństw, na które uczciwy człowiek się naraża. Nie jestem pewien czy Karpacki i Matuszewski posiadli tę świadomość w wystarczającym stopniu.

"Jesteś moją halucynacją..." *)

Dom rodzinny Alterów był całkowicie świecki, co w mieście Boya Żeleńskiego nie było w sferach inteligentkich wcale rzadkie. Jego rodzice bywali w kościele raz do roku na rezurekcję i to gwoździ przyglądnięcia się rodzinie ojca, która w ten uroczysty dzień gromadziła się w katedrze u kutych wrót jednej z kaplic. Paciorka "Boziu daj zdrowie mamusi, tatusiowi siostrzyczce Marysi i mnie małemu chłopczykowi ..." z bardzo bezpośrednim "pa, Boziu, pa ..." uczyła Egon nie matka, ale niania Bisia. Gdy podrośli, uznał go za dziecinny i przestał odmawiać. Z rzeczoną nianią był raz na nabożeństwie majowym, oszołomiony blaskiem świec i kadzidłanymi dymami, a gdy spytała go, czemu nie śpiewa, zaintonował szlagier "Co pani ma tam pod koszulką - słońce mi zdradziło to ...", jedyną piosenkę jakiej się nauczył z płyty His Master Voice. W umyśle dojrzewającego Egona wisra była czymś w kontradykcji do fizyki, chemii i biologii, nauk w których się nie wyróżniał, ale które cenił. Miał przy tym złe doświadczenia rocznego pobytu w internacie, prowadzonym przez Pijarów, dokąd trafił raczej przypadkowo i skąd udało mu się wyrwać. W państwowym gimnazjum było jeszcze gorzej. Katechetą był kapelan pułku artylerii lekkiej, miłośnik koni wierzchowych, atmosfery oficerskiego kasyna, brzęku ostróg i Ducha Armii. Obowiązkowe szkolne nabożeństwa wydawały się Egonowi czymś na obraz musztry czy maneżu. - Hej, ty w czwartym rzędzie, tak, ty - usłyszał nieraz od oitarza - jak się będziesz wiercił to ... Groźby księdza kapelana były różne, czasem po oficersku wyszukane, lecz obawa o stopień z religii była realna, toteż niewiele w klasie było od Altera bieglejszych w wyliczaniu sakramentów świętych i historii Kościoła; była to, niestety, szkoła oportunistyczna.

Przerwanie średniej edukacji podczas wojny oznaczało dla Egona zerwanie więzi z Kościołem, nawet formalnych. Zawsze jednak odczuwał jakby tchnienie transcendencji i nigdy nie zwątpił w istnienie Stwórcy - w myślach, odkąd wydorosła, deklarując się jako agnostyk. Nawet zdefiniowanie bezkolicznika "być" wydawało mu się nieosiągalne. Nie wierzył w życie po śmierci z zachowaniem tożsamości osoby na całą wieczność, ale nie wykluczał powrotu do boskości przez roztopienie się w wszechogarniającym Absolucie. Szanował też boskie normy, dane na górze Synaj - przynajmniej niektóre. Gdy w zalecanej "Krótkiej Historii Wszechrosyjskiej Komunistycznej Partii

Bolszewików" studiując natknął się na wyjaśnione bez niedomówień na kilkunastu stronach powstanie wszechświata z obłoku wirujących gazów - odrzucił to jako bzdurę; wydawało mu się to tak płaskie, że aż wklęście, bo skąd ten gaz, ten obłok? Ale znów na sprawdzianach z marksizmu-leninizmu odbarzony dobrą pamięcią cytował słowo w słowo to, co wyczytał. Nie starczyło kurażu na protest. Zresztą tysiące mil dzieliły go już wtedy od Kościoła i o kornym pochylaniu się gdy wiernym objawia się Bóg - Człowiek - nigdy nie myślał.

Przełomem była katastrofa pod Trzeciewcem. Ocknął się z niebytu w szpitalnej umieralni i ujrzał zatroskane oblicze księdza. - Czy mnie słyszysz, synu? Daj znak! Powiedz kiedy byłeś po raz ostatni u spowiedzi świętej? Wytężył siły, by ze zmęczonego mózgu wyluskać konkret. Rembertów, on w mundurze porucznika, Renata w szarym kostiumiku, mama radosna ale poruszona, przygodni świadkowie - warszawski taksówkarz i jakaś pobożnisia, grzmi Marsz Mendelssohna na klekocącej fisharmonii. Tak, ale kiedy to się działo? Z bezsilną złością usłyszał własny bełkot. Czyżby stracił mowę? Ocho, pomyślał, zanim zapadł w nieswiadomość, jeśli Renata, nie dewotka, wołał księdza zamiast ksiądem - to koniec. Żał mu było odchodzić zanim dopełnił się los, ale wcale nie straszno.

W dzień po namaszczeniu na ostatnią podróż kryzys ustąpił. Wrócił nagle do pełnej świadomości, orientując się gdzie jest i co się stało. Wtoczył się do pokoju ordynatora w fotelu na kółkach. Poważny pan w białym kitlu był zaskoczony umiejtnym nawiazaniem rozmowy i autoironią u pacjenta, który - nieprzytomny przez trzy tygodnie - "niepomyślnie rokował ..." Egon wczuł się w sytuację. - Panie ordynatorze, było się na wojnie i zagładało śmierci w oczy ... Był w szarych szpitalnych gaciach, takieżże koszuli związanej na tasiemki, zarosnięty, z gładko do trepanacji wygoloną czaszką, w zawoju z bandaży, ale poczuł satysfakcję, że z lekarzem potrafi rozmawiać jak z równym. Z tym, co mu gmerał lancetem w delikatnych płatach czołowych i zszywał przedziurawioną opone.

Walęszając się jako rekonwalescent po kombinacji szpitalnym odkrył kaplicę na półpiętrze. Wahał się przez moment, ale otworzył masywne drzwi. Była pusta. Panował półmrok, słabe kwietniowe słońce przesączało się przez czerwień i fioleto witraży. Usiadł i zamyślił się. Dlaczego to przytrafiło się właśnie jemu? Gdyby - powiedzmy - uszkodził rękę, nogę, ale głowę, mózg? Tak, ale przecież teraz bez względu na to jak sprawa wygląda pod zasklepiającymi się bliznami - wie, co przedtem wiedział, analizuje i syntetyzuje, myśli. Dla upewnienia się, że tak jest, sprawdził w pamięci prawdziwe informacje z różnych dziedzin. Były kompletne. Bez trudu przywoływał różne epizody i wskrzeszał dowolną postać: panią "od polskiego" z trzeciej klasy, wujś Zygmunta pod stoletnią lipą, podającego chłopcom na powitanie koniec grubej lagi, a nawet krowoderskiego zucha, z którym, gdy miał lat pięć, zamienił na stoik kijanek z Młynówki piękny komplet ołowianych konych kirasjerów. Tak - ale dlaczego on? Czy dlatego, że życie jak w romansie postawiło go przed dylemstem wyboru, a on nie umiał, a może bał się wybrać? Zdało mu się nagle, że ktoś mu się przygląda. Podniósł oczy. Tylko drewniana figura, martwa bryła spod nienajlepszego dłuta, symbol? Pół świadomie i bezgłośnie poruszył wargami; tak jak umiał, prosił o dziesięć lat życia, by uporać się z samym sobą, uporządkować zaszłości i dopełnić, co zamierzał. Cztrzymał więcej i odtąd wiedział, komu je zawdzięcza - a były to bodaj najlepsze, mądre przeżyte lata.

Ale prawdziwy powrót do Kościoła nastąpił o wiele później za sprawą pewnego zakonnika, zarazem księdza. Mój zresztą też - to już dopisek autora. Tak był autentyczny w tym co mówił i co czynił, że dla nas, przywykłych na co dzień do wdziwania masek - było to objawieniem. Jeśli istnieje charyzma - to była mu dana. Przyciągał nas jak magnes. Zdawało nam się, że nas, stających na ziemi i uwikłanych w tysiące spraw powszednich słucha z roztargnionym pobłażaniem. Od niechęcia jakby rozpraszał nasze lęki i obalał racje rozumowe, posługując się odmiennym sposobem myślenia i widząc świat w innej niż my perspektywie. Spływał na nas, biadolących przy chudej herbatce, w swym białym habicie jak anioł i zaklinał, że Boże broń - nie chce sakralizować na siłę naszych spotkań i nie stawia żadnych warunków. Często zjawiał się w podartych jeansach i zrudziałym, niegdyś czarnym golfie. Mówił zawile, mało komunikatywnie, ale wyczuwaliśmy wiele ukrytych znaczeń, do których nam, zdemobilizowanym żołnierzom frontu propagandy, jeszcze nie dane było dotrzeć. Ale zachwycała nas zdolność myślenia Ojca Dobromira w kategoriach ponadczasowych i absolutne lekceważenie tych niedogodności stanu wojennego, które nas przynębiały: godziny policyjnej, przepustek na wyjazd, wyłączeń telefonów, aresztów i podśluchów ... Był w tym podobny do owego biskupa z Berkeley, który uważał, że jeżeli zamkniemy oczy patrząc na stół - to stołu nie ma. Pewnie wulgaryzuję, ale znam to z drugiej, marksistowsko-leninowskiej ręki. Urebiał nas jak wosk i kiedy nas, statecznych panów z brzuszkami, zachęcił do wyprawy na rowerach do Warszawy na spotkanie Ojca Świętego - pojechaliśmy obaj bez wahania.

W Lubawie starowina proboszcz ulokował kolarsko-patniczą młodzież w kurniku na gołej ziemi, a starszyznę w pokoiku w urzędzie parafialnym. Powieki miałem jak ołów i sto z górą kilometrów w nogach, lecz sen nie przychodził. Minęła północ, przerażała myśl o pobudce przed świtaniem. Dokoła chrapanie i sapanie. Tylko Egon, mój sąsiad, leżał jak by go nie było. Zacząłem nadsłuchiwać. - Też nie śpisz? - sapnął, oświetlając latarką tarczę zegarka. - Nie. - To pogadajmy. I tak już się przejaśnia. - Jak chcesz.

- Wiesz, wędrowki tego typu zawsze wywołują u mnie wspomnienia tych wcześniejszych. Ucieczki wrześniowej aż po ruską granicę, powrotu przez wezbrane nagle ukraińskie morze. Potem partyzantki i moich wypraw zamorskich.

- Może zdrzemniesz się, bo jutro spuchniesz.

- Nic z tego, o świtaniu z zaśnięciem najtrudniej. Wędruje się myślą w przestrzeni i w czasie, a wygląda na to, że już niedługo. My dwaj i reszta; jakoś kręcimy skrzypiąc, może z ambicji i rutyny, ale dla nich jesteśmy wykopaliska. Dinozaury.

- Przesadzasz. Oni też będą tacy.

- Powiedz: boisz się odejścia?

- A ty?

- Nie bardzo. Już byłem po tamtej stronie.

Umilkł. Słyszałem jego oddech i bicie serca. Ostrożnie, żeby nie stoczyć się z materaca, obrócił się w moją stronę.

- Wiesz, okna mojego pokoju wychodzą na studnię podwórza. Słyszę jak w oficynie kłóca się pijacy i pęka szkło. Po północy te libacje cichną. Gdy przeciera się ciemność - budzą się ptaki. Zaczyna gruchać dziki gołąb, pewno samczyk. Jak kukułka. Zamknij okno, mruczy sennie Renata, jeszcze trzy godziny. Zamykam. Ale gruchanie przenika przez szyby. No to ile przede mną jeszcze - pytam bezgłośnie, a ptak gruchnie raz - i urywa. Końcówka?

Wszystcyśmy tu czasowo tylko, fakt, ale tak odmeldować się bez śladu? Myślę o memuarach, nowej spowiedzi dziecięcia wieku rozżalonego tym, że Stwórca, mając do dyspozycji całą wieczność, powołał je do życia w takiej akurat epoce! O zanurzeniu w oceanie wspomnień by wydobyć stamtąd jakąś prawdę o pokoleniu, prawdę w której tkwiłoby jakieś przestanie.

- Masz Remingtona Portable, wystaraj się o papier i pisz.
 - Mam obiekcje. Bardzo osobiste by to było, a ludzie teraz chcą wszystko w formie pigułki: kto, co, kiedy, gdzie i dlaczego.
 A ja zacząłbym: był-żył raz chłopiec ani za mądry ani za głupi, z tak wówczas zwanego dobrego domu. Ukończył powszechniaka, ciężko zachorował i przegapił w szpitalu zakaźnym egzamin do rządowego gimnazjum, więc trzeba było go oddać do Ojców Pijarów. Z tumanami z ziemiańskich sfer tam był, z synalkami rekinów śląskiego przemysłu, z pozał się Boże snobami. Nieopierzony jak wróbel co z gniazda wypadł, stęskniony za domem. Ksiądz rektor pod koniec roku chyba przez Ducha Świętego natchniony tak ojcu powiedział: - Pan regularnie płaci, panie inżynierze, ale on się tutaj nie nadaje! Dostał się więc po protekcji do elitarnego "Sobka" - to od Króla Jana - a potem nagle wojna zmiotła dom z tradycjami i koligacjami, zabrała ojca, odnalezionego w Katyniu z przestrzeloną potylicą, matkę, zamkniętą na Montelupich, złudne nadzieje na ciekawo dorosie życie, dofinansowywane z dorobku kilku generacji i tak zwana galicyską kinderstubę. Koniec okupacji zastał go w lesie. Złożył broń jak mu kazano i zamiast wrócić jak wymarzył pod rozwiniętym sztandarem wadowickiej Dwunastki, przy dźwiękach orkiestry - przemycił się chyłkiem. Potem służył panom-trójpanom, pracował, kochał, radował się byle czym i cierpiał też z byle powodu, a gdy teraz patrzy wstecz, z progą Krajny Cieniów, gdy myśli już tylko o przekazaniu sztafety następnym pokoleniom - to życie zdaje mu się cyklicznym pasmem wzlotów i upadków. Upadki przeważały. ... Zasympiasz?
 - Jeszcze nie. Dwoje doświadczenia tak przystają do moich, że aż naszedł mnie cytat z Dostojewskiego: "Jesteś moją halucynacją. Jesteś uosobieniem mojego własnego ja, zresztą tylko jednostronnym. Jesteś wcieleniem moich myśli i uczuć..."
 - Może i tak.



Kluczem była poźółkła fotografia sześć na dziewięć, na dziennym papierze Agfa-Caevert, wylądowane przedstawicielstwo na Polskę i W.M. Gdańsk. Egon napisał na odwrocie swym pochylonym piśmem: "Jastrzębia, styczeń 1945, pożegnanie z bronią"...
 ... wyrwali się po porażce na Starych Wierchach i spaleni schroniska z zamykającego całe Gorce okrażenia, nocą przeskoczyli zakopiankę i zalegli w Rokicicach. Już przywykli, że ich nie witano chlebem i solą, jak przed rokiem, ale lamentami: Niemcy za udzielanie kwater palili wioski i zabijali. Lesne wojsko było umęczone nad miarę, ludzie zasypiali jak podcięci tam gdzie stali w dziwacznych pozach, ale nie wypuszczając broni z rąk. Chrapano jakby ktoś ciął drewno tępą piłą, izby wypełniał smród potu i nie mytych od tygodnia ciał. Był nie mniej zdechły od podkomendnych, ale wciąż w poczuciu podchorążackiej szarży.
 - Panie podchorąży Garda - powiedział Ryś, ruszając jak Wołodyjowski ryżowym wąsikiem - wysłaj pan ubezpieczenie szosą

zakopiańską w kierunku na Chabówkę, od Zakopanego ubezpiecza pana porucznik żytniak. - Rozkaz! Udał, że zwiiera obcasy, więcej z dbałości o fason niż z respektu. Ryś chorował od początku wielkiej obławy, trzeba go było nosić i to pod ostrzałem, więc faktycznie dowodził podporucznik Jasnota. Łatwiej od innych dał się obudzić kapral Jagoda, choć oczy miał nieprzytomne. - Kapral, weźcie erkaem i dwóch ludzi, o dwa kilometry stąd wystawicie czatę. W razie ataku enpla związać go ogniem, odskakiwać na południe i dołączać! - Taajest! Garda poczuł przytław wisielczego humoru: - A wracajcie i meldujcie, że się wojna skończyła i szkopy wieją. - Rozkaz panie podchorąży. Mam meldować.

Zapadł jak w przepaść w sen bez marzeń, nawet nie zżuwszy przemoczonych oficerek i nie rozluźniając pasa. Zdawało mu się, że przespał kilkanaście co najwyżej minut, gdy zaczął go budzić szarpaniem. - Panie podchorąży, kapral Jagoda dowódca czaty melduje posłusznie, że szkopy uciekają i pewnie się wojna kończy! - Nie pajacuj, daj spać! - Ale ja naprawdę. Zresztą niech wyjdą sami i posłuchają.

Zachłysnął się porannym mrozem, wykaszlał i ulżył pod płótkiem naturze. Coś się rzeczywiście działo! Od zakopianki niósł się szum wielu silników przeciążonych jazdą pod strumiznę i buksowanie w kopnym śniegu samochodowych kół. To był odwrót! Ogarnęła go niewypowiedziana radość. Ileż lat czekał na tę chwilę i ile razy śnił o niej! Oto na zawsze odpływały wojenne koszmary: upokorzenie klęską, ustawiczny strach, godzina policyjna, łapanki, zaciemnienie, poczucie bezsilny i odcięcia od świata. Wojna dogasała, a on wspominał jej początek. Był rozradowany, gdy się zaczęła. Nie było szkopy. Marzył, że jak ojciec w Pierwszą Światową, a w 1920 wujowie i starsi kuzyni, wstąpił do armii i wśród wspaniałych przygód - szarż, nocnych ataków - doczeka ulgowej matury, a potem, kto wie, może gwiazdek? Zamiast tego dane mu było widzieć z bliska przerażający rozpad państwa, które kochał, i o którym mu mówiono, że jest prawie mocarstwem. Siedemnasty wrzesnia zastał go już na ukraińskich ziemiach Rzeczypospolitej, gdzie po polsku mówiono tylko we dworze jego "przyszywanej ciotki". Właśnie z kolegami, też uciekinierami, poszedł w pole, nad rzeczkę, by zmyć trudny tułaczki - gdy na wysokim pułapie nadleciały od wschodu samoloty brzęcząc inaczej, ani z polska ani z niemiecka. Zawirowały ulotki. "Ono ukazało się bezsilnym rządząc krajem - pisano w nich dziwnym językiem o polskim rządzie - i zorganizować obronę. Ministrzy i generałowie schwycili nagrabione imi złoto, tchórzliwie uciekli, pozostawiając armię i cały lud Polski na łaskę losu ..." - Po jakimu to jest? - pytał Antek blade z wrażenia. - To znaczy, że nas od tyłu zachodzą. To już koniec... We dworze już wiadzano o inwazji. Granica z Sowietami leżała stąd o kilkadziesiąt kilometrów i czołowe oddziały mogły dotrzeć do Berestowca po południu.

Uciekinierzy zbrali się między stodołami i otucha, zawarta w odśpiewanym hymnie, to "mocą odbierzemy ..." zabrzmiała Egonowi tym razem jak ironia. Gdzież ta moc? Zawsząd groziła zagłada. Z Antkiem i Julkiem zdecydowali przedrzeć się z powrotem na zachód, też na niewiadome i groźne - ale do domów. Czy domy stoją i najbliżsi żyją? Tygodniami wędrowali jak się dało, najczęściej na piechotę, ziemią niczyją. Wehrmacht z wolna odpływał na wyznaczoną jeszcze w sierpniu linię czwartego rozbioru Polski, Armia Czerwona "wyzwalała spod polskiego jarzma" Ukraińców i Białorusinów. Brnęli przez powstanie ukraińskie rozszerzające się jak stepowy pożar, pod tryumfalnymi

bramami stawianymi w każdej wiosce na przyjęcie sowieckiej władzy. Spotykali nieustraszonych śmiazków, jadących w pełnym uzbrojeniu pod prąd, jakich marynarzy-niedobitków z Floty i Pińskiej, ułanów i na własne chłopięce czy oglądać musieli każą wyławianych z tłumu uchodźców - polskich oficerów. Za każdą idącą w bezładzie grupą Polaków demonstracyjnie polewano wyboisty bruk i zamaszyscie, jakby nie było ważniejszego niż higienę - wymiatano p c l s k i b r u d.



... ruszyli z Rokicin jak we śnie, a może jakby skrzydła wyrosły im u ramion. Trasa, którą w czterdziestym czwartym pod osłoną nocy zdążyli w Gorce, naciskani przez obławę. Jakże teraz zmienił się okupacyjny krajobraz, jak krucha wydała się nagle niemiecka potęga! Maszerowali dnem równoległymi drogami do czołg odwrotu, nie ubezpieczając się i nie maskując. Cmok, widoczny gołym okiem, płynął bez ustanku bezgłowy wąż pdkonanego Wehrmachtu. Oczywiście było, że Niemcy też ich widzą - ponad stu chłopów w umundurowaniu i uzbrojeniu. Ale broń milczała. W jednej z wiosek, gdy ich rozpoznano po orzeżkach i odznakach z limitą i liczbą "100" na białoczerwonym tle - ksiądz proboszcz kazał uderzyć w dzwony. - Jak na rezurekcję ... - ktoś zauważył - Tak - na to Garda w uniesieniu - bo Polska z grobu smartwychwstaje ... We dworze było przyjęcie dla szarż, staropolskie "kochajmy się!" i przepijanie, i śmiech, gdy podobały Ntrybki, kostropaty młodzik, ze zmęczenia dziobnął noskiem w talerz i zachrapał. Na następnej kwaterze był alarm, bo czujka meldowała zbliżanie się Niemców. Szli pod górę niespiesznie, gęsiego, a gdy ujrzeli chłopów z bronią gotową do strzału - ponieśli ręce, wymuszając na nieogolonych gębach uśmiech. - Nie strieliat' - zawołał idący z przodu reifreiter Wehrmachtu - my swai, russkije! My przisli! herbicija proti zachwaczikam! Byli to wlasowcy. Wiskali karabiny w ręce partyzantom i z gorliwością opowiadali o przymuszeniu. - Tiepier bratcy i synowja uże niedaliko! Ryś się zastanawiał co z fantem zrobić. Broni nie było trzeba, chłopcy byli nią poobwieszani jak choinki, leżała niemal na ziemi na szlakach odwrotu. Siedmiu obcych, do tego konduity podejrzanej - nie chciał wcielić. - Kaprału - zawołał na Magika - odprowadzić ich z bronią do Michajłowa albo Sobieniewa, zameldować, że się dobrowolnie poddali ... Magik wieczorem wrócił zionąc bimbrem jak gorzelnia, blade i nierozmowny. - Wszystkich rozwalili. Sam widziałem, panie poruczniku, krew się lala i ino te mózgi fyrgaly. Nawet im nie dali zakurzyć! Gardzie przez moment żal się zrobiło najstarszego z wlasowców, zieduszki o poczciwej gębie muzyka. Wzdychał on przed odmarszem, żegnał się po prawosławnemu, a chłopcom na pożegnanie dawał spracowaną grabę i wzdychał. Wojna straciła już sens, ale pożerała wciąż nowe ofiary. Coś było warte życia? Czy ci w mundurach wroga zdążyli wykrzyśić motywy zarady, coś powiedzieć o próbach, jakim ich poddano?



... i jak na styczeń w Beskidach jest wyjątkowo ciepły i
 eczny. Na południowych zboczach, gdzie najmocniej grzeje,
 era spod śniegu gleba i szesioroczne trawy. Z dachów kapie.
 ła. Wyleźli przed chałupę do pamiątkowej fotografii w
 mprowizowanych mundurach, przerabianych ze zdobycznych; do
 zczoraj byli z nich dumni i mieli w nich, jak obiecywano,
 efilować na krakowskim rynku w Dniu Zwycięstwa.

Są poobwieszani bronią i granatami ręcznymi, robią marsowe miny
 i pozują Jasności tak, by wypaść jak najlepiej. Garda pomagając
 sobie iokciami i lejkowatym pyszczkiem erkasem ustawił się
 naprzeciw obiektywu, dbając by było widać trzy srebrne paski i
 plecionkę podchorążego na naramiennikach. Migawka szczęka. "Hej
 byli chłopcy, byli ..." - jak w piosence. Zaraz się rozpełzną po
 Jastrzębiej by zamieniać bluzy, bryczesy, płaszcze, pasy, buty
 komiśniaki albo oficerki na znoszony chłopski przyodziewek.
 Bron, w leśnym wojsku rzecz świętą, nieraz zdobytą z narażeniem
 życia - cisną do piwnicy w nieczynnej cegielni. Na rozstanie
 oczyszcza ją, pożyczając wzajemnie wyciorów i pakuł wazelinują.
 - Jeszcze się przysza ... Nie widzą, że w kilka dni tajny
 arsenał będzie wydany, a na miejscowych posypią się areszty i
 inne kary za sprzyjanie leśnym nie spod tego znaku, co należało.
 W regularnych odstępach nad głowami z świstem windują się miny
 z rosyjskiego moździerza 82 milimetra, a od strony, gdzie jeszcze
 Niemcy, gdacze w odpowiedzi cekaem. Są w środku. Nie zauważają
 ogniowego pojedynku, bo to już nie ich wojna ale cudza. Nie
 będzie ich zwycięstwem. "Niedźwiadek" rozkazem rozformował Armię
 Krajową i ten rozkaz wczoraj, dla nich niepojęty, dotarł do
 oddziału. Armia ta miała grupy operacyjne, dywizje, brygady,
 pułki i bataliony, miała sztaby i otworzoną strukturę
 przedwojennego wojska i z pewnością, mimo niedostatków uzbrojenia
 reprezentowała jakąś realną siłę, opór i ideę państwa. A teraz
 szła dobrowolnie w rozsypkę bez wystrzału ... Nie, nie myśleć
 o tym, żeby nie zbykować; najważniejsze teraz, żeby się
 upodobnić do cywila i przejść linię frontu! Wczoraj mundur, dziś
 łach. Mimiakra.

- Sami popatrzcie, gospodarzu, pomacajcie. Sukno przedwojenne nie
 do zdarcia i woda się go nie ima. Płaszcz oficerski!

- A dyc po co mi to? Do krów obrządzać w tym nie pójde, a jak
 dyc to narzuce worek - a do kościoła w cymś takim nie obycaj.
 W łachach, jakie w końcu wydebił, podchorąży plutonowy Garda
 /Krzyż Walecznych po raz pierwszy, Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami
 za Kalwarię/ - wygląda jak strach na wróble. Przygasił, bez broni
 czuje się jak tygrys bez pazurów przewrócony do góry podbrzuszem.
 Czapka narczarska niegdys opiera się na uszach, kapota cuchnie
 tytoniem - samosiejka, dymem ognisk i potem. Buty kłapią
 podeszwami.

Pora się żegnać, Szeregowcy mają zwyczajnie iść do domu, szarżom
 proponuje się przejście z falą odwrotu na zachód. Kadra i
 wybrani mają się na razie zgłosić w Leńczach.
 Cheim, chyba najodważniejszy, gibki, opanował, odciąga Gardę na
 bok. - Wiesz, podchorąży, zamiarujemy z Magikiem iść w Tatry,
 zamelinować się wysoko, rakać czerwonych i czekać na Amerykanców.
 Pójdziesz? Garda w wyobraźni ujrzał się w roli Janosika: nocne
 czuwanie przy ognisku na hali, spanie w szalaszach lub na
 skalnych półkach, wizyty na weseliskach góralskich, zbojcka
 siawa... Może by o nim śpiewali "Hej, Garda, stuka twarda..." albo
 coś w tym rodzaju? Przemógł realizm. Tamci poszli we dwóch,
 zbojowali, wpadli - i przesiedzieli po osiem lat.
 Ciężko przyszło rozstać się z Aquillą. Miał w leśnych warunkach

do ostatka manieri zawodowego oficera armii królewskiej, różne od pozostałych trzech rodaków - sierżanta Bari, kaprala Moschito i strzelca Altamurry. Mówił tak biegle po niemiecku i po francusku też, że aż w chłopcach budziło to nieufność. - Włoch, a jasny blondyn, może eses przebrany albo co? Ale gdy oddział przetrzepano na Starych Wierchach - Aquilla zachował zimną krew i uratował konny tabor. Rozumował zawsze trzeźwo: - Rozbrajacie policję, kolejową straż, wykonujecie wyroki, konfiskujecie żywność, nawet jak w Kalwarii odbijacie więzienie w jasny dzień, ale jak się za was wezmą frontowcy, ostrzelani w polu - nie dacie rady! Stało się dokładnie jak przepowiadał, gdy przed spodziewaną sowiecką ofensywą Niemcy postanowili oczyścić zaplecze frontu. Garda obiecywał wielkodusznie Aquilli szansę przyszłej czynnej służby w polskim regularnym wojsku, skoro "tutto perduto" Mussolini i jego imperium; mógłby się tu wżenić, jak tyłu Włochów, założyć polską linię rodu ... O naiwności! Ale co miał mu teraz powiedzieć na odchodne i niepewne? Łudził go dotąd, nie wiedząc iż sam też będzie oszukany w ostatecznym rachunku.

- A rivederci pan podchoronci, cześć! Mówilem mi chiamo Bianchetti, ale to lipa, fałsz! Pamiętaj: sono Mario Conte Miari, ty po wojnie przyjeżdżaj in Italia, cherca un castello su Lago di Garda! Garda - come tu, łatwo zapamiętasz ...

- A ja nie jestem Garda, tylko Egon Alter. Zwyczajnie Alter. Dobrze wojowałeś, Conte, ale cóż - nie wyszło. Teraz zjeżdżaj z Odważną na melinę, zanim się zrobi gorąco. Nie umiesz po polsku, podpadniesz. I niechci Madonna pomaga, capisci? Wierzyli, że się zobaczą. Nie przypuszczali, że nadchodząca Europa się podzieli, a Wschód i Zachód będą się od siebie oddalać na podobieństwo galaktyk. Nigdy się nie spotkali więcej. Na lizjerę lasu wysunął się konny patrol. Jeźdźcy na małych myszatyk konikach mieli widoczne papachy. Ryś sięgnął po lornetkę. Spierano się, czy to forpoczty Armii Czerwonej, czy też kozunie - własowcy w niemieckiej służbie. Tym razem z niemieckiej strony nadleciał granat i lupnął tuż przed patrolem, wznosząc słup ziemi i śniegu. Kozacy zniknęli bez wystrzału. Robiło się ciasno i wrogie wojska mogły się zwrzeć z sobą lada chwila. Trzeba było ruszać. Dla kurażu lynął z manierki Rysia lyk przepalanki i sparodiował postawę na baczność: - Odmeldowuję się!

Ze Strybogiem schodzili w dół. Garda pierwszy wypatrzył żołnierza w białym śnieżnym maskowaniu. - Patrz, jacy ci Sowietci podobni do szkopów - zdążył powiedzieć, zanim spostrzegł fatalną pomyłkę. - Halt - krzyknął młodziutki Niemiec, nie mniej od nich przerażony, obu trzymając na muszce - halt, Hände hoch! Podnieśli ręce posłusznie. Garda miał rzeczy zawinięte w kraciasty pled i trzymał tobolek kurczowo w górze. Może już po mnie i po rzeczach, zdążył pomyśleć; w małej leśnej wojnie często strzelał i strzelano do niego; słyszał nieraz nad głową serie z peemów, jak trącenie kijem naprężonych drutów, i wiedział, że jeśli słyszy, to wciąż jeszcze żyje! Widział, jak trafiony trzykrotnie zdrajca, wróg, zgiął się wpół i nieprawdopodobnie powoli osuwał na ziemię, osłaniając dłońmi łysy łeb ... Brał wprawdzie w rachubę i własną śmierć, ale sądził, od tygodnia, że mu się udało wojnę przeżyć i śmierć oszukać. Tymczasem tu urzeczywistniał się koszmar, w partyzantce tyle razy dręczący go nad ranem: wpada Niemcom w łapy bezbronnej jak niemowlę i, to za pięć dwunasta!

Szli jak w śnie popychani łufą. Pośrodku obejścia, wsparty nogą w wyglansowaną cholewę o kłoc do drewna stał bardzo młody,

ogolony i zadbany leutnant w ochronnej białej watówce, obserwując przez lornetkę horyzont. "Jak wycięty z okładki Die Wehrmacht - zdążył zauważyć Garda - i tak ma wyglądać śmierć?" - Die zwei kommen von der sowjetischen Seite - raportował żołnierz. "Niedobrze! Mają nas za szpiegów..." Oficer powoli odjął od oczu szkła. - Wer seid ihr - warknął - Dokumente! Gra szła o życie. Mógł się tłumaczyć w znakomitej niemczyźnie z trybami warunkowymi i zwrotami, szlifowanej przecież przez Niemca - krepetytora. Ale taka grandilokwencja, zważywszy "przyjście z sowieckiej strony", o którym meldował wartownik, w połączeniu z wyglądającym na przebranie strojem - na miłą by pachniało szpiegowstwem! Inną szansą było udawanie, że nie rozumie - "nix verstehen Deutsch" - ale w czas klęski Niemcy byli niecierpliwi i z pół-niemową, do tego podejrzany, w mig by zrobili niemiecki porządek ... W tysięcznym chyba ułamku sekundy desperacja podsunęła Gardzie trzecie wyjście: ciąc głupka, szprechać ale jak negr, w żywe oczy igać przy tym - lecz z zachowaniem prawdopodobieństwa!

Miał w zanadru lewe dokumenty. W fałszywej kennkarcie wpisano mu stałe zameldowanie w Skawinie, lecz ta leżała od Jastrzębiej na północny zachód. Kalkulował gorączkowo, czy oficerowi zechce się szukać Skawiny na mapie - czy nie?

- Ich Kelner. Arbeiten Deutsches Kasino Krakau, Herr verstehen? Iwan kommen, machen bum-bum, wir Angst haben vor Bolschewiken und abhauen. Herr verstehen?

- Co masz w worku? Pokaż!

Trzy jedwabne koszule od Rudnickiego na Rynku na zmianę, jedwabne - jako że wesz się po tym ślizga. Neseser ojca, w nim kryształowe flakoniki i szczotki oprawne w posrebrzaną blachę.

- Na? Die Sachen sind auf deinem Mist nicht gewachsen, te rzeczy nie wyrosły na twoim gnoju!

Błąd, błąd... Ale wiedział, że okupant nie był zbyt surowy dla kombinatorów i małych złodziejasek.

- My uciekać, verstehen, a wóz stać. Bomben, Alarm! Wir torba znaczy Tasche cap-carap. Wir arm, biedni ludzie, torba verkaufen und organisieren Brot!

- Quatsch! Feldwebel - oficer skinął na podoficera, przysłuchującego się wypytywaniu - mit den beiden befehlsgemäss verfahren. Ab!

Koniec. Mogiła. Kto się dowie, gdzie ich zakopią? "Befehlsgemäss verfahren" znaczy postąpić zgodnie z rozkazem, a cóż to mogło oznaczać tu i teraz? Ogarnęła go gorzka niespełnienia. Mógłby przeżyć trzy razy tyle lat, powróciłby do normalności, uczyłby się, studiował, pracował. Byłby kimś. Byłby z kimś.

Idą. Feldwebel pogwizduje "Lili Marlen" a Garda mocą woli usiłuje Strybowski przekazać sposób na uratowania się chociaż jednego z nich. Trzeba skoczyć równocześnie w prawo i w lewo, konwojent tylko w jednym kierunku otworzy ogień.

Bożydarku, Bogusiu, na miłość Boską - s k a c z !

Ale Strybóg nie reaguje, zielony z przerażenia.

- Los! Weiter!

Krok. Dwa kroki. Pięć, dziesięć... Na co czeka? Czemu nie strzela? Czy to zabolł, czy też świadomość zgaśnie jak świeca i nastąpi wieczna ciemność? Bawi się z nami - za co? Śnieg się zaczerwieni. Dwadzieścia kroków... Jak spuduje, to i tak poprawi. Trzydzieści... Zaryzykował spojrzenie przez ramię.

Byli sami. Feldwebela już nie było.

Gdy w wiele lat potem spotykał się ze Strybogiem, czołowym

polskim geografem co objechał cały świat i napisał wiele książek - trawiła ich niepewność co do motywów postępowania anonimowego feldwebela. Może i leutnanta. Jest kilka hipotez. Rozkaz, o którym mówił oficer, mógł nakazywać oszczędzanie ludności cywilnej podczas odwrotu. Mógł też feldwebel na własną rękę nie wypełnić polecenia rozstrzelania, uważając iż dwa wystrzały - lub ich brak - ujdą uwagi w ogólnej pukaninie. Byłby to ludzki odruch żalem? A może po prostu nie naładował magazynka MP i zawrócił, by wobec jeńców nie tracić twarzy? Odpowiedzi jednoznacznej nie ma.

Szli dalej i mimo głodu, zimna - było im, ocalonym, dobrze i ciepło. Droga wiodła w górę. Pod szczytem stał dobrze zamaskowany LMG. Celowniczy, ryżę chłopisko z zarostem i trykotową osłoną pod hełmem, nie wstając przywołał ich gestem:

- Iwan wo? Russki?

Garda wskazał na zagrodę w dole.

- Iwan dort.

Celowniczy z amunicyjnym sprawnie zmienili stanowisko ogniowe nachylając lufę LMG w wskazaną stronę, czujne frontowe wygi, w każdej chwili gotowi pociągnąć za spust. Tak ich przechował w pamięci: ostatnich zbrojnych Niemców na polskiej ziemi, wciąż najeźdźców, gotowych na wszystko. Odtąd widywał ich już tylko jako jeńców, wystraszonych i wynędzniałych, rzucających się na niedopałki i resztki.



Przycupnęli przy drodze na Kalwarię, do zmierzchu obserwując wycofywanie się ludzi i sprzętu. Jechały ciężarówki, furmanki, wklei się piesi - Niemcy, Ukraińcy, Kańczycy i Wielkorosowie z RCA. Ustępowano na zachód wśród pokrzykiwań, swarów, odciążania i dołączania do kolumn, poszukiwań furazu dla koni i jedzenia. Czasami nad drogami pojawiał się samolot w czerwonymi gwiazdami na skrzydłach i jakby od niechcenia puszczał serię w kłębiących się niedobitków wielkiej armii. Wąz ludzi i pojazdów wchłaniał pociski bez widocznego efektu; nikt już nie uciekał do przydrożnych zagajników i tylko po nalocie usuwano do rowów zwłoki i padłe konie.

Późną nocą dotarli do chałupy bimbrownika Trzęsca, u którego nawet ściany - jak mówiono - sływały samogonem. Rys pociął ich w papuciach, honory domu czyniła jego piękna żona. Z marszu poczęli pić gęsto, na umór, na pchybel, na wiwat, w szczególności za powstającą z grobu Najjaśniejszą Rzeczypospolitą i za zdrowie króla Anglii. Przyszłość nie była wiadoma, lecz z każdą szklanką bimbrowa jakby różowsza o odcień. Niemożliwe by oni, dywersja, chłopcy wybierani, w nadchodzącej Polsce nie znaleźli miejsca.

Po dziewiątej ogień artyleryjski, grzmiący w oddali, ruchomym wałem przetoczył się w pobliże. Stękała ziemia, dom kołysał się jak okręt. Pani Halina z córeczkami zeszła do kamiennej piwnicy, ale oni ucztowali dalej. - Cenię pana, podchorąży - mamrotał podпиты wódz - ale jak pan ze mną szedł w nocy ścieżką, to odczuwałem lęk. Co w panu siedzi? - Jestem jaki jestem, melduję posłusznie - a jak pan każe, to pójdę bić diabłów i Iwanów, ruskich i pruskich, każdego! - Dobrze, panie podchorąży, to lubię, ale służba dziś się kończy i "Setka - Limba" też. - Wodzu kochany, skrzyknijmy się, weźmy Wadowice, pomaszerujmy na Kraków

... - Gówno prawda - Rys był sceptyczny - to finis. A panu i Jasnocie radziłbym na zachód, do scjuszników. Poszedłbym też, ale żona, córki ...

Garda zasnęła. Ocknął się w jasny dzień, wokół panowała zastraszająca cisza. Bój artyleryjski przeniósł się w inne strony. Leb cmił, tętniło w skroniach. Poczł pragnienie. W kącie pochrapował Jasnota. Rys znikł. Podszedł do okna i zastęgił w zdumieniu. Po śniegu dostojnie cziapał wyliniały, objuczony skrzyniami wielbiąd. Bydlę prowadził za uzdę z sznura żołnierz o mongolskich rysach, nieduży, w walonkach i rudawym szynelu, z workiem na przysgarbionym grzbiecie. Miał czapkę - uszanke, a na barankowym futerku jak kropla krwi błyszcziała w styczniowym blasku czerwona gwiazda.



Zachorowałem po pół-pielgrzymce do Warszawy, już opisanej, i wypadzie w deszczowe Bieszczady. Tymczasem polsko-polska wojna - formalnie zawieszona - została zakończona przez władzę z biciem w propagandowy bęben. Policyjny terror rozproszył różne środowiska i odnajdywaliśmy się teraz jak po zamieci. Nie wszyscy, bo nastąpiła także zmiana barw - i to w obie strony. W sklepach na tle wciąż pustych półek groteskowe panie sklepowe zabawiały się w wystrzyganki. Nie bardzo było jeszcze co dzielić, niektórym portfele puchły od gotówki mimo inflacji, zaś inwencja administracji kierowała się w stronę doprowadzenia systemu kartkowego do perfekcji.

Lekarz zalecił mi umiarkowany ruch. Nadchodziła zima. Na spacerze wzdłuż Motławy spotkałem kiedyś Egon, karmiącego łabędzie. To było w modzie, odruch dzielenia się chlebem z ptactwem, mimo wszystko bardziej pożałowania godnym. Mój nowy przyjaciel zmienił się. Zapuścił brodę, chyba lekko poczerwianą, co go odmładzało i upodobniało a to do ekstremy, świeżo wypuszczonej z internatów, a to do Lenina w październiku. Miał w wiatrówkę wpięty opornik i kiloohma lakierowany na czerwono, co przez kojarzenie oporu elektrycznego z oporem jako takim, z samobroną - było znakiem rozpoznawczym. Inne były zakazane, ale i za opornik, jak niosła wieść, można było dostać pałą.

Uchwyciłem u Egon zmianę w mowie. Używał nazewnictwa zapożyczonego z więziennej grypsery. Mówił o kipsiszu, wypiskach, klawiszach, kapusiach i grypsach. - Co się, Egonku, dzieje - próbowałem uogólnić - przecież przed Sierpniem w opozycji było w skali kraju kilkadziesiąt osób, takich kamikadze, a po Grudniu, a teraz? - Cóż, teraz tysiące! Tak było. Dojrzewaliśmy szybko w strugach z armatek wodnych, w gazach i przy akompaniamencie petard, przy czym po obu stronach barykady postawy radykalizowały się zgodnie z zasadą akcji i reakcji. Byliśmy obaj pod wrażeniem aktów przemocy, przebranych w szatę prawa. Licytowaliśmy się w ich wyliczaniu. Burzyły mit o jedności Polaków, o naszej tolerancji. W moim domu umarł na zawał niegłoty człowiek, bo z powodu wyłączenia telefonów nie udało się na czas wezwać pomocy. Obowiązywał zakaz wychodzenia z domów w nocy. Zanim jego syn, ryzykując poturbowanie, napotkał wojskowy patrol i przekonał tępawego kaprała o potrzebie wezwania karetki, zanim ten radiową drogą i szyfrem połączył się ze sztabem i zanim po dwóch godzinach zajechała zwykła karetka zamiast reanimacyjnej - człowiek był martwy i zimny...

Sylwester Małodobry

+/ Fragment większej całości pod tymczasowym tytułem "Confiteor ..." /Spowiadam się .../

"PRZEKAZ"

to pismo dla dociekliwych.
Zamieszcza reportaże, wywiady, publicystykę,
recenzje i felietony.

Chce rozszerzyć listę poruszanych tematów
o zjawiska, które oficjalna prasa wypacza,
a niezależna pomija.

Pismo nie jest związane z żadnym
konkretnym kierunkiem
politycznym,
nawiazuje zaś do ideałów
Sierpnia '80.